

RADA SZKÓŁ KATOLICKICH

**JAKO CHRZEŚCIJANIE JESTEŚCIE WEZWANI
DO ŚWIADCZENIA O WIERZE I NADZIEI...**

św. Jan Paweł II

Materiały formacyjno-edukacyjne
Rady Szkół Katolickich z 2016 r.

Warszawa 2017

Przygotowanie i korekta: Biuro Rady Szkół Katolickich

Skład, łamanie: Agnieszka Siekierzycka

Wydano staraniem Rady Szkół Katolickich
z udziałem środków Renovabis

Do użytku wewnętrznego szkół katolickich

Tekst w wersji elektronicznej oraz nagranie dźwiękowe
dostępne na stronie internetowej:
www.rsk.edu.pl

ISBN 978-83-7864-761-4

Wydawnictwo AA
ul. Swoboda 4
30-332 Kraków
www.religijna.pl, klub@religijna.pl

Rada Szkół Katolickich
Skwer Kard. S. Wyszyńskiego 6
01-015 Warszawa
www.rsk.edu.pl, biuro@rsk.edu.pl

Spis treści

Wprowadzenie 5

I. XXVII Ogólnopolskie Forum Szkół Katolickich

Konferencje i wykłady

Abp Stanisław Gądecki

Pastoralne wskazania zwyczajnego Synodu
o powołaniu i misji rodziny..... 7

Ks. prof. Piotr Mazurkiewicz

Wychowanie do dialogu międzykulturowego w szkole katolickiej.... 23

Ks. prof. Waldemar Chrostowski

Drogi i bezdroża sekularyzacji – głos Benedykta XVI 37

Ks. prof. Waldemar Chrostowski

Wiara jako dar i zobowiązanie 49

Prof. Katarzyna Olbrycht

Czy można pomóc młodemu w drodze do wiary..... 63

Ks. dr Marek Studenski

Nadzieja kluczem pedagogiki chrześcijańskiej..... 87

Ks. dr Wojciech Węgrzyniak

Między wiarą a beznadzieją – spojrzenie Ewangelii 101

Antoni Buchała

Wzorce wiary i nadziei w literaturze 121

Homilie

Abp Stanisław Gądecki

Co znaczy Jubileusz Chrztu Polski 137

Abp Wacław Depo

Być odpowiedzialnym także za innych 147

Bp Marek Mendyk

Wysłuchując się w Słowo Boże, uczyć się miłosierdzia 153

II. Konferencje nt. Aktu Przyjęcia Chrystusa za Króla i Pana

Bp Roman Pindel

Jak można uznać Chrystusa za Króla

Konferencja dla dyrektorów szkół, 19.08.2016. 157

Bp Andrzej Czaja

Jubileuszowy Akt przyjęcia Chrystusa za Króla i Pana – nadzieja i zadania

Konferencja na XXVII Forum Szkół, 04.11.2016 177

Bp Andrzej Czaja

Homilia w czasie Mszy św. w dniu Jubileuszowego Aktu Przyjęcia Jezusa

za Króla i Pana 19.11.2016 197

III. Praca z młodzieżą

Bp Grzegorz Ryś

Co dalej po ŚDM w Krakowie

Konferencja dla dyrektorów szkół katolickich, 03.11.2016 207

Wprowadzenie

„O Kościele mówi się dzisiaj bardzo dużo i właściwie nie ma gazety czy codziennych wiadomości – także w przekazach dalekich od Kościoła – w których nie byłoby problematyki kościelnej i religijnej. (...) Ale nie możemy się cieszyć (...): wraz z przywoływaniem problematyki religijnej i teologicznej narzuca się określony wizerunek religii, Kościoła, wiary i wychowania. Ten wizerunek, umiejętnie podawany i powtarzany, utrwała się. Paradoks polega na tym, że będąc nawet mocno osadzeni w Kościele, o Bogu i sprawach religijnych, mówimy językiem świata, który nas otacza, językiem gazet, telewizji oraz Internetu. Dokonuje się i nasila to, przed czym ostrzegał ks. Józef Ratzinger (...) – sekularyzacja, a wdzierą się ona do samego wnętrza Kościoła. (...) «Wizerunek Kościoła nowożytności w istotny sposób kształtuje fakt, że w zupełnie nieprzewidywalny sposób stał się on Kościołem pogan i proces ten postępuje». Gdybym miał powiedzieć te słowa wyłącznie od siebie, to bym się zawahał, czy zostanę dobrze zrozumiany, posądzony o krzewienie pesymizmu i nazbyt jednostronny punkt widzenia. Muszę jednak przyznać, że i moja ocena jest dokładnie taka sama. Niestety, Kościół staje się Kościołem pogan i proces ten postępuje»” – czytamy w wykładzie ks. prof. Waldemara Chrostowskiego, który przywołuje słowa ks. Józefa Ratzingera.

Autor przytacza także słowa Jana Pawła II zapisane w książce „Przekroczyć próg nadziei”: „Wciąż na nowo Kościół podejmuje zmaganie się z duchem tego świata, co nie jest niczym innym jak *zmaganiem się o duszę tego świata*. Jeśli bowiem z jednej strony jest w nim obecna Ewangelia i ewangelizacja, to z drugiej strony jest w nim także obecna *potężna anty-ewangelizacja* (...) i z całą determinacją przeciwstawia się Ewangelii i ewangelizacji”.

Szkoła katolicka jest i powinna pozostać po stronie ewangelizacji dzieci i młodzieży, rodziców i nauczycieli. Sama też musi być nieustannie ewangelizowana. Zagrożenia ze strony antyewangelizacji dotyczą także tej szkoły, jej nauczycieli, rodziców uczniów i samych uczniów.

Centrum szkoły katolickiej musi być Chrystus. Aby tak było, nauczyciele i wszyscy pracownicy szkoły mają się starać być świadkami Chrystusa wobec uczniów i ich rodziców. Być świadkiem Chrystusa to piękna misja, ale i wielkie wyzwanie.

Wykłady i konferencje wygłoszone do dyrektorów i nauczycieli szkół katolickich w roku 2016, które publikujemy – stanowić mogą cenną pomoc do kształtowania w sobie prawdziwego obrazu Kościoła, religii, wiary i wychowania; mogą służyć pogłębionej refleksji nad własnym rozwojem duchowym i zawodowym. I niech temu służą.

Abp Stanisław Gądecki

Pastoralne wskazania zwyczajnego Synodu o powołaniu i misji rodziny w Kościele i świecie współczesnym

Tematyka niniejszego wystąpienia jest ważna dla uczestników dzisiejszego forum. Ma również duże znaczenie dla wszystkich wychowanków szkół katolickich, ponieważ dzieci i młodzież powinni kształtować prawidłową wizję małżeństwa i rodziny.

Pierwszą ze spraw, które – według ostatniego Synodu – domagają się reformy w Kościele katolickim, jest „nawrócenie języka”. Postulat ten został wspomniany w *Relatio finalis* w punkcie 56. Język bowiem, którym wyrażamy prawdę o małżeństwie i rodzinie powinien być adekwatny – tak gdy idzie o przekazywanie młodym piękna miłości rodzinnej, jak również gdy chodzi o należyte wyjaśnianie terminów takich jak: dar z samego siebie, miłość małżeńska, wierność, płodność, prokreacja. Istnieje potrzeba nowego i bardziej odpowiedniego języka – bliższego codziennemu ludzkiemu doświadczeniu, a jednocześnie bardziej prowadzącego w głąb. Każdy, kto jest nauczycielem, spotyka się często z tego typu problemem. Musi bowiem wciąż zadawać sobie pytanie o to, w jaki sposób trafić do młodego pokolenia, które nieustannie się zmienia i domaga się stale nowych form

wyrazu. Jest to jeszcze bardziej istotne, gdy porusza się w kwestie rodzinne i małżeńskie.

Drugie ważne wskazanie dotyczy przygotowania do małżeństwa. Warto zauważyć, że Ojciec Święty w posynodalnej adhortacji *Amoris laetitia* proponuje zasadniczą zmianę w tej kwestii. Do tej pory mówiło się o przygotowaniu „do” małżeństwa i rodziny, czyli o towarzyszeniu narzeczonym w okresie przedślubnym, które wieńczone było momentem zawarcia sakramentu małżeństwa. Nie było natomiast mowy o tym, co dalej w sposób programowy proponować małżeństwu i rodzinie po ślubie. Radykalną zmianą, jaką Synod wprowadza, jest towarzyszenie małżeństwu aż do śmierci. Działania duszpasterskie nie powinny kończyć się zatem ceremonią zaślubin, ale winny trwać dalej – aż po grobową deskę.

W tym miejscu należałoby zapytać, co właściwie oznacza towarzyszenie małżeństwu i rodzinie przez Kościół? W jaki sposób Kościół może im towarzyszyć? W *Amoris laetitia*, w numerze 207, mówi się o tym, że zasadniczo: „Istnieje wiele uprawnionych sposobów organizowania bezpośredniego przygotowania do małżeństwa, a każdy Kościół lokalny rozezna, który z nich jest najlepszy, zapewniając odpowiednią formację, która jednocześnie nie zniechęci młodych do sakramentu. Nie chodzi o przedstawienie im całego katechizmu lub nasycenie ich zbyt wieloma kwestiami. Także i w tym wypadku prawdą jest, że «nie obfitość wiedzy, ale wewnętrzne odczuwanie i smakowanie rzeczy zadowala i nasycza duszę». Ważniejsza jest jakość niż ilość, a priorytetowo należy potraktować – wraz z odnowionym przepowiadaniem *kerygmy* – te treści, które przekazywane w sposób atrakcyjny i przyjazny pomogą im zaangażować się w proces trwający całe życie”.

A zatem w samym już punkcie wyjścia – gdy mówi się o przygotowaniu do sakramentu małżeństwa – ukazana zostaje pluralistyczna wizja duszpasterstwa: nie ma jednego modelu dla całego Kościoła powszechnego. Kościół w każdym kraju winien znaleźć własny najbardziej odpowiedni sposób przygotowania. Prawdopodobnie nigdy dotąd myśl tego typu nie była sformułowana w sposób tak jasny i bezpośredni.

Poruszając temat przygotowania do sakramentu mowa jest o wychowaniu do prawidłowego używania seksualności: „rodzina pozostając podstawową przestrzenią pedagogiczną, nie może być jedynym miejscem wychowywania do seksualności. Należy zatem stworzyć autentyczne i właściwe duszpasterskie programy wsparcia, skierowane zarówno do poszczególnych osób jak i par, ze szczególnym uwzględnieniem wieku dojrzewania i dorastania, w którym trzeba pomóc odkryć piękno seksualności w miłości. Chrześcijaństwo głosi, że Bóg stworzył człowieka jako mężczyznę i kobietę, i błogosławił im, aby tworzyli jedno ciało i przekazywali życie” (*Relatio finalis*, 58).

Przy właściwym wychowaniu do prawidłowego używania seksualności mówi się też o potrzebie nabywania cnót, a pośród nich o znaczeniu cnoty czystości jako „cennego warunku autentycznego rozwoju prawdziwej miłości międzyosobowej” (tamże). W odniesieniu do tej potrzeby uznano, że „istnieje konieczność większego zaangażowania całej wspólnoty, z podkreśleniem szczególnego znaczenia świadectwa samych rodzin, a także zakorzenienia przygotowania do małżeństwa w procesie inicjacji chrześcijańskiej, z zaakcentowaniem powiązania małżeństwa z chrztem oraz innymi sakramentami”- (*Amoris laetitia*, 206).

W 208 punkcie *Amoris laetitia* jest także mowa o przygotowaniu dalszym. Polega ono na tym, że dziecko od urodzenia powinno uczyć

się od własnych rodziców, czym jest chrześcijańskie małżeństwo. Problem jednak polega na tym, że wiele chrześcijańskich małżeństw z chrześcijaństwem niewiele ma wspólnego. Jak się uczyć tego przygotowania i dojrzewać do małżeństwa, skoro ze strony najbliższych brakuje świadectwa?

Przy tej okazji zwrócono uwagę na cenny wkład duszpasterstwa ludowego. Papieska adhortacja podaje smutny przykład wspomnienia Świętego Walentego, które w niektórych krajach jest lepiej wykorzystywane przez handlowców, niż przez duszpasterzy (por. *Amoris laetitia*, 208).

W myśl Synodu przygotowanie do sakramentu powinno zakładać też coś, co do tej pory nie bardzo było obecne w naszych programach duszpasterskich, a mianowicie: „Narzeczonych należy pobudzać i pomagać im, aby mogli wyrazić to, czego każdy oczekuje od ewentualnego małżeństwa, swego sposobu rozumienia, czym jest miłość i zaangażowanie, czego każdy z nich pragnie od drugiej osoby, jaki typ wspólnego życia chce planować. Rozmowy takie pomogą dostrzec, że w rzeczywistości niewiele jest punktów wspólnych i że samo wzajemne zauroczenie nie wystarczy, aby utrzymać związek. Nic nie jest bardziej zmienne, niepewne i nieprzewidywalne, niż pożądanie i nigdy nie należy zachęcać do decyzji o zawarciu małżeństwa, jeżeli nie doszło do pogłębienia innych motywacji, które dają tym zaręczynom realną szansę stabilności” (*Amoris laetitia*, 209).

Pojawia się także konieczność właściwego przygotowania do samej liturgii ślubnej. Nie chodzi tu tylko o wprowadzenie w techniczny przebieg ceremonii – o to, jak należy się poruszać po świątyni podczas obrzędu – ale o wprowadzenie w zrozumienie gestów, tekstów liturgicznych i wspólną modlitwę. Narzeczonych należy też przygotować przede wszystkim do tego, żeby byli „zdolni wybrać wesele

skromne i proste, aby umieścić miłość ponad wszystkim” (*Amoris laetitia*, 212).

W tym miejscu przypomina mi się doświadczenie początku pobytu w Rzymie w latach siedemdziesiątych. Przybywając wówczas ze zgrzebnej i smętnej polskiej rzeczywistości zobaczyliśmy kościoły bogato wystrojone kwiatami, z wszystkimi ławkami pokrytymi płótnami. Wydawało nam się to pompatyczne i dziwne, bo skutkiem tego było przeniesienie istoty ceremonii zaślubin na zewnątrz. Narzeczeni podczas celebracji skupieni byli bardziej na dekoracji i okazałym wystroju. Nie było natomiast właściwie wiadomo, po co oni ten ślub zawierają? Czy chodzi tylko o to, żeby nagrać film? Jedynymi osobami, które bezpośrednio brały udział w akcji liturgicznej, byli narzeczeni i duchowny oraz operator kamery. Cała natomiast rodzina stała pod chórem i plotkowała o rzeczach potrzebnych i niepotrzebnych, nie myśląc wcale o modlitwie. To, co w tamtym okresie dokonało się na Zachodzie, może dokonać się i u nas. Proces sekularyzacji stawia przed nami zatem wyzwanie – potrzeba przygotowania do skromnego i prostego, ale równocześnie przepojonego duchem wiary przeżywania momentu zawierania sakramentu małżeństwa.

Kolejny postulat synodalny dotyczy już sytuacji po zawarciu sakramentu. Chodzi o towarzyszenie duszpasterskie w pierwszych latach po ślubie. Jego celem jest dojrzewanie miłości, które jest związane także z nauczaniem się negocjowania: „Nie jest to postawa interesowna czy też gra typu komercyjnego, ale w ostatecznym rachunku wypełnianie wzajemnej miłości, bo te negocjacje są splotem wzajemnych darów i wyrzeczeń dla dobra rodziny. Na każdym nowym etapie życia małżeńskiego musimy usiąść do renegocjacji umów, tak aby nie było zwycięzców i przegranych, ale aby obydwójce zwyciężyli. Decyzji w domu nie podejmuje się jednostronnie, a obydwójce dzielą

odpowiedzialność za rodzinę, choć każdy dom jest wyjątkowy i każda synteza małżeńska jest inna” (*Amoris laetitia*, 220).

W towarzystwie małżeństwom już zawartym ważną rolę odgrywają parafie, ruchy, szkoły i inne instytucje Kościoła. Ich rolą jest zwłaszcza organizowanie spotkań małżeńskich czy rodzinnych, rekolekcji, konferencji, miejsc rozwijania duchowości, warsztatów formacyjnych dla rodziców dzieci problemowych czy ośrodków poradnictwa dotyczącego trudnych sytuacji rodzinnych, jak uzależnienia, zdrady czy przemoc w rodzinie (por. *Amoris laetitia*, 229).

Następnym wskazaniem Synodu jest dobre przygotowanie małżonków do zrozumienia kwestii przekazu życia. Wspomina się w tym miejscu papieża Pawła VI, kwestię antykoncepcji oraz nauczanie *Humanae Vitae*. Antykoncepcja jest zjawiskiem powszechnym, które wywiera ogromny wpływ na jakość życia małżeńskiego i rodzinnego. Antykoncepcję postrzegamy nie tylko w aspektach biologicznych, ale przede wszystkim myślimy o niej jako o problemie pociągającym za sobą poważne konsekwencje duchowe i psychologiczne. Przypomina się, że Kościół nie może zaakceptować antykoncepcji, ponieważ oddziela ona radykalnie siłę jednoczącą aktu małżeńskiego od przekazywania życia, a więc oddziela ludzką płciowość od płodności. To największa klęska społeczna od 1968 roku.

W 167 punkcie *Amoris laetitia* mówi: „Rodziny wielodzietne są dla Kościoła radością. W nich miłość wyraża swoją hojną płodność”. Promocja dużych rodzin nie oznacza jednak „zapominania o słusznej przestrodze św. Jana Pawła II, kiedy wyjaśnił, że odpowiedzialne rodzicielstwo nie jest «kwestią nieograniczonej prokreacji lub braku świadomości o znaczeniu wychowania dzieci, ale raczej możliwością daną małżeństwom, by mądrze i odpowiedzialnie korzystać ze swej

nienaruszalnej wolności, biorąc pod uwagę realia społeczne i demograficzne, jak i własną sytuację i uzasadnione pragnienia»”.

Kolejnymi zagadnieniami poruszonymi przez ojców synodalnych są: edukacja dzieci, wychowanie w sferze afektywnej, wychowanie uczuć – które same w sobie są ani dobre, ani złe, czuwanie rodziców nad programami szkolnymi i edukacyjnymi, wychowanie do wartości, a w szczególności wychowanie do wolności. W tym temacie papieski dokument mówi, że „wychowanie pociąga za sobą zadanie krzewienia odpowiedzialnej wolności, która w punktach kluczowych potrafi podejmować decyzje rozsądne i inteligentne; wychowanie osób, które bez zastrzeżeń rozumieją, że ich życie i życie ich wspólnot spoczywa w ich rękach, i że ta wolność jest ogromnym darem” (*Amoris laetitia*, 262). Ogromnym wyzwaniem dla każdej szkoły, jest wychowanie człowieka wolnego. Z punktu widzenia szkoły jako instytucji wygodniejsze jest, gdy stanowi ona „zespół niewolników” – gdzie jeden mówi, a reszta słucha i to wykonuje – niezależnie od tego, czy w to wierzy, czy też nie. Tymczasem przyszłe społeczeństwo może się obronić tylko wtedy, kiedy będzie miało w sobie ludzi prawdziwie wolnych i odpowiedzialnych. Inaczej byle jaka ideologia zniszczy i człowieka, i społeczeństwo.

Troska Kościoła dotyczy również człowieka znajdującego się w sytuacjach złożonych, na przykład takich, w których albo zachodzi wspólne zamieszkiwanie i współżycie ze sobą przy jednoczesnym odraczaniu przysięgi małżeńskiej na czas nieokreślony, albo gdy też po rozwodzie mamy do czynienia z natychmiastowym zakładaniem nowego związku. We wszystkich tych sytuacjach przypomina się tzw. „prawo stopniowości”, które – nawiasem mówiąc – sprawiło podczas Synodu niemało zamieszania. Wychodzi ono z założenia, że człowiek „poznaje, miłuje i czyni dobro moralne, odpowiednio

do etapów swojego rozwoju” (Jan Paweł II, *Familiaris consortio*, 34; por. *Amoris laetitia*, 295). Adekwatność czynów człowieka do etapu jego rozwoju oznacza, że na przykład od osoby bezdomnej i niewyedukowanej nie można oczekiwać tej samej wrażliwości moralnej, jakiej winno się spodziewać po osobie wewnętrznie uformowanej. „Prawo stopniowości” należy jednak wyraźnie odróżnić od „stopniowości prawa”. Prawo stopniowości oznacza w istocie „stopniowość w roztropnym wypełnianiu wolnych aktów w podmiotach, które nie są w stanie zrozumieć, docenić lub w pełni realizować wymogów prawa”. Jednak samo „prawo jest również darem Boga wskazującym drogę, darem dla wszystkich bez wyjątku, który można przeżywać mocą łaski, chociaż każdy człowiek rozwija się «powoli przez stopniowe włączanie darów Bożych»” (tamże).

Wspomniane prawo może być bardzo pożyteczne w szkole, w której najchętniej oczekiwilibyśmy, aby wszyscy uczniowie nagle, pod wpływem naszego nauczania, stali się geniuszami, dlatego wszystkim stawiamy tę samą poprzeczkę. Prawo stopniowości wskazuje jednak na to, że nie każdego na wszystko stać, że istnieje duże zróżnicowanie w naturze wychowanków. Dobry nauczyciel powinien mieć właściwe wyczucie, czego i kiedy może od dziecka wymagać.

Dokument posynodalny traktuje też o sytuacjach nieregularnych. Wychodząc od tezy, że odpowiedzialność za czyny może zostać pomniejszona w stosunku do norm ogólnych, zawiera on stwierdzenie – które niegdyś byłoby nie do pomyślenia – że „nie można już powiedzieć, że wszyscy, którzy są w sytuacji tak zwanej „nieregularnej”, żyją w stanie grzechu śmiertelnego, pozbawieni łaski uświęcającej” (*Amoris laetitia*, 301). Z tego też powodu adhortacja zachęca do poszukiwania elementów pozytywnych w różnego rodzaju związkach niesakramentalnych oraz małżeństwach mieszanych.

W dalszym tekście mówi się także o tym, że podobne podejście dotyczy osób homoseksualnych. Podczas pierwszej sesji nadzwyczajnej Synodu temat ten poruszono w sposób, który wzbudził bardzo duże zdumienie. Pozwoliło to wielu mediom skupić się na sprawie homoseksualizmu jakoby była ona w centrum synodalnych zainteresowań. Szybko jednak Synod zrozumiał, że należy jasno ukazać, iż jego głównym celem jest refleksja nad tematem małżeństwa i rodziny, nie zaś kwestia homoseksualizmu. Ojcowie przypomnieli więc nauczanie Kościoła – wyrażone już wcześniej przez Kongregację Nauki Wiary – „że każda osoba, niezależnie od swojej orientacji seksualnej, musi być szanowana w swej godności i przyjęta z szacunkiem, z troską, by unikać «jakichkolwiek oznak niesłusznej dyskryminacji»” (*Relatio finalis*, 76). Z drugiej jednak strony wyraźnie wskazano, że „nie istnieje żadna podstawa do porównywania czy zakładania analogii, nawet dalekiej, między związkami homoseksualnymi a planem Bożym dotyczącym małżeństwa i rodziny. (...) Synod uważa, że jest całkowicie niedopuszczalne, aby Kościoły lokalne doznawały nacisków w tej materii oraz aby organizmy międzynarodowe uzależniały pomoc finansową dla krajów ubogich od wprowadzenia praw ustanawiających „małżeństwo” między osobami tej samej płci” (tamże).

Innym jeszcze wyzwaniem pastoralnym dla duszpasterstwa jest tworzenie centrów formacyjnych – „wyspecjalizowanych ośrodków, gdzie księża, zakonnicy, świeccy uczą się troszczenia o każdą rodzinę, ze szczególnym zwróceniem uwagi na te, które przeżywają trudności” (*Relatio finalis*, 77). Załączki tego typu centrów w diecezjach już kiedyś powstawały, ale tu chodzi o coś poważniejszego – o szerszy zespół specjalistów, którzy by rzeczywiście mogli pomóc małżeństwom i rodzinom. Na kanwie tego mówi się dalej o centrach

pojednania dla małżeństw, które się rozpadły. Mowa również o instytucji mediatora, do którego pomocy można by się odwołać, gdy małżonkowie sami nie mają pomysłu lub siły, żeby naprawić to, co się między nimi popsulo. Podczas spotkań z mediatorem małżonkowie stopniowo uczyliby się uważnie słuchać argumentów drugiej strony, spokojnie i precyzyjnie artykułować swoje potrzeby oraz negocjować swoje prawa w związku. W końcu wypracowywaliby wspólnie założenia, których należy przestrzegać. W warunkach domowych często nie ma możliwości rozmawiania w ten sposób – albo brakuje dyskrecji z uwagi na obecność innych domowników, albo biorą górę emocje i rozmowa przeradza się w kłótnię. Mediator ustalałby reguły rozmowy, skłaniał do podjęcia pewnych zobowiązań i pilnował, by były one przestrzegane. Takiej funkcji, jak również przygotowanych do niej osób, jeszcze w Kościele nie ma.

Najbardziej dyskutowaną i najbardziej kontrowersyjną sprawą synodalną było rozeznanie stopnia odpowiedzialności i moralnej winy osób rozwiedzionych. Potwierdza się najpierw opartą na Piśmie Świętym praktykę niedopuszczania do Komunii eucharystycznej rozwiedzionych, którzy zawarli ponowny związek małżeński. Wierni, którzy żyją stale na sposób małżeński z osobą, która nie jest prawowitą małżonką albo prawowitym mężem nie mogą przystępować do Komunii świętej. Jeżeli zaś sądzą oni, że jest to możliwe, to – ze względu na ciężkość materii oraz na dobro duchowe osoby i dobro całej wspólnoty – pasterze i spowiednicy muszą pouczyć ich, że taki osąd sumienia jawnie sprzeciwia się nauczaniu Kościoła. *Amoris laetitia* wprowadza jednak czynniki łagodzące. W 305 punkcie czytamy: „Ze względu na uwarunkowania i czynniki łagodzące możliwe jest, że pośród pewnej obiektywnej sytuacji grzechu osoba, która nie jest subiektywnie winna albo nie jest w pełni winna, może

żyć w łasce Bożej, może kochać, a także może wzrastać w życiu łaski i miłości, otrzymując w tym celu pomoc Kościoła”. I tu pojawia się wzbudzający kontrowersje przypis 351, który mówi: „W pewnych przypadkach mogłaby to być również pomoc sakramentów”. Papież motywuje taką sugestią słowami: „zaznaczam, że Eucharystia «nie jest nagrodą dla doskonałych, lecz szlachetnym lekarstwem i pokarmem dla słabych»” (tamże).

Powyższe stwierdzenie doprowadziło do ogromnego zamieszania w wielu krajach i było źródłem rozmaitych interpretacji w poszczególnych Konferencjach Episkopatu. Najbardziej dorzeczną odpowiedź na powstałe w ten sposób trudności znalazłem w dniu 19 października 2016 roku w wywiadzie, którego francuskiej telewizji katolickiej KTO udzielił kardynał Ignacio Carasco de Paula, dawny przewodniczący Akademii *Pro Vita*. Mówi on tak: „*Amoris laetitia* nie upoważnia do dopuszczania do Komunii osób rozwiedzionych żyjących w nowym związku małżeńskim, których pierwsze małżeństwo było ważne”. To jest podstawa. „Są natomiast – mówi – inne przypadki, które trzeba jeszcze sprawdzić, czy małżeństwo było ważne”. W praktyce odpowiedź ta odwołuje się do procesów, które prowadzone są w sądach metropolitalnych czy diecezjalnych, podczas których szuka się podstaw, czy małżeństwo rzeczywiście było ważne, czy też nie. Praca sędziów tych trybunałów jest niezwykle trudna, jako że od stron procesowych słyszą oni niejednokrotnie wiele kłamstw, wymagających bardzo roztropnego rozeznania. Stąd też uważam, że w przygotowaniu nowego programu duszpasterskiego dla małżeństw i rodzin winniśmy w Polsce jasno te sprawy uporządkować, wcielając w życie zalecone zmiany, a jednocześnie nie wprowadzając zamętu który mógłby prowadzić do przekonania, że w życiu Kościoła powstaje teraz jakaś nowa teologia czy subiektywizm.

Kard. Müller, Prefekt Kongregacji Nauki Wiary wypowiadając się na temat interpretacji adhortacji *Amoris laetitia* przestrzegł przed takimi jej interpretacjami, które zaprzeczają nauczaniu Kościoła. Nie można żyć w stanie łaski, a zarazem w stanie grzechu. Kościół nie może zmieniać prawa Bożego, w tym nauki o nierozzerwalności małżeństwa. „Nie można mówić Jezusowi «tak» w Eucharystii i «nie» w małżeństwie. Jest to obiektywna sprzeczność”. Jeśli osoby rozwiedzione, żyjące w nowych związkach, pragną przystąpić do komunii, muszą albo rozstać się z nieprawowitym małżonkiem, albo zachować czystość, bo nie można usprawiedliwiać sytuacji, która jest sprzeczna z prawem Bożym.

Wspomniany wyżej przypis n. 351, w którym jest mowa o „pomocy sakramentów”, odnosi się ogólnie do obiektywnych sytuacji grzechu, a nie do tego konkretnego przypadku rozwiedzionych, którzy wstąpili w nowe związki. To, czego nauczali św. Jan Paweł II w *Familiaris consortio* i Benedykt XVI w *Sacramentum caritatis*, jest nadal niezmiennie ważne. Sytuacja osób rozwiedzionych żyjących w nowych związkach sprawia, że osoby te żyją w sprzeczności z sakramentem małżeństwa i tym samym w sprzeczności z dyscypliną sakramentów. Nikt nie może naprawdę przyjąć sakramentu Eucharystii, bez jednoczesnego starania się o to, aby żyć w zgodzie z innymi sakramentami. Każdy, kto zrywa węzeł małżeński, sprzeciwia się widocznemu znakowi sakramentu małżeństwa. To, co dotyczy istnienia cielesnego, staje się „antyznakiem” nierozzerwalności małżeństwa, nawet jeśli dana osoba nie ponosi subiektywnej winy. Właśnie dlatego, że jej życie cielesne jest sprzeczne ze znakiem nierozzerwalności, przeciwstawia się ona najwyższemu znakowi eucharystycznemu, w którym objawia się wcielona miłość Jezusa, przyjmowana w postaci Komunii. Gdyby Kościół zezwolił osobom rozwiedzionym

żyjącym w nowych związkach na przyjmowanie komunii, dopuściłby się tego, co św. Tomasz z Akwinu nazywa „falszowaniem znaków sakramentalnych”. Słowo Boże jest bardzo jasne. Nie może istnieć jakakolwiek sprzeczność między nauką Kościoła a osobistym sumieniem. Nie można na przykład powiedzieć, że występują okoliczności, w których cudzołóstwo nie byłoby grzechem śmiertelnym – powiedział kard. Müller.

Uczestnicy wspomnianej wyżej debaty w KTO zauważyli, że po ogłoszeniu posynodalnej adhortacji sytuacja jest trudniejsza niż wcześniej, ponieważ sformułowania użyte w dokumencie są nieprecyzyjne i wymagają interpretacji, a niektóre z pojawiających się interpretacji są sprzeczne z nauczaniem Kościoła. Prawdopodobnie dlatego Ojciec Święty przyjął, że interpretacja przedstawiona przez region Buenos Aires i wyrażona w dwustronicowym dokumencie, jest poprawna i Kościół powinien się jej trzymać.

Następnym postulatem dotyczącym osób znajdujących się w sytuacjach nieformalnych czy nadzwyczajnych jest ich „inkluzja” czyli włączanie, a nie wyrzucanie poza nawias. Kościołowi nie chodzi o usuwanie kogoś ze wspólnoty, ale raczej o głębsze włączanie wszystkich w jej życie. W punkcie 297 czytamy: „Nikt nie może być potępiony na zawsze, bo to nie jest logika Ewangelii!” Nawet osoby żyjącej w powtórny związek nie można wyrzucić poza Kościół, „dla takiej osoby może istnieć jakiś sposób uczestniczenia w życiu wspólnoty”. Jest ona bowiem w Kościele – może uczestniczyć w pracy społecznej, w Caritasie, w spotkaniach modlitewnych, w osobistych inicjatywach. Numer 299 zaznacza jednak, że należy tutaj unikać wszelkich okazji do zgorszenia.

Przy zachowaniu logiki integracji wydaje się konieczna odpowiedź na pytanie: co te osoby mogłyby robić? Jak mogłyby uczestniczyć

w różnych posługach kościelnych? Trzeba rozeznaczyć, „które z różnych form wykluczenia obecnie praktykowanych w dziedzinie liturgicznej, duszpasterskiej, edukacyjnej oraz instytucjonalnej można przezwyciężyć” (*Amoris laetitia*, 299), tzn. np. czy człowiek rozwiedziony może czytać podczas Mszy świętej czytania? Czy może być katechetą? Czy może być wychowawcą? W tym miejscu zdania są podzielone. Zdaniem jednych posługa tego rodzaju absolutnie nie jest możliwa, bo dana osoba daje złe świadectwo. Z kolei osoby rozwiedzione utrzymują, że właśnie one są najbardziej zdolne do dawania świadectwa, ponieważ teraz dopiero zrozumiały, co człowiek utracił. Są one też w stanie jeszcze intensywniej zachęcać do wspólnoty miłości tych, co przeżywają wątpliwości czy rozterki. Wspomniane dylematy są aktualne również dla Kościoła katolickiego w Polsce.

Wśród dalszych zagadnień synodalnych znalazła się katecheza rodzinna, czyli pierwszy rodzaj pouczenia w wierze, który uprzedza katechizację szkolną. Powinna znaleźć się ona u podstaw wychowania dzieci, uprzedzając wszystkie inne formy katechezy.

Kolejną kwestią jest wzajemne wspieranie się rodzin. W Polsce doświadczenie takie wnosi w dużej mierze Kościół Domowy i tym podobne ruchy rodzinne. Praca duszpasterska, którą miałem okazję podejmować w parafiach niemieckich, prowadzi mnie do konkluzji, że w przyszłości w Kościele zostaną tylko ludzie, którzy należą do stowarzyszeń i zrzeczeń katolickich. Za naszą zachodnią granicą często nie ma już praktycznie nikogo, kto by nie należał do jakiegoś stowarzyszenia katolickiego. Gdy człowiek zostaje sam, porzuca wiarę i opuszcza Kościół, poświęca się za to coraz bardziej pracy, gdyż po utracie wiary motorem do życia pozostaje jedynie motywacja ekonomiczna.

Jeszcze inne postulaty odnoszą się do interakcji Kościoła z instytucjami politycznymi, ekonomicznymi i kulturalnymi. Dobro rodzin wymaga takiej współpracy, czego świadectwem są działania prowadzone przez ruchy pro life w porozumieniu z innymi instytucjami. Przy tej okazji zaczynamy sobie uświadamiać, że my często nie zdajemy sobie sprawy z zapaści sumienia, jaka panuje w Polsce. Nie zdajemy sobie sprawy, że ludzie w ogóle nie wiedzą, co znaczy aborcja. Często uważają, że nienarodzone dziecko nie jest człowiekiem, a aborcja nie jest zabijaniem. Świadectwem takiego braku świadomości są między innymi czarne marsze, które – oprócz czynników czysto politycznych – za główny swój motyw mają poparcie dla aborcji. Ich uczestnicy nie zdają sobie sprawy, że aborcja oznacza zabijanie ludzkiego życia.

Ostatnim postulatem, o którym chciałem wspomnieć, jest ewangelizacja otoczenia. Rodzina jest powołana do bycia znakiem miłości Chrystusa, także dla ludzi znajdujących się daleko od wiary. Ma ona stanowić znak dla innych rodzin – dla tych, które jeszcze nie wierzą i dla tych, które choć są chrześcijańskie, to jednak nie żyją konsekwentnie według otrzymanej wiary. Podobnie jak u zarania chrześcijaństwa małżeństwo Akwili i Pryscylli występowało jako para misjonarska, tak dzisiaj Kościół świadczy o swojej nieprzemijającej nowości także przez obecność małżonków i rodzin chrześcijańskich, które na pewien czas udają się na tereny misyjne, aby głosić Ewangelię i służyć człowiekowi z miłością Jezusa Chrystusa.

Ks. prof. dr hab. Piotr Mazurkiewicz

Wychowanie do dialogu międzykulturowego w szkole katolickiej

Czas, w którym żyjemy nazywany jest niekiedy „wiekiem migracji”. Raport Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji (IOM) z roku 2015 podaje, że aktualnie ponad miliard ludzi na świecie jest migrantami, czyli co siódma osoba. Większość w tej grupie stanowią migranci wewnętrzni (ok. 760 milionów), z czego ponad 150 milionów to mieszkańcy Chin, którzy przenieśli się z rodzinnej wsi do miasta. W roku 2015 rekordowo wysoka była liczba migrujących poza swój kraj pochodzenia – około 244 milionów osób (wzrost o 41% w stosunku do 2010 r.). W 2015 r. niezmiernie wysoka była również liczba uchodźców – 20,2 mln. W samej UE złożono w zeszłym roku 1,2 mln wniosków o azyl (536 tys w 2014 r.). Najwięcej wniosków zarejestrowano w Niemczech (przeszło 442 tys.). Najliczniejsi wśród ubiegających się o azyl w UE są Syryjczycy, Afgańczycy i Irakijczycy. Większość uchodźców z tych krajów mieszka jednak poza Europą (Turcja – ponad 2 mln; Liban – ponad milion; Jordania – około 600 tys.)¹. Polska wciąż jest krajem emigracji. Szacuje się, że w ciągu ostat-

¹ Por. Z. Kinowska, Idea australijskiej wielokulturowości w perspektywie kryzysu migracyjnego, *Studia polityczne* 3 (43) 2016, s. 32-33.

niej dekady wyjechało z Polski około 2 mln osób. Masowa emigracja i niski wskaźnik dzietności nie są dobrą prognozą demograficzną dla Polski.

Zwiększona mobilność ludzi sprawia, że wielokulturowość jest faktem, z którym spotykamy się we wszystkich metropoliach zachodniego świata. Nie jest to fakt całkowicie nowy. Jeśli wspomnimy XIX-wieczne polskie miasta takie, jak Lwów, Wilno, Warszawę czy Łódź; spotkania ludzi należących do różnych kultur czy religii były w nich częścią codziennego życia². Na zachód od Polski wielokulturowość jest konsekwencją dekolonizacji, poszukiwania rąk do pracy w okresie powojennym (*Gastarbeiterzy*) oraz europejskiej integracji gwarantującej obywatelom unijnym swobodę przemieszczania.

W naukach społecznych odróżnia się wielokulturowość jako fakt społeczny, zjawisko współistnienia na jednym terytorium osób należących do różnych kultur, od wielokulturalizmu (multikulturalizmu) jako ideologii głoszącej jeden konkretny model relacji między tymi osobami i wspólnotami, potocznie zwany *multi-kulti*. Wielokulturowość jako fakt w niewielkim tylko stopniu zależy od woli pojedynczego człowieka; decyzje polityczne wywierają jednak już dość znaczący wpływ na kształt tego zjawiska (polityka demograficzna i migracyjna; większa lub mniejsza otwartość państwa na migrantów; wybór kierunków migracji; przyjęte kryteria: bliskość kulturowa, znajomość języka, wyznawana religia, wykształcenie itp.).

² Por. U. Altermatt, *Multiculturalism, Nation State and Ethnicity: Political Models for Multi-Ethnic States*, w: H. Kriesi, K. Armingeon, H. Siegrist, A. Wimmer (red.), *Nation and National Identity. The European Experience in Perspective*, Verlag Rüegger, Chur - Zürich 1999, s. 19.

Różne interpretacje pluralizmu

Omawiany dokument Kongregacji ds. Edukacji Katolickiej przedstawia pokrótce trzy możliwe postawy wobec zjawiska wielokulturowości. Pierwsza związana jest relatywizacją wartości poszczególnych kultur. Zdaniem zwolenników tego poglądu, nie istnieje żadne obiektywne kryterium wartościowania kultur, z czego wynika, że są one równowartościowe. Konsekwencją jest kulturowy eklektyzm; kultury egzystują obok siebie, ale są od siebie oddzielone. W praktyce życia społecznego efektem jest „gettoizacja”, tzn. istnienie obok siebie małych, zamkniętych wspólnot kulturowych, co widoczne jest w wielu współczesnych metropoliach. Ludzie tworzący poszczególne wspólnoty etniczne nie znajdują istotnych powodów, aby wchodzić w interakcje z dominującą kulturą. Często nie pojawia się nawet potrzeba uczenia się miejscowego języka, skoro nie istnieje powód, aby w ogóle wychodzić ze swojej dzielnicy. Jest to część szerszego zjawiska określanego mianem globalizacji. Ludzie wybierają życie w małej lokalnej wspólnocie, w dużym stopniu zamkniętej na innych, ale wspólnota ta – za sprawą mediów elektronicznych umożliwiających niemal nieograniczoną komunikację z krajem pochodzenia – może być ulokowana w dowolnym miejscu świata.

Drugą formą reakcji na wielokulturowość jest polityka asymilacji. Wiele współczesnych narodów ma świadomość, że dotyka je – być może – nieodwracalny kryzys demograficzny, który przyniesie z czasem również bardzo negatywne konsekwencje ekonomiczne. W związku z tym – w myśl hasła *populate or perish* – decydują się na przyjmowanie cudzoziemców, ale pod warunkiem, że zrezygnują oni z własnej tożsamości kulturowej i „wtopią się w tłum”. Odmienność

kulturowa jest bowiem postrzegana jako zagrożenie nie mniejsze niż depopulacja.

Trzecie stanowisko, proponowane w omawianym dokumencie, to podejście międzykulturowe. Zakłada ono, że różnicowanie kulturowe samo w sobie jest wartością. Różnorodne bowiem kultury to odmienne odpowiedzi na pytanie o tajemnicę Boga i tajemnicę człowieka. Pokojowa konfrontacja tych rozmaitych odpowiedzi jest szansą bardziej świadomego i pogłębionego wyboru własnej interpretacji sensu istnienia. Autorzy dokumentu przytaczają racje teologiczne, antropologiczne i pedagogiczne stojące za takim podejściem. Po pierwsze, w perspektywie teologicznej, ludzie są wezwani, aby kształtować swoje relacje społeczne na podobieństwo komunii Osób Bożych – „aby stanowili jedno, tak jak My jedno stanowimy” (J 17, 22). „W świetle objawionej tajemnicy Trójcy Świętej rozumie się szczególnie, że prawdziwe otwarcie nie oznacza odśrodkowego rozproszenia, lecz głębokie wzajemne przenikanie” (37). Po drugie, w perspektywie antropologicznej, człowiek jest istotą dialogiczną. Powołany jest do życia we wspólnocie, wychodzenia poza siebie i wchodzenia w relacje w innymi osobami. Wyjście poza własne „ja” może służyć wzmocnieniu własnej tożsamości. Bez niego natomiast nie jest możliwe zaspokojenie jednej z najgłębszych potrzeb człowieka – pragnienia miłości. Po trzecie, od strony pedagogiki komunii, kontakt nawiązuje się zawsze między osobami, a nie między kulturami. Spotkanie drugiego człowieka, który jest „inny”, pomaga w odkryciu godności każdej osoby ludzkiej i jedności rodzaju ludzkiego. Uczy przekraczać siebie i własne ograniczenia, szanować osobę, która szuka prawdy o swoim istnieniu, pogłębiać relacje z innymi osobami³. Kulturowe

³ Jako przykład możliwości uczenia się rzeczy istotnych życiowo także od innych niż chrześcijańska kultur, przytaczam zasłyszaną indiańską opowieść: „Dziadek Indianin

odmienności – zgodnie z tym modelem - przeżywane powinny być w perspektywie jedności rodzaju ludzkiego.

Człowiek zawsze bytuje w jakiejś kulturze. Doskonałą ilustracją jest uczenie się mowy przez dziecko. Mówimy o języku matki (*mother tongue*), ale przecież matka nie wymyśla języka, w którym komunikuje się ze swoim dzieckiem. Używa języka, w który została wyposażona przez wspólnotę, słów, których znaczenie ukształtowało się w ciągu wieków. A jednak kultura ta i język nie są dane raz na zawsze, jako rzeczywistości statyczne. W nauczaniu katolickim dominuje dynamiczna koncepcja kultury; kultura nie jest rzeczywistością raz na zawsze zamkniętą; wciąż wchodzi w interakcje z innymi kulturami i w tej konfrontacji udziela własnych odpowiedzi; nie wiemy, jaki los jest pisany każdej z aktualnie istniejących kultur (4); nie ma pewności, że przetrwa konfrontację – stąd potrzeba odwagi dialogu - ale jako pierwsze umierać będą kultury zamknięte, które w jakimś sensie już są martwe, skamieniałe.

Fakt, że nie istnieje jakiś jeden wzorzec kultury, kultura w czystej postaci (3), nie oznacza, że jakiegokolwiek wartościowanie kultur nie jest możliwe. Jednak kryterium oceny poszczególnych elementów kultury ma charakter antropologiczny. W świetle chrześcijańskiej wizji człowieka pytamy o to, co służy prawdziwemu dobru osoby i jego integralnemu rozwojowi. Pojawia się zarazem zadanie oczyszczenia kultur ze „wszystkich elementów nieludzkich” (20). „Względność kultur nie oznacza relatywizmu” (42).

Gotowość do dialogu międzykulturowego zakłada istnienie silnej tożsamości kulturowej. W procesie wychowania trzeba zatem wpajać ludziom świadomość ich własnych korzeni; dawać dostęp do

tłumaczy wnuczkowi: «W życiu zawsze będą ci towarzyszyły dwa wilki: czarny i biały. Będą one stale ze sobą walczyły». «A który wygra?» - pyta wnuk. «Ten, którego karmisz»”.

możliwości poznania własnej religii oraz pewnych aspektów innych religii (18). W dialogu „bowiem nie chodzi tylko o to, aby się nawzajem szanować: proces ten zakłada kwestionowanie z góry przyjętego osądu tak, by każdy człowiek mógł zrozumieć i przedyskutować punkt widzenia drugiej osoby” (43). Jest to szczególnie oczywiste w konfrontacji z różnymi formami ateizmu i niereligijnymi koncepcjami humanizmu (12; 72). W obliczu procesów laicyzacji, które marginalizują doświadczenie religijne i głębszy namysł antropologiczny, „dialog życia” nie jest dążeniem do kompromisu, ale miejscem wierności własnej, chrześcijańskiej tożsamości. Jest przestrzenią „wzajemnego świadectwa wierzących, należących do różnych religii, aby bardziej i lepiej poznać religię drugiego człowieka i wynikające z niej postawy etyczne. Dzięki bezpośredniemu i obiektywnemu poznawaniu drugiego człowieka oraz wymogów religijnych i etycznych, cechujących jego *credo* i praktykę, wzrastają wzajemny szacunek i poważanie, obopólne zrozumienie, zaufanie i przyjaźń. «Dialog ten, aby był prawdziwy, musi być jasny, unikać relatywizmu i synkretyzmu i kierować się szczerym poszanowaniem innych oraz duchem pojednania i braterstwa»” (15).

Reakcja na „obcego” - odpowiedzialność szkoły katolickiej

Dzieci i młodzież coraz częściej spotykać będą na swej drodze osoby należące do innych kultur i wyznające inne religie⁴. Powsta-

⁴ „Migracje «są innym znakiem czasów, który należy rozpatrzyć i zrozumieć, z całym brzemieniem konsekwencji dla życia rodzinnego». Ostatni Synod nadał dużą wagę temu zjawisku stwierdzając, że «dotyka ono, na różne sposoby, całych populacji, w różnych częściach świata. Kościół odegrał w tej dziedzinie rolę pierwszoplanową. Konieczność zachowania i rozwijania tego ewangelicznego świadectwa (por. Mt 25, 35) wydaje się obecnie pilniejsza niż kiedykolwiek. [...] Ludzka mobilność, która odpowiada naturalnemu historycznemu ruchowi narodów, może okazać się autentycznym ubogaceniem zarówno dla rodziny, która emigruje, jak i dla kraju, który ją przyjmuje. Inną sprawą jest przymusowa migracja rodzin w konsekwencji wojny, prześladowań,

je pytanie: jakie będą ich pierwsze reakcje? Czy znamionować je będzie raczej otwartość czy też wrogość wobec „obcego”, życzliwość czy agresja, zainteresowanie i gotowość dialogu czy też obojętność i dążenie do izolacji? Czy przeżywać je będą w duchu ekskluzywnego nacjonalizmu czy inkluzywnego patriotyzmu? Autorzy dokumentu wyrażają przekonanie, że szkoła powinna odgrywać istotną rolę w przygotowaniu do życia w wielokulturowym społeczeństwie. Powinna być „laboratorium międzykulturowości” (58), miejscem spotkania i współistnienia różnic. „Uczeń na swojej drodze kształcenia wchodzi w kontakt z różnymi kulturami i musi dysponować odpowiednimi narzędziami, aby je zrozumieć i odnieść do własnej. Szkoła, otwarta na spotkanie z innymi kulturami, ma za zadanie zapewnić wsparcie, tak aby każda osoba ukształtowała tożsamość świadomą własnego bogactwa i tradycji kulturowej” (50)⁵.

biedy, niesprawiedliwości, naznaczona perypetiami podróży, która często zagraża życiu, wywołuje urazy i destabilizuje rodziny. Towarzystwo migrantom wymaga specjalistycznego duszpasterstwa skierowanego do rodzin migrujących, ale także do członków rodzin pozostałych w miejscu pochodzenia. Musi być ono realizowane z poszanowaniem ich kultur, formacji ludzkiej i religijnej, z której się wywodzą, bogactwa duchowego ich obrzędów i tradycji, także poprzez im właściwe duszpasterstwo. [...] Migracje jawią się jako szczególnie dramatyczne i katastrofalne dla rodzin i osób, kiedy odbywają się poza prawem i są wspierane przez międzynarodowe sieci handlu ludźmi. To samo można powiedzieć, gdy dotyczą kobiet i dzieci bez opieki, zmuszonych do dłuższych pobytów w miejscach przejściowych, w obozach dla uchodźców, w których nie można podjąć procesów integracji. Skrajne ubóstwo i inne sytuacje rozkładu doprowadzają niekiedy rodziny do sprzedawania swoich dzieci na prostytucję lub handel narządami». «Prześladowania chrześcijan, jak również prześladowania mniejszości etnicznych i religijnych, w wielu częściach świata, szczególnie na Bliskim Wschodzie, stanowią wielką próbę nie tylko dla Kościoła, ale także dla całej wspólnoty międzynarodowej. Należy wspierać każdy wysiłek na rzecz ciągłego trwania rodzin i wspólnot chrześcijańskich w ziemiach ich pochodzenia» (Franciszek, *Amoris laetitia*, 46).

⁵ W następnym zdaniu autorzy dokumentu sugerują, że największym dobrodziejstwem szkoły katolickiej jest „dawanie świadectwa o ciągłym, ścisłym przeplataniu się, do jakiego dochodzi między tożsamością a odmiennością, w ich dynamicznym wzajemnym

Nie jest całkiem jasne, czy szkoła katolicka z zasady powinna werbować uczniów i nauczycieli w taki sposób, aby osiągnąć cel, jakim jest różnorodność kulturowa i religijna, czy może powinna być do pewnego stopnia otwarta na osoby, które są wyznawcami innych religii i potrafić ich zintegrować w katolickiej wspólnotcie czy też sama wspólnota uczniów katolickich w epoce globalizacji jest faktycznie wielokulturowa⁶. W różnych rejonach geograficznych mamy w tym zakresie odmienne doświadczenia. Często w krajach muzułmańskich szkoły katolickie - tanie, ale zapewniające stosunkowo wysoki poziom kształcenia - są naturalnym miejscem życzliwego kontaktu z wyznawcami islamu. We Francji, na przykład, część działaczy partii komunistycznej posyłała swoje dzieci do szkół katolickich z uwagi na model wychowania. W innych krajach społeczność dzieci i młodzieży w szkołach katolickich jest raczej homogeniczna. W dokumencie, z jednej strony, mamy deklarację, że za podstawę szkolnej wspólnoty wystarczy przyjąć, łączącą ludzi wszystkich kultur, złotą zasadę: „Postępuj względem innych tak, jak chciałbyś, aby postępowano względem ciebie; nie czyń innym tego, czego nie chciałbyś, aby uczyniono tobie” (51). Z drugiej zaś, że placówka katolicka odwołuje się zawsze do chrześcijańskiej wizji rzeczywistości, podzielanej – choć w różnym stopniu – przez wszystkich członków wspólnoty szkolnej, na tyle jednak, że „zasady ewangeliczne stają się w niej normami wychowawczymi” (63).

przenikaniu się, w rozmaitych relacjach między dorosłymi (nauczycielami, rodzicami, wychowawcami, kierującymi instytucjami...), między nauczycielami a młodzieżą, młodzieży między sobą, bez uprzedzeń co do kultury, płci, klasy społecznej czy religii” (50). Fragment ten nieco trąci heglizmem i zdaje się świadczyć, że termin „dialektyka” oraz „duch prawa” nie przypadkiem pojawiły się odpowiednio w numerze 12 i 49.

⁶ „Uwrażliwienie na wymiar międzykulturowy nie jest nowością w tradycji szkoły katolickiej, która przyzwyczajona jest do przyjmowania uczniów pochodzących z różnych środowisk kulturowych i religijnych, jednak dziś wymagana jest w tym zakresie odważna i twórcza wierność własnemu projektowi edukacyjnemu” (57).

Odczytując powyższe zdania w kontekście całości dokumentu wątpliwości w dużym stopniu się rozwiewają. Mamy bowiem wiele fragmentów jasno podkreślających potrzebę troski o wyraźną katolicką tożsamość szkoły. Szkoła katolicka „nie ogranicza się do ogólnikowej inspiracji chrześcijańskiej bądź wartościami humanistycznymi. Ma ona obowiązek dać uczniom katolickim oprócz dobrej znajomości religii także możliwość coraz ściślejszego osobistego poznania Chrystusa w Kościele” (53). Pierwszym jej obowiązkiem jest dawanie świadectwa, gdyż z powodu procesu laicyzacji „znajduje się w sytuacji misyjnej, także w krajach o długiej tradycji chrześcijańskiej” (57). Tekst zawiera także przestrożę przed niebezpieczeństwem utraty poczucia racji swojego istnienia. „Dzieje się tak na przykład, kiedy bezkrytycznie dostosowuje się ona do oczekiwań danego społeczeństwa, cechującego się wartościami takimi jak indywidualizm i rywalizacja, biurokratyczny formalizm, konsumpcjonistyczne roszczenia rodzin bądź nadmierne zabieganie o aprobatę otoczenia” (56). Tymczasem tym, co najcenniejszego może ofiarować społeczeństwu jest właśnie jej katolickość (57).

Program nauczania wyrazem tożsamości (kulturalnej i pedagogicznej) szkoły

Dokument zawiera główne wytyczne programu wychowawczego. Na liście znalazły się: kryterium tożsamości katolickiej, tworzenie wspólnej wizji, rozsądne otwarcie na globalizację, kształtowanie mocnych tożsamości, rozwijanie auto-refleksyjności, szanowanie i zrozumienie wartości innych kultur i religii oraz wychowanie do uczestnictwa i do odpowiedzialności. Tłumacząc oryginalność misji szkoły katolickiej autorzy zwracają uwagę na konieczność umieszczenia w centrum zainteresowania osoby poszukującej

sensu (65). Przekłada się to na konkretne treści oraz formy przekazywania wiedzy. O ile dzisiaj często mówi się o tzw. społeczeństwie wiedzy, szkoła katolicka powinna stawiać sobie za cel działanie na rzecz budowy społeczeństwa mądrości. Oznacza to konieczność wyjścia poza sam fakt posiadania wiedzy tak, by wyrabiać u uczniów umiejętność samodzielnego myślenia, oceniania faktów w świetle wartości, brania na siebie odpowiedzialności, podejmowania czynnego udziału w życiu społecznym, poznawania różnych kultur i gotowości do konfrontacji z różnymi punktami widzenia (66). W szkole powinna być podejmowana refleksja nad wielkimi problemami naszych czasów, takimi jak: ubóstwo, nierówności społeczne i ekonomiczne, niesprawiedliwość, negowanie praw człowieka. Od strony metodologicznej autorzy dokumentu chcieliby, aby w przekazie wiedzy następowało dynamiczne łączenie różnych dziedzin nauki w perspektywie mądrości, gdyż poszczególne dyscypliny nie są odrębnymi wyspami (67). Wydaje się, że jest to nawiązanie do tradycyjnej koncepcji uniwersytetu katolickiego, który miał być katolicki, czyli powszechny/universalny również poprzez dawanie dostępu do powszechnej wiedzy. W języku angielskim do dzisiaj *Catholic education* nie oznacza wyznaniowego charakteru edukacji, ale szerokość horyzontów.

Autorzy dokumentu wyrażają przekonanie, że wielokulturowy skład klas wymusza „studiowanie cywilizacji wcześniej nieznanych lub odległych” (68). Troska zaś o międzykulturowość w procesie uczenia się powinna obejmować zarówno wymiar poznawczy, jak i relacyjno-afektywny (empatia, umiejętność współpracy) (69), gdyż „miłość do człowieka (...) jest także miłością do jego kultury” (61).

Kolejny wątek to kwestia nauczania religii katolickiej w szkole. Autorzy zwracają uwagę na różnicę między lekcją religii, nastawioną

na przekazywanie wiedzy religijnej, a katechezą nastawioną na przywiązanie do osoby Jezusa Chrystusa i dojrzewanie w życiu chrześcijańskim (74). Nauczanie religii ma status przedmiotu szkolnego umieszczonego w programie obok innych przedmiotów. Zadanie tak postrzeganego przedmiotu nauczania zakreślone jest dość skromnie jako podtrzymywanie dialogu interdyscyplinarnego i międzykulturowego, a przez to „poszerzenie przestrzeni naszej racjonalności” (75). Nauczanie religii powinno mieć charakter konfesyjny. „Jeśli [bowiem] nauczanie religijne ogranicza się jedynie do przedstawiania różnych religii w sposób porównawczy i «neutralny», może być ono źródłem zamętu czy też rodzić relatywizm bądź indyferentyzm religijny” (75).

Formacja nauczycieli i dyrektorów

„W większości państw – czytamy w dokumencie - formację podstawową pracowników szkolnych zapewnia państwo. Niezależnie od tego, jak dobry byłby jej poziom, nie można jednak uznawać jej za wystarczającą; istnieje bowiem specyfika szkoły katolickiej, którą trzeba zawsze brać pod uwagę i pogłębiać” (76). Wśród specyficznie katolickich wymagań wymienia się:

- postrzeganie szkoły jako wspólnoty, w której panują braterskie relacje,
- spójność między wykonywaną pracą a wyznawaną wiarą,
- współdziałanie z rodzicami, jako pierwszymi i naturalnymi wychowawcami.

„Dobra szkoła to taka, w której ciało pedagogiczne potrafi stać się czymś więcej niż formalnym zespołem, którego członków łączą więzy biurokratyczne; wspólnotą, w której można doświadczać relacji zawodowych i osobistych, nie tylko powierzchownych, ale znacznie głębszych, związanych ze wspólną troską o wychowanie” (82). Niewątpliwie w dobie profesjonalizacji istnieje pokusa,

aby szkołę traktować jak firmę czy przedsiębiorstwo, które powinno być efektywnie zarządzane. Praca w szkole wymaga jednak nie tylko umiejętności przekazywania wiedzy, ale również kształtowania charakterów i osobowości, co związane jest w wprowadzaniem młodych ludzi w świat wartości, a w przypadku szkoły katolickiej, która jest podmiotem eklezjalnym” (86), również przewodzenia im w wierze. „Dyrektor szkoły – bardziej niż menedżerem jakiejś organizacji – jest liderem w wychowywaniu, kiedy potrafi pierwszy wziąć na siebie tę odpowiedzialność, która jawi się także jako misja kościelna i pasterska, zakorzeniona w relacji z pasterzami Kościoła” (85). Ów wymiar eklezjalny nie jest jedynie jakimś dodatkowym rysem, ale cechą charakterystyczną szkoły katolickiej (86). Eklezjalność szkoły katolickiej, wpisana w samą jej naturę, jest przyczyną „więzi instytucjonalnej, jaką utrzymuje [ona] z hierarchią Kościoła, która gwarantuje, że nauczanie i wychowanie będą oparte na zasadach wiary katolickiej i realizowane przez nauczycieli odznaczających się prawą doktryną i uczciwym życiem (por. kan. 803 KPK; cc. 632 i 639 KKKW)”. Z drugiej zaś strony, ordynariusze diecezji „mają «obowiązek czynić wszystko, ażeby wszyscy wierni mogli otrzymać katolickie wychowanie» (kan. 794 § 2 KPK) oraz dokładniej, «by istniały szkoły upowszechniające edukację przenikniętą duchem chrześcijańskim» (kan. 802 KPK; por. kan. 635 KKKW)”.

Zakończenie

W zakończeniu dokumentu autorzy podkreślają, że szkoła katolicka jest otwarta „na powszechność wiedzy, a zarazem posiada specyfikę, wynikającą z zakorzenienia w wierze w Chrystusa Nauczyciela i z przynależności do Kościoła”. Wystrzega się fundamentalizmu

i relatywizmu, starając się coraz wierniej podejmować ewangeliczną inspirację. Uczy szacunku dla każdego człowieka, umiejętności słuchania i szczerego wypowiedania się, oraz dawania świadectwa wiary dzięki spójności słów i życia.

Ks. prof. dr hab. Waldemar Chrostowski

Drogi i bezdroża sekularyzacji – głos Benedykta XVI

W powyższym temacie bardzo ważny jest również drugi człon: „Głos Benedykta XVI”. Za punkt odniesienia refleksji wybrałem tekst *Neopoganie i Kościół*, który Józef Ratzinger – młody jeszcze wówczas ksiądz – napisał i opublikował w 1958 roku, siedem lat po święceniach kapłańskich, gdy liczył zaledwie 31 lat życia. Jego tekst, z jednej strony, był profetyczny i takim pozostaje do dzisiaj, aczkolwiek upłynęło już kilkadziesiąt lat. Z drugiej strony, właśnie stał się powodem oskarżeń ks. Józefa Ratzingera oraz niechęci, z jaką się wtedy (i później) spotykał, a nawet izolacji, o której dyskretnie wspomina w ostatnim wywiadzie-rzece zatytułowanym *Ostatnie rozmowy*. Mówiono, że diagnoza, którą postawił, jest zbyt krytyczna i nadmiernie przesadna.

Rok 1958 – zaledwie 13 lat po zakończeniu II wojny światowej i na krótko przed zwołaniem przez papieża Jana XXIII Soboru Watykańskiego II. Ten kontekst jest bardzo ważny i znaczący. W 1958 roku zmarł papież Pius XII, a na jego następcę został wybrany posunięty w latach kardynał Angelo Roncalli, który przybrał imię: Jan XXIII. Miał to być papież przejściowy. Okazało się jednak, że jego pontyfikat, który trwał zaledwie 5 lat, wywarł trwałe wpływy na dalsze losy Kościoła. Młody ksiądz Ratzinger napisał: „Według statystyk

religijnych stara Europa to wciąż jeszcze całkowicie chrześcijański kontynent, lecz nie ma drugiego podobnego przypadku, co do którego mielibyśmy aż tak dogłębną świadomość, że statystyki się nie mylą”. Jest to bardzo oryginalny i niezwykle odważny punkt wyjścia. W Europie Zachodniej coraz bardziej popularne stawały się badania socjologiczne. (Przypomnijmy, że kardynał Stefan Wyszyński był nieufny wobec socjologicznych ankiet i badań, czyli sprowadzania Kościoła jedynie do perspektywy statystycznej.) Wyglądało na to, że Europa jest nadal bardzo chrześcijańska, bo statystyki są obiecujące, a więc problemu nie ma. Ksiądz Ratzinger twierdził, że nie można polegać na statystykach. I tutaj – pierwsza puenta: statystyki w odniesieniu do Kościoła pozostają wciąż modne. W ostatnich latach nieustannie są przeprowadzane rozmaite badania, np. mieliśmy niedawno, w październiku, liczenie wiernych obecnych: mężczyzn i kobiet oraz tzw. *communicantes*, czyli przystępujących do Komunii świętej. Na tej podstawie są sporządzane rozmaite wykresy: pokazuje, że frekwencja idzie do góry albo spada w dół. To samo dotyczy liczby powołań kapłańskich i zakonnych. Na podstawie statystyk są formułowane rozmaite, często zupełnie przeciwne, oceny. Tymczasem ks. Józef Ratzinger twierdził, że na statystykach polegać nie można, że trzeba pójść dużo głębiej.

„Zwąca się jeszcze mianem chrześcijańskiej Europa od czterystu lat to siedlisko nowego pogaństwa narastającego niepowszymanie w sercu Kościoła i grożącego mu drenażem od wewnątrz”. Te słowa stały się przedmiotem ogromnej krytyki. Są to słowa o Europie, która nadal nazywa się chrześcijańską, ale w gruncie rzeczy stała się siedliskiem nowych odmian pogaństwa. Nie czas tutaj i miejsce, by tę nową sytuację Europy zdiagnozować w perspektywie Reformacji, która od XVI w. zbiera swoje żniwo. Niedawno zostały zainaugurowane

obchody 500-lecia Reformacji, ustawiane w kontekście ekumenicznym, ale musimy pamiętać, że pół tysiąca lat, które upłynęły od wystąpienia Marcina Lutra i podziałów w Kościele, było naznaczone niszczycielskimi podziałami i konfliktami, cierpieniami, wojnami religijnymi, prześladowaniami. Europa spłynęła krwią, a więc to, co zostało wtedy zapoczątkowane, bardzo dużo Europę kosztowało.

Jednak ks. Ratzinger napisał nie tylko o narastaniu pogaństwa, lecz, że nowe pogaństwo narasta „niepowstrzymanie w sercu Kościoła i grozi mu drenażem od wewnątrz”. Oto największy problem! To, że pogaństwo istnieje – wiadomo, istniało zawsze. To, że są ludzie, którzy nie wierzą w Boga, czy nie są chrześcijanami – też wiemy. Ale Ratzinger prawie 70 lat temu napisał, że pogaństwo wdziera się do serca Kościoła, do jego wnętrza, a więc niszczy i rozsadza Kościół od wewnątrz. To jest diagnoza do dzisiaj niechętnie powtarzana i rozważana. Wydaje się nam, że granica między dobrem i złem, między tym, co świetlane, i tym, co mroczne, przebiega między ludźmi. Pojawia się pokusa, abyśmy postrzegali siebie, Kościół taki, jaki jest – wyłącznie w perspektywie dobra, natomiast wszystkich, którzy są poza Kościołem – już nie. Tymczasem granica między dobrem i złem przebiega w każdym człowieku. Dlatego również do Kościoła wdziera się to, co mroczne i grozi mu drenażem od wewnątrz.

W związku z tym dygresja – wspomnienie, do którego często wracam. Na początku nowego stulecia Jerzy Kawalerowicz nakręcił film *Quo Vadis* na podstawie powieści Henryka Sienkiewicza. Współpracowałem w tym dziele jako taki konsultant religijny i teologiczny. Gdy przygotowania do pokazu filmu wkroczyły w ostateczną fazę, reżyserowi przyszło do głowy, by go pokazać w Watykanie w obecności Jana Pawła II. Mówił, że czas jest wyjątkowy, bo mamy ekranizację wspaniałej sienkiewiczowskiej powieści oraz pontyfikat

papieża-Polaka. Udaliśmy się do Watykanu, szukając pomocy w przygotowaniu pierwszej projekcji filmu w obecności Ojca Świętego. Pewnego wiosennego dnia reżyser Jerzy Kawalerowicz, producent Mirosław Słowiński i ja udaliśmy się do Pałacu Apostolskiego, do apartamentów przylegających do mieszkania papieża. W pewnym momencie Kawalerowicz podszedł do okna, z którego rozciąga się widok na Plac św. Piotra, stanął i zobaczyłem, jak on się zmienia. Widziałem, jak widok placu i Bazyliki św. Piotra robi na nim coraz większe wrażenie i jak bardzo to przeżywa. Był człowiekiem niezwykle wrażliwym – jak większość prawdziwych artystów. W pewnym momencie cofnął się, spojrzał na mnie i zawołał: „Wiesz, stąd wszystko wygląda zupełnie inaczej!”

Te jego słowa uświadomiły mi, że można patrzeć na Pałac Apostolski i Bazylikę św. Piotra z Placu św. Piotra – czyli można patrzeć na Kościół oczami świata, albo można patrzeć na Plac św. Piotra i otaczający Rzym z perspektywy Pałacu Apostolskiego – czyli można patrzeć na świat oczami Kościoła. To są dwa całkiem różne spojrzenia!

Skoro uczestniczymy w Forum Szkół Katolickich, warto się zastanowić, które z tych spojrzeń dominuje w edukacji katolickiej. Które z nich dominuje w domu i w szkole? O Kościele mówi się dzisiaj bardzo dużo i właściwie nie ma gazety czy codziennych wiadomości – także w przekazach dalekich od Kościoła – w których nie byłoby problematyki kościelnej i religijnej. Zwłaszcza w soboty i niedziele w czasopiśmie i gazetach obowiązkowa jest problematyka religijna i teologiczna. Ale nie możemy się cieszyć z tej częstotliwości z prostego powodu: wraz z przywoływaniem problematyki religijnej i teologicznej narzuca się określony wizerunek religii, Kościoła, wiary i wychowania. Ten wizerunek, umiejętnie podawany i powtarzany, utrwała się. Paradoks polega na tym, że będąc nawet mocno osadzeni

w Kościele, o Bogu i sprawach religijnych, mówimy językiem świata, który nas otacza, językiem gazet, telewizji oraz Internetu. Dokonuje się i nasila – to, przed czym ostrzegał ks. Józef Ratzinger na długo przed upowszechnieniem się telewizji i Internetu – sekularyzacja, a wdziera się ona do samego wnętrza Kościoła.

Ksiądz Ratzinger nadmienił: „Wizerunek Kościoła nowożytności w istotny sposób kształtuje fakt, że w zupełnie nieprzewidywalny sposób stał się on Kościołem pogan i proces ten postępuje”. Gdybym miał powiedzieć te słowa wyłącznie od siebie, to bym się zawahał, czy zostaną dobrze zrozumiane, posądzony o krzewienie pesymizmu i nazbyt jednostronny punkt widzenia. Muszę jednak przyznać, że i moja ocena jest dokładnie taka sama. Niestety, Kościół staje się Kościołem pogan i proces ten postępuje. „Dzieje się tak, nie jak dawniej, kiedy to doszło do powstania Kościoła z pogan, którzy stali się chrześcijanami, lecz Kościoła pogan, którzy zwą się jeszcze chrześcijanami, lecz w rzeczywistości są poganami”. Papież – podkreślam słowo „papież” dlatego, że diagnoza sprzed kilkudziesięciu lat została powtórzona w książce *Ostatnie rozmowy* – mówi: Dawniej poganie wchodzili do Kościoła i stawali się chrześcijanami. W odniesieniu do naszych ojczystych dziejów przeżywamy to w kontekście 1050. rocznicy chrztu Polski. Wraz z chrztem Mieszka rozpoczął się proces, który z naszych przodków-pogan uczynił (nie od razu, trwało to kilka pokoleń) wyznawców Jezusa Chrystusa. Natomiast współcześnie dokonuje się proces odwrotny. Kościół staje się Kościołem pogan, którzy zwą się jeszcze chrześcijanami. Do tej diagnozy trzeba podejść w sposób uczciwy, roztropny i mądry, a przede wszystkim – odważny.

Rzeczywiście, gdy przyglądamy się życiu bardzo wielu chrześcijan, to ma ono z Ewangelią niewiele, albo nie ma nic wspólnego. Widać to

nie tylko w sprawach doktrynalnych, czyli prawd wiary, jak dziewicze poczęcie Jezusa przez Maryję, dziewictwo Maryi, wcielenie Syna Bożego czy zmartwychwstanie Chrystusa. Gdybyśmy zapytali wielu chrześcijan, kim jest Jezus Chrystus, ich odpowiedzi nie zawsze będą ortodoksyjne. Ten skażony sposób widzenia przenosi się w dziedzinę etyki i moralności, czego doświadczamy bardzo wyraziście. Istnieją niezwykle ważne kwestie moralne, które przez wielu chrześcijan są kontestowane, których wielu chrześcijan po prostu nie przyjmuje, od których się odwraca, deklarując, że nie będzie ich przestrzegać.

Za pontyfikatu Jana Pawła II (1978-2005), bardzo długiego, bo trwającego 26 i pół roku (trzeci pod względem długości pontyfikat w całej historii Kościoła), Kościół w Polsce i my byliśmy niejako uśpieni. Mieliśmy autorytet i stały punkt odniesienia; papież – mówiąc kolokwialnie – „załatwiał za nas” wszystko. Na Zachodzie postępował proces sekularyzacji, ale u nas, jak się wydawało, nie miał równie wyraźnego przełożenia z powodu absolutnej wyjątkowości czasu, który został nam dany. Jednak gdy Jan Paweł II zmarł, niemal natychmiast rozpoczęła się potężna fala ataków na Kościół oraz podstawy wiary i moralności chrześcijańskiej. Polska od kilkunastu lat, które upłynęły od śmierci papieża, jest w ciągłym ogniu. Jednak w gruncie rzeczy nie ma w tym nic szczególnie nowego. Po czwartej pielgrzymce do Ojczyzny, odbytej w 1991 roku, Jan Paweł II w rozmowie z Vittorio Messoriem utrwalonej w książce *Przekroczyć próg nadziei*, wydanej w 1994 r., powiedział: „Wciąż na nowo Kościół podejmuje zmaganie się z duchem tego świata, co nie jest niczym innym jak *zmaganiem się o duszę tego świata*. Jeśli bowiem z jednej strony jest w nim obecna Ewangelia i ewangelizacja, to z drugiej strony jest w nim także obecna *potężna anty-ewangelizacja*, która ma też swoje środki i swoje programy i z całą determinacją przeciwstawia się Ewangelii

i ewangelizacji. Zmaganie się o duszę świata współczesnego jest największe tam, gdzie duch tego świata wydaje się być najmocniejszy. W tym sensie Encyklika *Redemptoris missio* mówi o *nowożytnych areopagach*. Areopagi te to świat nauki, kultury, środków przekazu; są to środowiska elit intelektualnych, środowiska pisarzy i artystów”. Również w Polsce istnieją fundacje i gremia, które dysponują ogromnymi funduszami przeznaczonymi na to, by rozmiękczać rozeznanie i sumienia, także wśród ludzi Kościoła. Powiedzmy otwarcie: jeżeli uda się pozyskać jakąś grupę wiernych świeckich – to dobrze. Lecz jeżeli uda się pozyskać księdza czy zakonnika, nie mówiąc już o biskupie – to jest znacznie cenniejszy kanał oddziaływania. Nie ludźmy się, te próby naprawdę istnieją! W jakim stopniu przenikają one do Kościoła? – To dobry temat do uczciwej i solidnej refleksji.

Kiedy po zmianach społeczno-politycznych w Polsce, jakie miały miejsce w 1989 roku, planowano kolejną, czwartą, pielgrzymkę Jana Pawła II (odbywały się one co cztery lata: 1979, 1983, 1987), to zanim papież przyjechał, w środkach przekazu wręcz pisano mu przemówienia, określając, o czym ma mówić: o społeczeństwie otwartym i obywatelskim, o pełnej wolności, o aspiracjach Polski do wejścia do Unii Europejskiej i NATO. Podpowiadano papieżowi „pilne” tematy polityczne, społeczne i ekonomiczne. Co uczynił Jan Paweł II? Przybył do Polski i przypominał poszczególne przykazania Dekalogu. Jakie były reakcje? Rozmaite, ale również i taka, że Ojciec Święty jeszcze nie wyjechał, a już zaczęto go krytykować, również wewnątrz Kościoła, co widać w prasie z szyldem „katolicka” z tamtego okresu. Pisano, że papież nie powiedział nic nowego, bo Dekalog wszyscy znamy, że w ten sposób nie stworzymy społeczeństwa obywatelskiego, bo Kościół ze swoją moralnością wymaga prawa i przywilejów tylko dla siebie. We wspomnianej książce *Przekroczyć próg nadziei*

Jan Paweł II z bólem powiedział: „Kiedy podczas ostatnich odwiedzin w Polsce wybrałem jako temat homilii Dekalog oraz przykazanie miłości, wszyscy polscy zwolennicy «programu oświeceniowego» poczytali mi to za złe. Papież, który stara się przekonywać świat o ludzkim grzechu, staje się dla tej mentalności *persona non grata*”.

Otoczamy czcią i legendą świętego papieża, ale warto wracać również do tych jego słów, które nigdy na dobre nie zostały podjęte, ani poddane wnikliwej refleksji i przemyślane. A przecież są to zapewne najbardziej gorzkie słowa wypowiedziane przez Jana Pawła II pod adresem niemałej części swoich rodaków. Jan Paweł II dodał: „Tego typu zarzuty trafiają dokładnie w to, co powiedział św. Jan słowami samego Chrystusa. Chrystus bowiem zapowiedział przyjście *Ducha Świętego*, który «przekona świat o grzechu» (J 16,8). Cóż innego może zrobić Kościół? Jednakże przekonywać o grzechu, to nie znaczy potępiać. «Syn Człowieczy nie przyszedł na świat, aby świat potępić, ale żeby go zbawić». *Przekonywać o grzechu, to znaczy stwarzać warunki do zbawienia*”. Jakże inaczej wyglądałoby życie naszej ojczyzny, gdybyśmy wzięli sobie wszyscy do serca drogę Dekalogu, przypomnianą przez Jana Pawła II w początkach transformacji ustrojowej! Iluż nie-szczęść udałoby się uniknąć, ilu dramatów, ile osób nie wyemigrowałoby z Polski, gdybyśmy poszli drogą dziesięciu Bożych przykazań!

Diagnoza ks. Ratzingera brzmi dobitnie: Pogaństwo zagnieździło się też w samym Kościele”. Przywykliśmy do robienia rachunku sumienia innym i od tego namnożyło się specjalistów. Ale jesteśmy wezwani do robienia rachunku sumienia przede wszystkim sobie, zaś im głębiej jesteśmy wpisani w życie Kościoła, tym większa jest odpowiedzialność i ponosimy jakąś część winy za to, że pogaństwo wdarło się do Kościoła. Zachęcam także do przeczytania i przemyślenia programowej homilii papieża Benedykta XVI wygłoszonej na samym

początku pontyfikatu. Papież nawiązał do burzy na Jeziorze Galilejskim, mówiąc, że łódź Kościoła nabiera wody, że nie wszystko jest dobrze, a im szybciej to zobaczymy, tym skuteczniej będzie można działać. Prawie pół wieku wcześniej ks. Ratzinger napisał: „Obecnie pogaństwo osiadło w samym Kościele. Właśnie to jest cechą charakterystyczną Kościoła naszych czasów, podobnie jak i neopogaństwa, że mamy do czynienia z pogaństwem w Kościele oraz z Kościołem, w którego sercu krzewi się pogaństwo. Tak więc współczesny człowiek, w normalnym przypadku, powinien raczej zakładać niewiarę w swojego bliźniego”. Oto prawdziwe wyzwanie dla katolickiej edukacji, a więc i dla nas wszystkich. Wydaje się, że nasz kraj jest chrześcijański, katolicki, stoi na pewnych fundamentach, że wszyscy znają Ewangelię i chcą nią żyć, ale tak nie jest. Co więcej, nie wszyscy, którzy mienią się chrześcijanami, chcą żyć zgodnie z zasadami Ewangelii.

Jednak skoro uznamy, że ta diagnoza jest prawdziwa, przychodzi nam zapewne do głowy, by powiedzieć: „Tak, to prawda, ale ona dotyczy ludzi obok mnie, a więc dotyczy innych; my jesteśmy bez skazy”. Ksiądz Ratzinger napisał: „Coraz głębiej zaczęto sobie uświadamiać, że również nawrócony chrześcijanin pozostaje grzesznikiem, i że we wspólnocie chrześcijańskiej możliwymi pozostaną nawet najcięższe przewinienia”. Wracamy do myśli wyrażonej wcześniej: granica między dobrem i złem nie przebiega między ludźmi, lecz w każdym człowieku i ode mnie zależy, czego w moim życiu jest więcej.

Od lekarza oczekujemy nie tylko diagnozy, lecz również leczenia. Lekarstwo młodego ks. Ratzingera, a później kardynała i papieża Benedykta XVI, jest aktualne do dzisiaj: „Na dłuższą metę Kościołowi nie zostanie oszczędzona konieczność stopniowego pozbywania się tożsamości ze światem i stania się znowu tym, czym jest: wspólnotą wierzących”. Musi istnieć granica, a zatem również różnica,

między Kościołem i światem. Kościół zeświecczony przestaje być potrzebny światu. Jest potrzebny tylko tym, którzy czerpią ze swojego procederu konkretne profity, sprawują wysokie urzędy, mają zapewnioną teraźniejszość i przyszłość. Trwają w Kościele nie ze względu na Chrystusa, a nawet nie ze względu na innych, ale ze względu na siebie. Utożsamianie się ze światem jest chorobą, której należy się pozbyć. „Oczywiście, rezygnacja z zewnętrznych godności przyniesie ze sobą utratę cennych przywilejów, jakie bez wątplenia wynikają z obecnego uwikłania Kościoła w sferze publicznej”. Bardzo ważne słowa, także w aktualnych debatach w Polsce.

Przeciwieństwem sekularyzacji jest sakralizacja. Ksiądz Ratzinger wyjaśnia: „Ogólnie rzecz biorąc, w tym koniecznym procesie sakralizacji należy dokładnie rozróżnić trzy płaszczyzny: sakramentów, przepowiadania oraz osobisto-ludzkich relacji pomiędzy wierzącymi i niewierzącymi”.

Przyjrzyjmy się krótko tym trzem płaszczyznom. Najpierw „płaszczyzna sakramentów, otoczona kiedyś dyscypliną wtajemniczania w arkana, to właściwa, wewnętrzna płaszczyzna istoty Kościoła”. Kościół jest najbardziej sobą w sprawowaniu sakramentów świętych, a sercem Kościoła jest Eucharystia. Zeświecczenie może dotyczyć również naszego postrzegania i przeżywania sakramentów. Zwłaszcza dwa sakramenty są bardzo mocno włączone w system edukacji katolickiej – Eucharystia (szczególnie jako Pierwsza Komunia) oraz Bierzmowanie. Wiemy, na czym polega zasadnicza trudność związana z jednym i drugim sakramentem: mamy dzieci i rodziców w okresie Pierwszej Komunii świętej, rzadziej podczas Bierzmowania, a potem istnieje długa luka. Ksiądz Ratzinger podkreśla: „Ponownie należy sobie uświadomić, że sakramenty bez wiary nie mają sensu i tu Kościół będzie musiał stopniowo, z zachowaniem największej

delikatności, zrezygnować z szerokiego zakresu swojego zasięgu, gdyż wynika z tego zwodzenie samego siebie oraz ludzi”. Nikt tak otwarcie tego nie mówi: sakramenty bez wiary nie mają sensu! Jesteśmy zobowiązani do budowania wiary i dopiero na jej fundamencie wznosi się gmach życiodajnych sakramentów świętych. Bez wiary mamy do czynienia z fasadowością i imitowaniem religijności.

„Im skuteczniej Kościół dokona koniecznego odgraniczenia, wyróżnienia tego, co chrześcijańskie – jeśli będzie to konieczne, to nawet do rozmiaru małej trzody – tym bardziej realistycznie uda mu się i będzie musiał rozpoznać własne zadanie na drugiej płaszczyźnie: przepowiadania wiary”. Konieczność pogłębiania wiary oraz wezwanie do kształtowania swego życia na jej fundamencie może spowodować wyjście z Kościoła wielu ludzi, dla których Ewangelia, jej wymagania i zobowiązania, wydadzą się za trudne. Kościół może stać się małą trzodą, tak jak to było w starożytności. Przebywając niedawno w Mongolii, weszliśmy do katedry w Ułan Bator i zobaczyliśmy przygotowania do wyświęcenia pierwszego w historii mongolskiego kapłana. W całej Mongolii jest tylko kilkuset katolików. Wielka była radość i zapał małej gromadki wiernych, których spotkaliśmy w katedrze. Małeńka wyspa na wielkim morzu, która bardzo silnie promieniuje na innych. Ksiądz Ratzinger dodał: „Skoro sakrament będzie miejscem, gdzie Kościół będzie się zamykał i musiał zamykać na nie-Kościół, wówczas słowo pozostanie rodzajem i sposobem, którym będzie on kontynuować otwarty gest zapraszania na ucztę eucharystyczną”.

I wreszcie, po trzecie, płaszczyzna osobistych relacji. „Na płaszczyźnie osobistych relacji byłoby oczywiście czymś niewłaściwym wywodzić z samoograniczenia Kościoła, pożądanego dla zakresu sakramentalnego, izolację wierzących chrześcijan względem ich

niewierzących bliźnich”. Dojrzałe i świadome przeżywanie sakramentów nie oznacza zamykania się na innych ludzi, a więc izolacji ani separacji. Jesteśmy potrzebni innym w nowy, głębszy i pełniejszy sposób. „Oczywiście pomiędzy wierzącymi należy stopniowo odbudowywać coś na wzór braterstwa komunikujących, którzy ze względu na wspólną przynależność do Stołu Pańskiego czują się związani również w życiu prywatnym i wiedzą, że mogą liczyć na siebie także w sytuacjach kryzysowych, a więc faktycznie tworzą poniekąd rodzinę”. Ewangelia buduje naszą solidarność z Bogiem, a więc ma wymiar wertykalny, pionowy, lecz buduje również solidarność między nami, a więc ma wymiar horyzontalny, poziomy.

Te trzy wymiary chrześcijańskiego świadectwa: głębokie przeżywanie sakramentów, przepowiadanie jako głoszenie Jezusa Chrystusa i świadectwo o Nim oraz budowanie braterskiej wspólnoty – oto odpowiedź dojrzałych chrześcijan na bezdroża i zagrożenia sekularyzacji.

Ks. prof. dr hab. Waldemar Chrostowski

Wiara jako dar i zobowiązanie

Dorośli i bardzo dorośli pamiętają, że w młodości byliśmy karmieni łacińską formułą: *Extra Ecclesiam nulla salus*, czyli: „Poza Kościołem nie ma zbawienia”. Ta dogmatyczna formuła – sięgająca starożytności, a więc Ojców Kościoła i pisarzy wczesnochrześcijańskich – powtarzana przez wiele stuleci, motywowała wielki zapał misyjny, zwłaszcza w XIX w., ale i wcześniej, np. po odkryciu Ameryki. Wraz z żeglarzami i z odkrywcami do obcych krajów udawali się misjonarze, z czego wyrosły kościoły w Ameryce Północnej, Środkowej i Południowej, których ślady, z XVI oraz XVII w., przetrwały do dziś. Z tego wyrósł również ogromny chrześcijański zapał misyjny na terenie Azji i Afryki. Wielu misjonarzy oddało swoje życie w przeświadczeniu, że skoro „poza Kościołem nie ma zbawienia”, zatem trzeba jak największą liczbę tych, którzy Chrystusa nie znają, pozyskać dla Niego. Zapał misyjny znajdował wyraz w chrystianizacji ludów i narodów.

Z tego ducha wyrastają również tegoroczne obchody 1050. rocznicy chrztu Polski. Dodajmy na marginesie, że innej Polski niż chrześcijańska nie było. Nasza polska tożsamość łączy się z przyjęciem

chrześcijaństwa i z tego faktu wyrasta. Są narody, które mają przedchrześcijańską przeszłość, a najbliższym nam, są Litwini. Przebywając na Litwie, oglądamy pamiątki, np. w Trokach, sprzed końca XIV w., czyli sprzed ślubu Władysława Jagiełły z królową Jadwigą. Litewscy przewodnicy objaśniają: „Oto nasza przedchrześcijańska historia”. My, Polacy, mamy przedchrześcijańską prehistorię, której świadectwa ilustruje archeologia, natomiast nie mamy przedchrześcijańskiej historii.

Misjonarze starali się pozyskiwać ludzi dla Boga, z czego wyrosły osobiste inicjatywy i sposób życia. Przykładano ogromną wagę do chrztu dziecka, zwłaszcza gdy było chore lub urodziło się w warunkach odbiegających od zwyczajności – najważniejszą sprawą był wtedy chrzest. Tymczasem w ostatnich kilkudziesięciu latach szala przechyliła się na drugą stronę. Od II Soboru Watykańskiego (1962-1965) mówi się o różnych stopniach przynależności do Kościoła, a nawet o tym, że zbawienia dostąpią wszyscy ludzie, którzy żyją zgodnie ze swoim sumieniem. Co więcej, mówi się, że zbawienia dostąpią także ateści, a nawet walczący z Bogiem, jeżeli postępują według własnego sumienia.

Do tego wyraźnie odniósł się papież Benedykt XVI. Wskazał że po II Soborze Watykańskim teologia i praktyka Kościoła poszła w niewłaściwym kierunku. Stało się tak nie dlatego, że Sobór poniósł porażkę albo nauczał czegoś, co odbiega od prawdy, ale dlatego, że w gruncie rzeczy mieliśmy do czynienia z dwoma soborami. Jeden, to Sobór Ojców – Sobór biskupów, którzy brali udział w obradach i są autorami soborowych dokumentów, natomiast drugi to sobór mediów, sobór dziennikarzy. Nieszczęście polega na tym, że do Kościoła, także do wnętrza Kościoła, zakradło się – a nawet zajęło dominującą pozycję – spojrzenie, które idzie po linii soboru mediów.

Znamy więc Sobór nie taki, jaki on w gruncie rzeczy był, lecz taki, jaki jest nam przedstawiany. Kto z nas przeczytał dokumenty soborowe? W którym seminarium diecezjalnym czy zakonnym obowiązkowo się je czyta? Podobne pytania można mnożyć. To, co wiemy na temat Soboru, wiemy z gazet, telewizji oraz rozmaitych dociekań i debat, które pochodzą z zewnątrz. Wynika z nich, że właściwie nie jest ważne, czy jesteśmy wyznawcami Chrystusa, bo przecież zbawienie, jak się głosi, można osiągnąć także poza Chrystusem, a nawet bez Chrystusa. W skrajnych przypadkach sugeruje się, że zbawienie można osiągnąć sytuując się przeciw Chrystusowi, jeżeli człowiek żyje zgodnie ze swoim sumieniem. Tego typu ujęcia mają jedno wspólne: sprawcą zbawienia staje się nie Bóg, który działa w Jezusie Chrystusie, lecz człowiek i to, co on w sobie nosi: jego kwalifikacje i odczucia psychiczne, duchowe, społeczne i inne.

Prawie 70 lat temu pisał o tym ks. Józef Ratzinger i nikt do tej pory lepiej niż on nie ukazał tego dylematu. Powiedział tak: „Współczesnemu chrześcijaninowi trudno sobie wyobrazić, że chrześcijaństwo, wprost Kościół katolicki, ma być jedyną drogą zbawienia, przez co zakwestionowano jego absolutność, a także surową powagę jego misyjności, więcej – wszelkich wewnętrznych wymogów”. Te słowa pochodzą sprzed II Soboru Watykańskiego, sprzed pontyfikatów papieży, którzy podjęli ogromny wysiłek (Jan XXIII, Paweł VI, Jan Paweł II i Benedykt XVI) w zakresie ekumenizmu (relacje z chrześcijanami innych wyznań) i dialogu z wyznawcami innych religii. Mamy w oczach obrazy widowiskowych spotkań przywódców światowych religii: w Rzymie, Asyżu, innych miejscach Europy, ostatnio w Skandynawii, a także na Bliskim Wschodzie oraz w Afryce i Ameryce. Stają obok siebie zwierzchnicy i przedstawiciele różnych religii i można odnieść wrażenie, że właściwie wszystko jedno,

w co się wierzy, bo przecież, tak czy inaczej, wszyscy mają rację, że każdy wierzy inaczej, ale wszyscy dążą do jednego celu.

Ale nie może być tak, iż jedni idą do przodu, drudzy na boki, a jeszcze inni do tyłu – i wszyscy idą w jednym kierunku oraz na pewno się spotkają. To dylemat, który nakreślił już św. Paweł Apostoł w odniesieniu do tych Żydów, którzy uwierzyli w Jezusa i stali się podglebkiem chrześcijaństwa, a także do tych spośród nich, którzy nie uwierzyli w Jezusa i odmówili wiary w Niego. Jedni powiedzieli Jezusowi „tak”, drudzy – „nie”. Święty Paweł tłumaczy w Drugim Liście do Koryntian, że nie może być tak, iż jedni i drudzy mają rację. Nie jest tak, że ci, którzy poszli za Jezusem, oraz ci, którzy odmówili uznania Go, jednakowo trwają przy prawdzie. W Jezusie spełniły się wszystkie Boże obietnice. Wszystkie one są „tak” w Nim! Zatem drogą, na którą powinni wkroczyć wszyscy ludzie, jest uznanie Jezusa Chrystusa. W naszych pokoleniach utarło się przekonanie odwrotne do tego, które dominowało przez kilkanaście wieków. Dawniej mówiono: „Poza Kościołem nie ma zbawienia”, a teraz mówi się, że Kościół nie jest jedyną drogą zbawienia. Interpretuje się tę samą formułę na tyle pojemnie, że właściwie zatracą one swoje pierwotne znaczenie. Na skutek tego traci również sens i dynamizm posługa misyjna. Bardzo trudno być dzisiaj misjonarzem, lecz trudno być również kapłanem, zaś daleko trudniej być siostrą zakonną albo zakonnikiem. Trudniej niż kiedykolwiek do tej pory. Również Polska staje się krajem misyjnym, w którym obecność i sam widok osoby duchownej budzi bardzo różne, skrajne, reakcje, co świadczy, że sytuacja nie jest taka, jak przez całe wieki.

Snując dalej swoją refleksję, ks. Józef Ratzinger napisał tak: „Nie wierzymy, może raczej inaczej, nie potrafimy sobie wyobrazić, że żyjąca obok nas jednostka ludzka, wspaniała, uczynny i dobry człowiek

miałby znaleźć się w »piekle«, ponieważ nie jest praktykującym katolikiem”. W jednym zdaniu, napisanym wiele lat temu, zostało zawarte to, co w ostatnich kilkunastu latach w Polsce bardzo się nasiliło. Dobroczynność, akcje charytatywne nie są zastrzeżone dla ludzi Kościoła, czyli dla wierzących. Mnożą się rozmaite inicjatywy i fundacje, które z równą skutecznością, z równie hojnymi wydatkami spieszą z pomocą potrzebującym. Powstaje wrażenie, że dobroczynność, dobro, którego człowiek dokonuje, może być – i jest – oderwane od wiary, od przekonań religijnych, od Boga. Dochodzimy do pewnego paradoksu. Jeżeli ktoś pełni dzieła dobroczynne w opozycji do Kościoła, to utrwała on przekonanie, że Kościół jest właściwie niepotrzebny, bo dobroczynność jest czymś, co może, a nawet powinno, istnieć bez Kościoła. Ileż razy oglądaliśmy akcje dobroczynne, w których jest wiele dobra, ale organizatorzy deklarują, że z wiarą, z Chrystusem i Kościołem nie mają nic wspólnego. Co więcej, bywa i tak, że promotorzy takich akcji dobroczynnych są wychwalani, nagradzani medalami i przyjmowani na salonach przez niektórych hierarchów Kościoła.

Ksiądz Ratzinger napisał: „Wyobrażenie, że wszyscy »dobrzy« ludzie zostaną zbawieni, stało się obecnie dla przeciętnego chrześcijanina tak samo oczywiste, jak niegdyś przekonanie o przeciwieństwie tego stanowiska”. Słabnie zapał misyjny i pewność naszej wiary, słabnie również zapał dobroczynny, gdy się mówi, że właściwie wielkie pokłady dobra są rozsiane wszędzie i w związku z tym w czynieniu dobra nie ma nic takiego, co by nas, chrześcijan (a zwłaszcza katolików), odróżniało od innych. Do czego to prowadzi? – Do sugestii, dzisiaj często forsowanej, która wchodzi również do Kościoła, że istnieją dwie drogi zbawienia. Jedna jest drogą tych, którzy należą do Kościoła i starają się sprostać rozmaitym wymaganiom, które

wyznacza Ewangelia. Druga ma obejmować pozostałych, którzy są poza Kościołem, nie znają Ewangelii i nie chcą jej poznać, ale też osiągną zbawienie, gdyż kierują się wartościami, które tak czy inaczej wymagają jakiejś nagrody. W tekście ks. Ratzingera czytamy: „Zagubiony wierzący zadaje sobie zasadne pytanie: Dlaczego ci z »zewnątrz« mają tak łatwo, a nam się wszystko utrudnia, i dochodzi do wniosku, więcej, zaczyna odczuwać wiarę jako balast, a nie łaskę. W każdym przypadku odnosi się nieodparte wrażenie, że są dwie drogi zbawienia: jedna poprzez czysto i subiektywnie przykrojoną moralność dla stojących poza Kościołem i druga dla tych, którzy są mu wierni”. Sądzę, że każdy z nas, kto na serio przeżywa wiarę i jej wymagania, zadaje sobie pytanie, po co wymagać od siebie tak wiele, skoro ci, którzy nie wymagają od siebie nic, albo niewiele, idąc łatwiejszą drogą, skutecznie zmierzają do tego samego celu.

Domyślam się, jak trudne musi być to pytanie, np. w przypadku dziewcząt, które wstępują do klasztoru. Można stawiać sobie to pytanie, gdy staramy się zachowywać piątkowe posty, uczestniczyć w niedzielnej Mszy świętej, nie robić zakupów w niedzielę czy przestrzegać przykazań kościelnych, które regulują rytm naszego życia w okresie Adwentu czy Wielkiego Postu. To wszystko może być postrzegane jako balast, skoro ci, którzy na to nie zwracają uwagi, osiągają ten sam cel. Co więcej, wierni tym zasadom bywają pokazywani palcem – nie poza Kościołem, ale w samym Kościele! Ponieważ także w Kościele nie brakuje takich, którzy tradycyjny sposób życia, przeżywania codzienności i roku liturgicznego uważają za „średniowieczny” przesąd. Czyż nie na tym polega w gruncie rzeczy pogarda wobec tzw. moherów? Czy nie do tego się ona sprowadza? A przecież ta pogarda pochodzi nie tyle od niewierzących, ile od „wierzących inaczej”, co do Kościoła wprowadza głębokie podziały.

„W każdym przypadku – powtórzmy słowa ks. Ratzingera – odnosi [wierzący] nieodparte wrażenie, że są dwie drogi zbawienia: jedna przez czysto i subiektywnie przykrojoną moralność dla stojących poza Kościołem, i druga dla tych, którzy są mu wierni”. Czy zdajemy sobie z tego sprawę czy nie, myślę, że zwłaszcza w szkolnictwie mocno tego doświadczamy. Wiele wymaga się od wiernych, którzy są w samym środku Kościoła, natomiast mało albo nic od będących na peryferiach czy bardzo daleko. Oczywiście, natychmiast przychodzi na myśl przypowieść o jednej owieczce, dla której trzeba zostawić dziewięćdziesiąt dziewięć. Tylko że problem polega na tym, iż z tą jedną trzeba do tych dziewięćdziesięciu dziewięciu wrócić, a bywa, że tak się wcale nie dzieje. Te dziewięćdziesiąt dziewięć nie może być pozostawionych samymi sobie. Papież Benedykt powtarzał, że w dzisiejszym świecie (zawsze tak było, ale w naszych czasach zwłaszcza) nie brakuje wilków. Potrzebni są ci – to jest obraz papieża – którzy strzegą owce przed wilkami. Trzeba więc szukać tych, którzy zaginęli, ale trzeba też troszczyć się i dawać zdrowy duchowy pokarm tym, którzy trwają w Kościele.

Upowszechnia się postawa, która polega na tym, że prawdy wiary i moralność bywają traktowane na podobieństwo szwedzkiego bufetu: wchodzimy na posiłek, mamy przez sobą mnóstwo rozmaitych pokarmów – im bufet obfitszy, tym lepiej. Zatem trzeba zjeść, skoro się zapłaciło, zjeść jak najwięcej i pilnować, by mi nie zaszkodziło, bo mieszanie ze sobą niektórych produktów źle się kończy. W Kościele dzieje się coś podobnego: z wielu prawd wiary wybieram te, które mi odpowiadają. Z dziesięciu przykazań wybieram dziewięć – bardzo dużo, bo nie wybieram tylko jednego. Z zasad moralności wybieram to, co przystaje do mojego życia. A reszta? Reszty nie! Przyczyną takiej postawy i postępowania jest poważny kryzys prawdy i wartości.

Ksiądz Ratzinger napisał: „Jest oczywiste, że misyjna skuteczność Kościoła ponosi głębokie szkody obciążona balastem dotkliwego wewnętrznego braku pewności”. Jeżeli człowiek nie jest pewny prawdziwości i siły swojej wiary, co może zdziałać? Moralność powinna być budowana na wierze, na silnej wierze. Potwierdza to schemat listów św. Pawła Apostoła w których zawsze są dwie części: doktrynalna, czyli ukazanie centralnego znaczenia Boga, który objawił siebie w Jezusie Chrystusie, oraz ukazanie, kim jest Jezus Chrystus, a następnie moralna, która określa powinności, jakie z wiary w Chrystusa wynikają. Bardzo często wymiar etyczny, moralny jest pozbawiony doktrynalnego fundamentu, przypominania podstawowych prawd wiary. Budowanie moralności bez wiary to jak budowanie domu, poczynając od dachu. Nauczanie i praktykowanie chrześcijańskiej moralności bez przypominania prawd wiary jest jak uczenie się pływania na suchym basenie – bez wody. Ktoś porusza się, wykonuje wszystkie ruchy, tak jak robi to pływak, ale to nie jest pływanie. Tam, gdzie istnieje rozbrat między wiarą i moralnością jest zupełnie podobnie.

Jeżeli zdamy sobie sprawę z tego, że liczba chrześcijan w Europie nie wzrasta, lecz maleje, nasuwa się myśl, że być może nie warto żyć wszystkimi prawdami wiary, czyli według wzniosłych i trudnych zasad moralnych, skoro i bez nich można osiągnąć zbawienie. Jaka w tej sytuacji jest więc rola i posłannictwo miejsce ludzi dobrych? Przecież nasuwa się pokusa, abyśmy poszli na łatwiznę. Skoro inni mogą, to dlaczego ci, którzy są we wnętrzu Kościoła, mają zachowywać wierność tradycyjnie postrzeganej i przeżywanej Ewangelii? Dlaczego wiara i wszystko, co ona niesie, ma być dla nas zobowiązaniem, podczas gdy inni do wiary i moralności zobowiązani nie są?

Odnosząc się do tych i podobnych, równie dramatycznych pytań, papież Benedykt XVI przypomina bardzo mocno, że jest tylko jedna

droga zbawienia. Za przypominanie tej prawdy zapłacił wielką cenę, gdy w 2001 r., za pontyfikatu Jana Pawła II, ukazała się sygnowana przez niego instrukcja *Dominus Iesus* o jedyności i powszechności dzieła zbawienia dokonanego przez Jezusa Chrystusa. Ówczesny prefekt watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary przypomniał dobitnie, że jedyną drogą zbawienia jest Jezus Chrystus – zarówno dla tych, którzy wierzą w Niego i są tego świadomi, jak i dla innych, którzy nie osiągnęli Jego pełnego poznania. Jeżeli mimo to osiągają zbawienie, to nie przez własne zasługi, lecz przez Jego mękę, krzyż i zmartwychwstanie. Innej drogi zbawienia nie ma. W publikacjach z lat 2001-2002, które ukazywały się również w Polsce, silnie atakowano kard. Ratzingera! Mówiono np., że to jest deklaracja niższej rangi, bo nie podpisał jej papież, a tylko prefekt watykańskiej kongregacji, że to jest osobiste zdanie kard. Ratzingera, który zawsze był „pancernym kardynałem” i nie wyszedł poza swój pancerz. Padały jeszcze gorsze i bardziej obraźliwe słowa. Mówiono, że deklaracja jest antyekumeniczna, że obraca się przeciwko dialogowi religijnemu. To nie były głosy wyłącznie z liberalnego Zachodu, lecz pojawiały się również u nas.

Tę samą myśl i dylematy z nią związane można ująć jeszcze inaczej. W czasach Starego Testamentu istnieli Izraelici jako lud Bożego wybrania (bardzo często mówimy: „naród wybrany”, co kładzie nacisk na Izraelitów; biblijna terminologia jest inna: „lud Bożego wybrania”, a więc podmiotem jest Bóg, bo to On dokonał wyboru) oraz narody pogańskie. Wybór Izraela jest tajemnicą Bożej miłości. Ksiądz Ratzinger pyta: „Czy znaczy to jednak, że Izrael został wybrany, a inne narody odrzucone?” Nie! Przecież Bóg wybrał Izraelitów ze względu na duchowe dobro całej ludzkości. Przenieśmy się w nasze czasy. Istnieje Kościół z prawdami wiary, które głosi, oraz moralnością wymagającą od wiernych wiele osobistej pracy

i wysiłku. Kościół katolicki liczy znacznie ponad miliard wiernych, a chrześcijan innych wyznań jest kilkaset milionów więcej, z czego wynika, że żyje też kilka miliardów ludzi, którzy chrześcijanami nie są. Czy to znaczy, że my zostaliśmy wybrani do zbawienia, a inni odrzuceni lub potępieni? Nawiązując do czasów Starego Testamentu kardynał Józef Ratzinger odpowiada: „Początkowo rzeczywiście wygląda to tak, jak gdyby to »obok siebie« ludu wybranego i nie-wybranych narodów byłoby do wyobrażenia w statycznym ujęciu: jako współistnienie dwojga różnych grup. Wkrótce jednak okazuje się, że tak nie jest, gdyż w Chrystusie to statyczne »obok siebie« Żydów i pogan nabiera dynamiki, tak że właśnie poganie, przez swoje nie-wybranie, zostają wybranymi, a mimo to wybranie Izraela nie staje się w efekcie iluzoryczne, jak to przedstawione zostało w 11. rozdziale Listu Apostoła Pawła do Rzymian”. Przenosząc to na współczesną sytuację, mamy w głowie statyczny obraz: wierni, którzy wyznają Boga, który objawił się w Jezusie Chrystusie, oraz inni, którzy tego nie czynią. Ale to nie znaczy, że jedni są przeznaczeni do zbawienia, a drudzy do odrzucenia. Ci pierwsi – jak niegdyś Izrael, lud Bożego wybrania – zostali wybrani, aby być znakiem Boga, świadectwem i znakiem Jego obecności wobec innych, a także po to, by i nie-chrześcijanie doświadczyli owoców wybrania. Ale by doświadczyli ich nie poza Chrystusem i Kościołem, lecz dzięki Chrystusowi, którego dzieło zbawienia i Krzyż ogarniają i ocalają wszystkich. Chrystus umarł za wszystkich, a my, chrześcijanie, jesteśmy głosicielami tej prawdy.

„Widzimy więc [i to są bardzo ważne słowa!], że Bóg może wybierać ludzi w dwojaki sposób: bezpośrednio lub też przez ich pozorne odrzucenie. Mówiąc wyrażniej: widać, że Bóg rozdziela ludzkość na »niewielu« i »wielu«, który to podział wciąż na nowo pojawia się

w Piśmie Świętym. Jezus oddaje swoje życie na okup »za wielu« (Mk 10,45); przeciwstawienie Żydów i pogan oraz Kościoła i nie-Kościola powieła ten podział na niewielu i wielu”. Jak w starożytności istnie-li Żydzi i poganie, tak od momentu narodzin Kościoła istnieje Kościół i nie-Kościół. Kościół stanowi znak obecności Boga w świecie, potwierdzenie prawdy o wcieleniu Syna Bożego i o tym, że zbawczy Krzyż Jezusa Chrystusa obejmuje wszystkich. Jednak właśnie dlatego, że obejmuje wszystkich, nie możemy zrezygnować z wysiłku misyjnego, z pracy misyjnej, z ewangelizacji i nieustrudzonego głoszenia Ewangelii. Świadomość naszej roli, miejsca i daru, który otrzymaliśmy od Boga, czyli daru wiary – rodzi zobowiązanie abyśmy byli świadkami Boga wobec świata i wyprasza-li zbawienie dla tych, którzy Kościołem nie są.

„Obie grupy mają swoje miejsca w drodze zbawienia różniące się od siebie, lecz niepozbywające drogi jej jedności. To przeciwieństwo dopiero wtedy się pojmie, kiedy się dostrzeże, że jego fundamentem jest przeciwstawienie Chrystusa i ludzkości, Jednego i wielu”. Chrystus umarł za wielu, to znaczy za wszystkich. To słowo „wielu”, powraca we Mszy świętej podczas Przeistoczenia, przypominając nam, że sprawujemy Eucharystię w małej wspólnotce, ale jej zasięg i wymiary są uniwersalne, wręcz kosmiczne. W innym miejscu papież Benedykt nawiązał do architektury kościołów. Mówił, że przez wieki budowano świątynie, które były zorientowane ku wschodowi – to był obowiązek. W ten sposób liturgiczna celebracja, zwłaszcza Eucharystii, kierując wzrok ku wschodowi, stawała się celebracją kosmiczną. Przypominała kapłanowi, który kierował wzrok ku wschodzącemu słońcu, że w Eucharystii, sprawowanej tu i teraz, bierze udział cały świat. Niestety, od pewnego czasu to orientowanie (orient = wschód), ukierunkowanie kościołów na wschód, niemal zupełnie zanikło.

Kilka tygodni temu, podczas konferencji w Londynie, mówił o tym także kard. Robert Sarah, który zajmuje się sprawą dyscypliny sakramentów. Przypomniał o wartości liturgii sprawowanej w świątyni, w której architektura powinna sprzyjać umacnianiu wiary. Benedykt XVI powtarzał, że nie można budować dobrych kościołów bez wiary i nie można myśleć o zbawieniu innych, o zbawieniu wielu bez wiary. Zbawienie jest darem, który nam przypomina, że jego autorem jest Bóg, który jest Miłością. Kto doświadczył miłości, doświadczył spełnienia, które ona ze sobą niesie. Gdy Jan Paweł II w 1996 roku przeżywał półwiecze swojego kapłaństwa, refleksję w książce *Dar i tajemnica* zakończył słowami: „Nie ma miłości ponad Miłość”. Papież Benedykt XVI wyraził to podobnie: „Zbawienie człowieka polega na tym, że jest on miłowany przez Boga, że jego życie u kresu znajdzie się w ramionach nieskończonej miłości. Bez niej wszystko pozostałoby dla niego puste”.

Ale co, jeżeli człowiek nie zna miłości? Jeżeli się jej sprzeniewierzył, pogardził nią albo jej nie doświadczył? W rodzinach rozbitych, w których dzieci są pozbawione rodziców? Jak można oczekiwać zbawienia, rozumieć je i przeżywać? Przypominam sobie wydarzenie sprzed wielu lat. Gdy byłem klerykiem warszawskiego seminarium duchownego, wysłano mnie do domu dziecka na warszawskich Płudach. Tam miałem przygotowywać dzieci, w różnym wieku, do Pierwszej Komunii świętej. Chętnie powtarzały Dziesięć przykazań i odmawiały „Wierzę w Boga”, ale gdy przyszło odmawiać „Ojcze nasz”, to nie można ich było nauczyć tej modlitwy. Zapytałem opiekunkę: „Dlaczego tak trudno im to przychodzi?” Byłem młody, więc mi wyjaśniła: „One nie mają ojców i matek. Gdyby miały dobrą matkę i ojca, to by ich tu nie było. Więc gdy im mówimy, że do Boga mają się zwracać »Ojcze nasz«, to są to dla nich słowa bez treści.

A ta treść to miłość, dobro, życzliwość. A przecież te dzieci tego nie doświadczyły”.

W dzisiejszym świecie jest zupełnie podobnie. Ludzie nie tęsknią za zbawieniem, bo albo urządzili sobie życie tak, że chcieliby, by ono trwało i nie zmieniało się, albo nie doświadczyli tego, co w życiu najważniejsze, i co kieruje ku perspektywie przyszłości, czyli ku Bogu, który jest Miłością. Bez miłości wszystko pozostaje puste. „Wieczność bez miłości to piekło, nawet jeśli wydaje nam się, że mogą być cięższe kary” – tak ks. Ratzinger puentuje ten fragment swojej refleksji. A nieco dalej: „W przeciwstawieniu Chrystus, Jeden, i my, wielu, nie zasługujemy na zbawienie, bez względu na to, czy chrześcijanie czy niechrześcijanie, wierzący czy niewierzący, żyjący moralnie czy niemoralnie; nikt w rzeczywistości »nie zasługuje« na zbawienie poza Chrystusem. I tu właśnie dokonuje się cudowna zamiana. Wszystkim ludziom należy się odrzucenie, zbawienie samemu Chrystusowi – w świętej wymianie dokonuje się przeciwieństwo: On sam bierze na siebie całe zło, uwalniając w ten sposób dla nas przestrzeń zbawienia”.

W centrum naszej wiary jest Jezus Chrystus i dzieło zbawienia, którego On dokonał. Bez ustawicznego przywoływania, uobecniania i pamięci o Jezusie Chrystusie nawet nasza wiara może sprowadzić nas na manowce. Może rodzić subiektywizm, któremu wydaje się, że jesteśmy w stanie zbawić się przez dobre dzieła, a więc inni też mogą się zbawić przez dobre dzieła, dobre myśli, dobre chcenie czy dobre poglądy. Ale to Jezus Chrystus wziął na siebie całe zło, wszystkie grzechy po to, by nas wszystkich zbawić. Na czym więc polega wyjątkowość chrześcijaństwa? Na świadomości tej prawdy, na jej głoszeniu i świadectwie życia dawanym tej prawdzie. Dlatego jesteśmy potrzebni, żeby świat nie zapomniał, kim jest Jezus Chrystus, i żeby w świecie zawsze byli ci, którzy troszczą się o należne Mu miejsce.

Prof. dr hab. Katarzyna Olbrycht

Czy można pomóc młodym w drodze do wiary?

„Życzę wam, byście mieli ojców i matki, którzy będą prawdziwymi wychowawcami; szczerymi przyjaciółmi, lojalnymi i wiernymi; ludźmi dojrzałymi i odpowiedzialnymi, którzy zapewnią wam opiekę i pomogą wam dążyć do wzniosłych celów, wskazanych przez Jezusa w Ewangelii.

Pragnę zwrócić się w tym miejscu z gorącym wezwaniem do wszystkich instytucji wychowawczych, aby bezkompromisowo służyły młodym pokoleniom, pomagając im wzrastać w sposób zrównoważony i odpowiadający ich godności” (Jan Paweł II)⁷.

Pytaniem ważnym dla każdego człowieka wierzącego jest, a przynajmniej powinno być, pytanie: „czy można pomóc drugiemu w drodze do wiary?”. Jest to pytanie ważne zarówno dla tego, kto szuka pomocy, jak i dla tego, którego wiara prowadzi już do innych, do ukazywania innym Chrystusa, do podejmowania misji dzielenia się wiarą. Dla wszystkich wierzących, którzy są i czują się specjalnie odpowiedzialni za młode pokolenie, pytanie to odniesione do młodych

⁷ Jan Paweł II, *Spotkanie z młodzieżą diecezji rzymskiej*, 5.04.2001, w: *Podręcznik Pokolenia JP II. Ojcowskie słowo do młodych świata, Polski i Lednicy*, Duszpasterstwo Akademickie Dominikanów, Poznań 2008, s. 670.

nabiera szczególnej wagi. Staje się podstawowym pytaniem rodziców, wychowawców, nauczycieli, opiekunów, duszpasterzy, ale także innych członków wspólnoty Kościoła.

Przywołany na wstępie fragment przemówienia Jana Pawła II do rzymskiej młodzieży, zgromadzonej na Placu św. Piotra w ramach lokalnych Dni Młodzieży w kwietniu 2001, rozpoczyna szukanie odpowiedzi na tytułowe pytanie od założenia, że pomoc młodym w tej podstawowej sferze życia jest niezbędna. Zacytowane słowa są ważnym przekazem przeznaczonym nie tylko dla młodych słuchaczy, ale dla otaczających ich w życiu dorosłych. Wysilek, motywacja, postawa młodzieży w ogromnym stopniu zależą od mądrości i odpowiedzialności dorosłych; od przyjaźni, którą obdarzą młodych ludzi. To przede wszystkim dorośli powinni pomóc młodemu pokoleniu zbliżyć się do wiary. Pomóc tak, aby ono chciało i potrafiło stopniowo orientować swoje życie na Chrystusa. W miarę rozwoju młodego człowieka, oddziaływania dorosłych mogą wzmacniać, a stopniowo nawet zastępować, inni młodzi. Znaczenie wpływu osób z tego samego pokolenia jest podstawą programów działania wielu ruchów i organizacji młodzieżowych, w tym – religijnych.

Pomoc w drodze do wiary zawsze stanowi jednak poważne wyzwanie. Droga rozwoju osoby ludzkiej, w tym droga do wiary a potem droga wiary będąca dojrzewaniem w wierze, zakładają wolność człowieka i jego dobrowolną decyzję poszukiwania Boga; decyzję uznania w Chrystusie Syna Bożego, odkrycia Jego miłości, gotowości do odpowiadania na nią, w końcu – oddania Mu życia. Młody człowiek, przeżywając okres dojrzewania i dorastania broni się przed jakimkolwiek przymusem, rygorem, ingerencją dorosłych, planowaniem i organizowaniem mu życia. Jest więc zrozumiałe, że broni się także, a nawet ze szczególną determinacją, przed naciskami,

natarczywą perswazją czy jakimkolwiek przymusem związanym z życiem religijnym. Ta sfera życia kojarzy mu się z jednej strony z zewnętrznymi, narzuconymi tradycją wzorami kulturowymi, z drugiej – z bardzo osobistym, wewnętrznym wymiarem własnego „ja”. W sytuacji podejmowania wobec młodego człowieka prób pomocy w drodze do wiary pojawia się więc napięcie pomiędzy potrzebą respektowania jego wolności, a sięganiem (nawet w najlepszej wierze) po metody i środki odwołujące się do jakiegokolwiek nacisku. Jednocześnie wydarzenia, takie jak Światowe Dni Młodzieży powinny wywołać namysł nad tym co zrobić, żeby nie zmarnować tego potencjału młodzieży, jej gotowości do cieszenia się z możliwości wyznawania wiary i uczestniczenia z przedstawicielami całego świata we wspólnocie Kościoła.

Dylematy ludzi pragnących pomóc młodym w tym obszarze życia, prowadzą do szukania sprawdzonych wzorców, podpowiedzi, inspiracji, wskazówek a równocześnie umocnienia w tym trudnym zadaniu. Warto przyjrzeć się w tym kontekście postawie, działaniom, podejściu do młodzieży, jakie wniósł do współczesnej kultury i w życie współczesnego Kościoła św. Jan Paweł II. To On zwrócił uwagę świata na młodzież jako nadzieję ludzkości i Kościoła, uświadomił ogromny potencjał jej zapału, idealizmu, potrzeby dobra. Równocześnie znalazł do niej drogę, zdobył jej zaufanie, przybliżył do Kościoła. Może więc być wzorem pomagania młodym w drodze do wiary, może inspirować do poszukiwania w każdym miejscu i czasie odpowiadających im form. Przyjrzymy się Jego „byciu z młodymi” na tej drodze, rozpoczynając od próby naszkicowania obrazu dzisiejszej młodzieży.

Sytuacja współczesnej młodzieży a jej droga do wiary

Na **drodze do wiary** a potem już na **drodze wiary** nie ma w życiu człowieka okresu, który byłby mniej ważny. Każdy wiąże się z dojrzewaniem w wierze i każdy jest określonym etapem w jej rozwoju. Jednak czas młodości to czas wyjątkowo newralgiczny rozwojowo i życiowo. Jego granice wiekowe i kulturowe są dziś dosyć płynne. Choć można obserwować społeczne wydłużanie się młodości, jednakże zasadnicze wyróżniki tej grupy pokoleniowej pozostają stałe. Wiekowo „młodzież” obejmuje dziś młodych ludzi począwszy od grupy szkolnych nastolatków, przez 20-25 latków, najczęściej w roli studentów i młodych pracowników, do osób rozpoczynających samodzielną drogę zawodową i rodzinną (tzw. młodych dorosłych). Młodość jest okresem intensywnego dojrzewania psychofizycznego i społecznego, wiążącego się, szczególnie w początkowych fazach, z rozchwianiem emocjonalnym, radykalizmem poglądów, bezkompromisowym, ale mało krytycznym ocenianiem innych, siebie i świata. Często okres ten charakteryzuje bolesne przeżywanie trudności wewnętrznych i zewnętrznych, maskowane nonszalancją, arogancją i agresją, nierzadko też szukaniem intensywnych doznań i ekstremalnych doświadczeń. Innymi reakcjami mogą być bierność i zamykanie się w sobie, bądź ucieczka w zabawę. Wyzwaniem staje się w tym okresie szukanie własnej tożsamości, celu i sensu życia, budowanie życiowych planów, kryzys zaufania tak do innych, jak do siebie. Towarzyszy mu brak wiary we własne możliwości, w trwałość bliższych relacji, w możliwości nawiązywania więzi, które odpowiadałyby na - zawsze ważne, ale w tym okresie niezwykle silne - potrzeby akceptacji i uznania, przyjaźni i miłości. Dotykające dziś wielu ludzi doświadczenie lęku i samotności, w przypadku młodych ludzi

staje się nierzadko sytuacją ekstremalnie trudną - przytłacza, paraliżuje, prowadzi do zachowań ucieczkowych, szukania doznań i relacji zastępczych, podejmowania nieprzemyślanych doraźnych decyzji. Dlatego lepiej czują się oni w grupie rówieśników, z którą chcą i potrafią się utożsamić, z którą się identyfikują. Wspólny język, obyczaje, sposoby spędzania czasu, sprzęt i gadżety, elementy wyglądu czy określona muzyka dają poczucie więzi; oddalają nieprzyjazny świat. Codzienne kontakty w wirtualnym świecie oferują w to miejsce świat symulowanych relacji, działań, postaw i pozycji społecznych. Współczesna kultura nie ułatwia młodym ludziom przeżywania tego czasu. Promuje bowiem działania nastawione przede wszystkim na korzyści materialne, plany życiowe zorientowane na zysk osiągnąć nawet kosztem innych, bezwzględność w walce o swoje. Także sytuacja społeczna, nie dając młodym ludziom gwarancji satysfakcjonującego startu zawodowego, również rodzinnego, nie sprzyja postawom konstruktywnym, nie wyzwala nadziei na pomyślną przyszłość. Frustrację pogłębiają masowe media, podsuwające proste modele „szczęśliwego życia”. Zależy ono od stałej aktywności konsumenckiej oraz odpowiednich środków finansowych, niezbędnych żeby zapewnić sobie sukces osobisty, zawodowy, społeczny, zdrowotny i każdy inny.

Z kolei młodzi dorośli, rozpoczynający samodzielne życie, częściej poddają się wpływom pragmatycznej rzeczywistości i rynkowego myślenia. Jedni inwestują wszystkie swoje siły i zdolności w karierę, inni reagują rosnącym zniechęceniem, obojętnością bądź cynizmem na antyosobowe reguły życia społecznego. Jeszcze inni wybierają życie oparte na maksymalizacji przyjemności, twórczego realizowania siebie bez zobowiązań, pracy bez sztywnych obowiązków i wymagań pracodawcy (co pokazuje rosnąca popularność zjawiska *freelancerów* – osób podejmujących pracę z wolnej stopy).

Równocześnie młodość jest czasem wyjątkowym - czasem szukania ideałów, angażowania się z radością i entuzjazmem w różne działania, czasem wzrostu wrażliwości na świat, krystalizowania się marzeń i pragnień, projektowania życia. Cechuje ją na ogół umiejętność cieszenia się z każdego pozytywnego zdarzenia, czy sytuacji. Mimo presji kulturowych wzorców sukcesu mierzonego efektami materialnymi, wielu młodych ludzi angażuje się w działania wolontaryjne i chętnie odpowiada na apele o pomoc w różnych sytuacjach.

Wobec tak złożonych warunków wewnętrznych i zewnętrznych, młody człowiek potrzebuje pomocy. Wkracza bowiem w okres brania odpowiedzialności za własne życie, ale też za życie innych. Dokonywane przez niego wybory w znacznym stopniu rzutują na jego przyszłość, ale i na przyszłość wielu osób, zaś skutki popełnianych błędów nie zawsze da się odwrócić.

Tymczasem rodzice i wychowawcy, zmęczeni wahliwymi nastrojami młodych ludzi, ich prowokacyjnymi reakcjami, często czują się bezradni. Nie znajdując z nimi płaszczyzny porozumienia, tracąc nadzieję na bliższy, autentyczny kontakt i dialog, rezygnują z budowania poważniejszych relacji – relacji, które byłyby oparte na wzajemnym szacunku, akceptacji, zaufaniu, próbie zrozumienia i gotowości pomocy.

Jak w tym kontekście przedstawia się miejsce wiary w życiu młodych ludzi? Odpowiedź operująca wynikami badań jest tu bardzo trudna. Łatwiej zmierzyć wiedzę religijną, podejmowanie praktyk religijnych, niż wiarę, która nie poddaje się obiektywnej weryfikacji. Pozostają deklaracje badanych i próba interpretowania ich życia w świetle wiary, ale żaden z tych sposobów nie daje szansy wiarygodnego poznania tej sfery życia człowieka. Wiara jest osobistą odpowiedzialnością na miłość Boga i jako taka nie może być ani sprawdzana,

ani mierzona. Pozostaje najgłębszym wymiarem życia wewnętrznego. Pomoc w rozpoczynaniu drogi wiary i podążaniu nią wymaga świadomości, że poznanie tej drogi jest bardzo ograniczone, ponieważ jest ona tajemnicą dialogu człowieka z Bogiem. Można jedynie próbować stwarzać warunki sprzyjające i starać się eliminować te, które ją utrudniają bądź są zdecydowaną przeszkodą. Przyjrzyjmy się więc tym warunkom.

Z punktu widzenia mechanizmów rozwojowych dopiero ten okres, okres młodości stwarza pełne neuropsychiczne (wyznaczone przez rozwój mózgu) możliwości świadomego poszukiwania wartości, ich weryfikowania i porządkowania, ale też poczucia podmiotowej niezależności w tym procesie. Jest to również okres wzrostu wrażliwości na własne życie wewnętrzne, w tym na problemy związane z duchowością (niekoniecznie rozumianą religijnie). Biorąc pod uwagę religijność, młody człowiek jest już zdolny do zrozumienia podstawowych prawd wiary, a także elementów historii i doktryny poznawanych religii, podstawowej treści praktyk religijnych. Na sposób myślenia i postawy w wieku młodzieńczym w ogromnym stopniu rzutują wcześniejsze doświadczenia. Łączą się one z pracą wychowawczą i formacyjną w domu rodzinnym, w Kościele, z oddziaływaniem środowiska zewnętrznego – najbliższego otoczenia, rówieśników, wreszcie społeczeństwa i w ogromnym stopniu mediów. Wszystkie te wpływy, w przypadku społeczeństwa polskiego, teoretycznie powinny ugruntowywać chrześcijańską formację młodzieży. Jak wynika z badań ks. prof. J. Mariańskiego⁸, socjologa religii, wciąż ok. 90% Polaków uważa się za osoby wierzące, a 60-70%

⁸ Dane z najnowszych badań przytaczane przez ks. prof. J. Mariańskiego w wykładzie wygłoszonym w ramach seminarium Wolnej Szkoły Nauk Społecznych i Filozoficznych im. J. Szczepańskiego w Stonawie (na czeskim Zaolziu) w październiku br.

akceptuje dogmaty wiary katolickiej. Równocześnie jednak ok. 30% traktuje swoją religię wybiórczo, szczególnie w obszarze moralności, akceptując jedynie niektóre przykazania Dekalogu. W świetle wyników europejskich jest to wysoki procent, świadczący o dużej religijności i sile wiary. W kontekście refleksji nad wiarą młodzieży, poważny namysł powinny wzbudzić dane, wg których w ostatnich latach spada odsetek młodzieży praktykującej, rośnie liczba osób zainteresowanych synkretycznymi formami religii, wiarę deklaruje ok. 70% badanej młodzieży, ale wiarę w Boga osobowego już tylko ok. 50%. Z perspektywy przygotowywania młodego człowieka do decyzji wejścia na drogę wiary, informacje te potwierdzają konieczność skoncentrowania tego procesu na osobie Chrystusa.

Spróbujmy określić cechy współczesnej młodzieży, które mogą wpływać na jej dochodzenie do wiary i wzrastanie w wierze. Ich znajomość powinna towarzyszyć tym, którzy chcą pomóc młodym tak **w drodze do** wiary, jak i **na** drodze wiary.

Wśród cech rozwojowych młodych ludzi i cech wywołanych warunkami społeczno-kulturowymi w jakich przyszło im żyć, niektóre bardziej niż inne wydają się dziś wyznaczać ich myślenie, przeżywanie i działanie w sferze wiary. Są to: egocentryzm i słycone rozumienie wolności, wywołujące opór przed posłuszeństwem; lęk przed samotnością prowadzący do poszukiwania miejsca i akceptacji w grupie (głównie grupie rówieśniczej), do potwierdzania przez innych własnych postaw i poglądów; zwątpienie w sens trwałych zobowiązań i możliwość ich dotrzymania; potrzeba intensywnych, możliwie różnorodnych doznań, wrażeń, przeżyć angażujących psychikę i ciało; wreszcie niechęć do wysiłku. W stosunku do religijności charakterystyczne są: nieufność wobec formalnych deklaracji religijnych, wobec Kościoła jako instytucji i jego struktur, potrzeba

kontestowania utrwalonych praktyk religijnych jako praktyk kulturowych, poczucie sztuczności kościelnych celebracji i języka, wstyd i obawa przed upublicznianiem własnych postaw religijnych. Niezależnie od splotu wymienionych cech dominujące wydaje się jednak poczucie braku miłości, brak wiary, że jest się dla kogoś ważnym i potrzebnym, że można komuś zaufać, na kogoś liczyć, że życie niezależnie od warunków może być wartościowe, może mieć prawdziwy sens. Temu przeświadczeniu towarzyszy przekonanie, że Kościół i religia nie mogą mieć z tymi doświadczeniami żadnego głębszego związku. Należą bowiem do innej sfery życia, sztucznej i ważnej jedynie dla osób duchownych oraz innych ludzi „pobożnych”.

Zdarza się, że na drodze ludzi młodych staje ktoś wiarygodny, życzliwy, pomocny, świadczący własnym życiem o swojej wierze, choć niekoniecznie świadomy swojego oddziaływania. Tak zaczynała się dla wielu z nich droga do wiary a potem już droga wiary. Jednak, żeby uczyć się świadomego, odpowiedzialnego pomagania młodemu pokoleniu w szukaniu Boga, w otwieraniu się na łaskę wiary warto przyjrzeć się szczególnie uważnie wychowawczej i formacyjnej pracy z młodzieżą, jaką na przestrzeni całego swojego pontyfikatu prowadził św. Jan Paweł II. Wczytanie się i wsłuchanie w teksty i wypowiedzi Jana Pawła II, obserwacja Jego zachowań w kontakcie z młodzieżą, a przede wszystkim poznanie sposobu życia, miejsca wyznaczanego w nim Bogu, pozwalają dostrzec, że Jan Paweł II jako człowiek i Głowa Kościoła stał się niejako integralną, w pełni wiarygodną odpowiedzią na potrzeby ludzi młodych. Nie tylko dobrze znał ich problemy, On je rozumiał. Świadectwem życia, czytelnym codziennym „chodzeniem w obecności Bożej”, miłością każdego człowieka, ukazywał Prawdę o człowieku i świecie, wzywał do jej szukania i odważnego wyznawania. Miłość jaką obdarzała Go młodzież i zaufanie, z jakim

szła za Nim kiedy wprowadzał ją w przestrzeń wiary, kiedy wzywał do dzielenia się nią, pokazuje siłę takiego prowadzenia do Boga.

Jan Paweł II – przewodnik młodych w drodze do wiary

Od początku pontyfikatu Jan Paweł II, wszędzie gdzie się znalazł, zapraszał młodzież na spotkania – czy to w Rzymie, czy w czasie wizyt duszpasterskich w całych Włoszech, czy w kraju, który odwiedzał. Spotkania te z latami zyskiwały coraz bardziej ustalony kształt i przebieg. Były autentycznymi spotkaniami, pełnymi radości, muzyki, śpiewu, tańca, inscenizacji teatralnych. Papież cieszył się z młodymi możliwością spotkania, uważnie słuchał, śpiewał z nimi, towarzyszył, wyrażając serdeczną bliskość. Jednak kulminacyjnym punktem za każdym razem było Jego przemówienie lub szczerzy dialog z uczestnikami, w którym podejmował stawiane przez nich pytania dotyczące wiary, religii, Kościoła, życia. Często odwoływał się do własnego życia. Wyjaśniał prawdy wiary i nauczanie Kościoła nawiązując do życiowych doświadczeń młodych ludzi, ich problemów, wątpliwości, trudnych sytuacji. Nie unikał stawiania wymagań i nie ukrywał, że wiara nigdy nie jest wyborem „spokojnym”, jest życiowym wyzwaniem, wyborem związanym z ryzykiem utraty różnych postaci światowego „komfortu”. Budził odwagę i nadzieję. Na wszystkich spotkaniach mogliśmy usłyszeć wezwania: *„Idźcie”*, *„Bądźcie odpowiedzialni za misję...”*, *„Niech wasza obecność będzie widoczna”*, *„Wołam do was młodzi...”*, *„Czy chcecie być wierni Chrystusowi?”*. Zawsze traktował młodych bardzo poważnie, okazując zaufanie, że są zdolni podjąć najtrudniejsze nawet zadania. Wybrzmiało to wyraźnie m. in. we Florencji w 1986 r., gdzie padło nie tylko wezwanie, ale zobowiązanie: *„Przejmijcie od waszych przodków tajemnicę rozkwitu piękna, dobra i prawdy. To są właśnie dążenia ludzkiej duszy,*

zwłaszcza duszy młodej. One zawsze nami kierują. To, że ja znajduję z wami wspólny język, jest właśnie zasługą tego dążenia, które jest w was zawsze obecne. Oto bogactwo młodości”⁹.

Wystąpienia Jana Pawła II do młodzieży nie były nigdy chłodnym, zdystansowanym przekazem dydaktycznym, objaśnianiem religii, teoretycznym „przybliżaniem wiary”. Za każdym razem było to zaproszenie do współmyślenia, ukazanie i tłumaczenie stawianego zadania, jego znaczenia i rangi, uświadomienie misji, prośba, apel i wezwanie do jej dostrzeżenia i podjęcia. Warto zauważyć, że taka forma przekazu sama staje się działaniem, uruchamia, motywuje, budzi z „uśpienia”, wytrąca z obojętności. Nie może to być, i nigdy u Jana Pawła II nie była to językowa manipulacja. Nie było to również „marketingowe przekonywanie”, że wiara w jakimś sensie „się opłaca”. Młodzież Bogoty w 1986 roku usłyszała stanowcze słowa: *„Jeżeli próbujecie bezpośrednio wykorzystać Boga i religię jako pomoc w realizacji dotykalnego szczęścia, waszych interesów czy też przedsięwzięć, które zależą od charakteru, inteligencji i serca, jakie Bóg wam dał, byście panowali nad światem, to możecie się zawieść. Bóg nie należy do kategorii środków zaradczych na nasze niedostatki”¹⁰.*

Pełne zaangażowania i powagi wezwania kierowane przez Jana Pawła II do młodzieży stanowiły zdecydowany komunikat: wasze zachowanie, decyzje, życie, są dla mnie ważne, bo was kocham, bo chodzi o naprawdę najważniejsze sprawy, a więc nie ma czasu na zbyt długie namysły i kalkulacje. Każde wyzwanie zakłada zrozumienie potrzeby i trudną, dobrowolną decyzję, którą można podjąć lub nie.

⁹ Jan Paweł II, Przemówienie do młodzieży na Anioł Pański, Florencja 1986, w: Podręcznik Pokolenia JP II..., s. 282.

¹⁰ Jan Paweł II, Przemówienie na spotkaniu z młodzieżą na stadionie Nemesio Yamacho, Bogota 1986, w: Podręcznik Pokolenia JP II..., s. 264.

W przypadku wiary są to decyzje najważniejsze dla człowieka, wyznaczające kształt i perspektywę jego życia.

Podstawą wyводу zawsze było uświadomienie, że Bóg jest kochającym Ojcem a Chrystus – jego Synem, ofiarującym się za nas, żyjącym z nami, towarzyszącym nam z miłością na drodze naszego powołania, drodze do Boga. Trud tej drogi możemy pokonać dzięki pomocy Matki Bożej. Dobrze ilustruje ten sposób przekazu przemówienie do młodzieży holenderskiej, oparte na odpowiedziach na nadesłane przez nią wcześniej pytania. Jedno z nich dotyczyło życia chrześcijańskiego i obowiązujących w nim norm. Papież odpowiadając powiedział m. in.: *„Oto, Droga Młodzieży, tajemnica życia chrześcijańskiego, wiernego i radosnego zarazem: sekret ten tkwi w szczerzej, osobistej i głębokiej miłości do Chrystusa. Moim życzeniem jest, żeby każdy z Was odkrył taką właśnie miłość, bo wtedy wartości, które tkwią u podstaw normy, ukażą się wam w całej prawdzie, a trudności, na jakie natykacie się przy ich realizowaniu, zmaleją”*¹¹. Każde spotkanie przewidywało też czas na wspólną modlitwę z młodymi i za nich.

W kontekście przewodnictwa na drodze do wiary warto przytoczyć fragment przemówienia Jana Pawła II ze spotkania w 1989 r. z młodzieżą świata w Santiago de Compostela, w drodze do św. Jakuba. Nawiązując do niepowtarzalności tego miejsca, od wieków łączonego z „drogą” i pielgrzymowaniem, Papież ukazał istotę drogi wiary. Powiedział: *„Zastanówmy się nad znaczeniem słowa «droga», aby to przeżywane dzisiaj nawrócenie serc i spotkanie z Panem nadało sens naszemu życiu. Słowo «droga» wiąże się z pojęciem «poszukiwania» (...) «Czego szukacie pielgrzymi?» To pytanie musimy*

¹¹ Jan Paweł II, Przemówienie na spotkaniu z młodzieżą, Holandia, Amersfoort, 1985 r., w: Podręcznik Pokolenia JP II..., s. 188.

sobie zadać wszyscy tu obecni. Zwłaszcza wy, Drodzy Młodzi, którzy macie całe życie przed sobą. Wzywam was: zdecydуйте, jaki ma być kierunek waszej drogi. To samo pytanie zadaje Wam Chrystus: «Czego szukacie» (J 1, 38). Szukacie Boga?

Duchowa tradycja chrześcijaństwa podkreśla nie tylko wagę naszego szukania Boga. Ukazuje ona coś jeszcze ważniejszego: Bóg szuka nas. On sam wychodzi nam na spotkanie¹².

Przemówienia Jana Pawła II do młodzieży, dialogi z nią, zwracają uwagę na jeden jeszcze warunek pomocy w drodze do wiary. Jest to wyjaśnianie treści wiary, objaśnianie Słowa Bożego, tłumaczenie konkretnych sytuacji występujących w Ewangelii w sposób możliwie bliski młodemu człowiekowi, bez sięgania do języka teologii, bez okazywania niezadowolenia, czy rozczarowania jego niewiedzą. Oznacza to przyjmowanie ze zrozumieniem, że wiara młodych ludzi może być płytka, czasem błędna, oparta na braku wiedzy, niezrozumieniu, mylnych przeświadczeniach prowadzących do wewnętrznych oporów i wątpliwości. Opor przed wejściem na drogę wiary może być też spowodowany brakiem odwagi przed podjęciem się tak poważnego, nieprzewidywalnego w praktycznych konsekwencjach, trudnego zobowiązania zmieniającego całe życie. Wyprzedzaniu niejako tych trudności i ich prostowaniu służyło częste budowanie przez Jana Pawła II przekazu w formie spodziewanych pytań i głębokich na nie odpowiedzi. Jan Paweł II z wielkim szacunkiem, troską i miłością wprowadza młodych odbiorców w istotę wiary, życia chrześcijańskiego i chrześcijańskiego powołania. Uczy ich widzieć w człowieku osobę, otwierać się na Osoby Boskie. Przede wszystkim pokazuje, iż **droga do wiary i droga wiary musi być rozpoznawana**

¹² Jan Paweł II, Przemówienie powitalne. IV Światowy Dzień Młodzieży 1989, Santiago de Compostela, w: Podręcznik Pokolenia JP II..., s. 439.

tak przez młodzież, jak przez towarzyszących jej dorosłych, jako droga do Chrystusa. To założenie będzie widoczne również później w spotkaniach z młodzieżą i Benedykta XVI, i Franciszka.

Znamienne jest, iż na spotkaniu z młodymi katolikami Argentyny, a więc młodzieżą przyznającą się do Chrystusa, deklarującą już wejście na drogę wiary, Jan Paweł II uznał jednak za potrzebne przypomnienie istoty tej drogi: *„Dla wierzącego bowiem wiara jest nie tylko stanowczym uznaniem pewnych prawd niezmiennych w czasie i przestrzeni, lecz także pełnym utożsamieniem się z Osobą i zawsze aktualnym przesłaniem Jezusa Chrystusa.”*¹³ To samo przekonanie o konieczności stałego uświadamiania młodym istoty wiary jest widoczne w przemówieniu w czasie Jubileuszu Młodzieży w Rzymie w roku 2000. Uczestnicy tego święta usłyszeli odpowiedź na najczęściej powtarzające się wątpliwości związane z treścią wiary. Papież mówił m.in. *„...droga wiary przechodzi przez to wszystko, co przeżywamy. Bóg działa w konkretnych i osobistych wydarzeniach życiowych każdego z nas. Poprzez nie, nieraz sposobami naprawdę tajemniczymi, przedstawia się nam Słowo, które „stało się ciałem”, które zamieszkało wśród nas.*

Drodzy Chłopcy i Dziewczęta! Nie pozwólcie, aby czas, który daje wam Pan, minął tak, jakby wszystko było przypadkiem. Święty Jan powiedział nam, że wszystko stało się w Chrystusie. Wierźcie zatem mocno w Niego. On kieruje historią jednostek, jak i całej ludzkości. Niewątpliwie Chrystus respektuje naszą wolność, ale we wszystkich radosnych czy bolesnych wydarzeniach życia nie przestaje zwracać się do nas, byśmy wierzyli w Niego, w Jego słowo, w rzeczywistość Kościoła, w życie wieczne! Nie sądzcie zatem nigdy, że jesteście w Jego oczach

¹³ Jan Paweł II, Orędzie do młodzieży Argentyny zgromadzonej na spotkaniu w Cordobie w 1985 r., w: Podręcznik Pokolenia JP II..., s. 225.

*ludźmi nieznanymi, jakby liczbami z anonimowego tłumy. Każdy z Was jest cenny dla Chrystusa, jest Mu znany osobiście, jest przez Niego umiłowany, nawet gdy nie zdaje sobie z tego sprawy.*¹⁴

Śledząc wypowiedzi Papieża w czasie spotkań z młodzieżą można odczytać w nich podobną ocenę stanu wiary do tej, jaką wcześniej, w latach 50. XX w. zawarł w jednym ze swoich tekstów J. Ratzinger. Dokonując diagnozy stanu wiary we współczesnym świecie stwierdził, że mamy do czynienia z rozwijającym się neopogaństwem, poganieniem ludzi ochrzczonych, którzy nie wiedzą w co wierzą, nie rozumieją już sakramentów świętych i nie chcą żyć po chrześcijańsku. Jan Paweł II uznał jednak, że dziś przyszłością i nadzieją Kościoła są ludzie młodzi, którzy mimo współczesnych zagrożeń wiary, mogą przenieść ją w trzecie tysiąclecie chrześcijaństwa. Przyjmując taką perspektywę Papież najpierw dwukrotnie zaprosił młodzież świata do Rzymu w Roku Świętym 1984, aby w grudniu 1985 r. ostatecznie powołać do życia nową formę wprowadzania młodych w życie i misję Kościoła – Światowe Dni Młodzieży. Miały być dla nich okazją spotkania z podobnie myślącymi rówieśnikami z różnych krajów, wzajemnego umacniania się w postawie uczniów Chrystusa, uczenia się Kościoła i jego misji, radosnego wyznawania wiary. Formuła programowa przewidywała przemienne rytmy spotkań światowych z obecnością Papieża i spotkań w Kościołach lokalnych¹⁵. Ostatnie Światowe Dni Młodzieży w Krakowie były 13. spotkaniem młodzieży świata. Osiem pierwszych zwołał Jan Paweł II, trzy kolejne – Benedykt XVI, i dwa ostatnie – Papież Franciszek. Każde z tych

¹⁴ Jan Paweł II, Przemówienie do młodzieży w czasie Jubileuszu Młodzieży, Rzym 2000, w: Podręcznik Pokolenia JP II..., s. 650.

¹⁵ Historię Światowych Dni Młodzieży przedstawia m.in. M. Muolo w książce Pokolenie Światowych Dni Młodzieży, tłum. M. Masny, Kraków 2015.

spotkań zgromadziło ogromną rzeszę młodych. Program stopniowo wykrystalizował się obejmując czas poznawania się, wspólnej modlitwy, formacji i zabawy, wydarzeń artystycznych, świadectw uczestników spotkania, prowadząc do najważniejszych momentów – modlitewnego czuwania połączonego z Adoracją Najświętszego Sakramentu, wspólną Eucharystią, wysłuchaniem przemówienia Papieża, zawierzenia młodych Matce Bożej, uroczystym rozesłaniem ich przez Papieża z misją ewangelizacyjną i apostołską, wreszcie papieskim zaproszeniem do wskazanego przez Niego kraju następnego światowego spotkania. Osobnym wymiarem i wartością Światowych Dni Młodzieży stała się służba setek wolontariuszy z różnych krajów, związana z przygotowaniem, organizacją i zapewnieniem bezpiecznego i pięknego przebiegu tego wydarzenia. Młodzi ludzie ofiarnie spełniają to zadanie, ponieważ im zaufano i obdarzono ich odpowiedzialnością. Jak łatwo zauważyć, forma Światowych Dni Młodzieży stała się propozycją zadziwiająco i zachwycająco odpowiadającą potrzebom i oczekiwaniom młodzieży. Stworzyła przestrzeń radości i entuzjazmu, która pozwoliła w poczuciu więzi z innymi wejść w przestrzeń skupienia, modlitwy, uważnego słuchania, osobistego spotkania z Chrystusem w sakramencie pokuty, w Eucharystii, na Adoracji. Pozwoliła znaleźć się wśród tysięcy rówieśników z odwagą i radością wyznających wiarę, przeżyć doświadczenie wspólnoty z podobnie myślącymi i czującymi. Wzmocniła identyfikację z wyjątkową wspólnotą gromadzącą się wokół Krzyża Chrystusa - Krzyża Światowych Dni Młodzieży, дарowanego młodym przez Jana Pawła II i od początku przekazywanego młodzieży do kraju organizującego kolejne Dni. Wspólnotową więź między uczestnikami tego wydarzenia podkreślają specjalne symboliczne znaki, rekwizyty, obrzędy, pieśni (m. in. odrębny hymn każdego Światowego Dnia Młodzieży).

Wszystkie te formy składają się na bogactwo wrażeń, obrazów, doświadczeń, przeżyć otwierających na Chrystusa, zachęcających i budzących odwagę wejścia na drogę wiary lub wytrwałego podążania nią mimo wątpliwości i trudów.

W Orędziu na XII Światowy Dzień Młodzieży w 1997 r. Papież pisał zwracając się wyraźnie nie tylko do młodych, ale także do wychowawców: **„Nikt zatem nie może uchylić się od obowiązku codziennego poszukiwania drogi, na której Bóg sam wychodzi mu na spotkanie. (...) Wychowanie do życia chrześcijańskiego nie polega jedynie na trosce o rozwój duchowy jednostki, chociaż solidne i regularne życie modlitewne pozostaje zasadą i fundament całej budowli. Zażyłość z Bogiem, jeśli jest autentyczna, każe myśleć, wybierać i działać, tak jak myślał, wybierał i działał sam Chrystus, oraz oddać Mu się do dyspozycji, aby kontynuować jego zbawcze dzieło.”**¹⁶

Stałą troską o to, by młodzi ludzie traktowali drogę do wiary jako drogę do Chrystusa, a podążanie nią jako drogę z Chrystusem, widać na przestrzeni całego pontyfikatu Jana Pawła II, a potem także Benedykta XVI i Franciszka.

Jana Pawła II program wzrastania w wierze dla młodzieży polskiej

Młodzież w każdym kraju rozpoczyna swoją drogę wiary i idzie nią w sposób wyznaczony historią i tradycją swojego kraju i narodu, własną kulturą. Dotyczy to również młodzieży polskiej. Stała się ona adresatem wielu przesłań Jana Pawła II, partnerem licznych wzruszających spotkań z Nim i dialogów, grupą obdarzaną

¹⁶ Jan Paweł II, Orędzie do młodzieży całego świata z okazji XII Światowego Dnia Młodzieży z dn. 30.11.1997, w: Podręcznik Pokolenia JP II..., s. 618-619.

wielkim zaufaniem (co pokazało – w czasie Światowego Dnia Młodzieży w Częstochowie – powierzenie jej misji zbliżenia młodzieży Wschodu i Zachodu). W ostatnich latach pontyfikatu Papieża Polaka młodzi Polacy zostali obdarzeni programem pracy nad wzrastaniem w wierze. Program ten utworzyło 8 przesłań, przekazanych przez Jana Pawła II na spotkania młodych na Lednicy – spotkania zainicjowane i prowadzone (do końca życia) przez Ojca Jana Górę OP. Ich symbolem stała się brama w kształcie Ryby. Słynna już dziś Brama Ryba, wzniesiona na polach lednickich, w historycznym miejscu chrztu Polski, stworzyła fizyczną przestrzeń – miejsce symbolicznego „przejścia” oznaczającego dla każdego, kto przez nią przejdzie, wybór Chrystusa, przejście w przyszłość „przez” Chrystusa – Bramę. Papież z pełną aprobatą przyjął przedstawiony Mu przez Ojca Jana Górę OP pomysł tego rodzaju spotkań w symbolicznym dla historii Polski i polskiego Kościoła miejscu. Zaakceptował formułę nawiązującą niektórymi elementami do scenariusza Światowych Dni Młodzieży, ale wprowadzającą kluczowy moment – fizyczne przejście przez Bramę-Rybę. Przejście będące znakiem wyboru Chrystusa, wyboru jednoznacznego, publicznego, aktywnego, choć bez słownej deklaracji - więc bardzo osobistego. Jest to wybór zobowiązujący jedynie dla tego, kto przeszedł Bramę. Tylko on sam decyduje, być może wielokrotnie przez kolejne przyjazdy na Lednicę, w jakim stopniu jest to wybór wiążący go, zmieniający jego życie. Przejście przez Bramę na Lednicy wyraża wolę wejścia na drogę wiary jako drogę do Chrystusa i przemierzaną z Chrystusem.

Przesłania Jana Pawła II, przesyłane w postaci nagrania wideo od roku 1997 do 2004 na każde spotkanie na Lednicy, stały się niepowtarzalnym momentem-znakiem lednickich spotkań. Nie tylko

ułożyły się w uderzająco spójny, systematyczny program autoformacji¹⁷, wskazujący młodym kolejne kroki podążania drogą wiary, drogą rozpoczętą decyzją wyboru Chrystusa. Były równocześnie znakiem obecności Papieża, wyrazem Jego pragnienia towarzyszenia młodym w tych spotkaniach. W programie dla Lednicy można odnaleźć wszystkie wskazania i najważniejsze wątki tematyczne, jakie Jan Paweł II w czasie swojego pontyfikatu skierował do młodzieży w różnych miejscach świata. Tu zostały one zestawione w program dla tych, którzy zdecydują się na wybór Chrystusa, tym samym wchodząc na drogę wiary. Program ten obejmuje, poprzez osiem przesłań-wezwań, niejako osiem etapów, zakładających podejmowanie kolejno zawartych w nich zadań. Każdy z etapów ma charakter dynamiczny, nie określa stanu docelowego, zamkniętego, ale jest nowym wyzwaniem. Jak każde wyzwanie oznacza, że jeśli uzna się wysoką wartość przedstawionej postawy i działania, tym samym uzna się potrzebę dobrowolnego, świadomego ich podjęcia, niezależnie od wysiłku, trudu, konieczności zaangażowania siebie bez reszty. Podjęcie zadań jednego etapu, w naturalny sposób prowadzi do następnego. Na realizację każdego z nich, w każdym przesłaniu, Jan Paweł II przekazuje swoje papieskie błogosławieństwo, zapewnia o serdecznej bliskości z zebranymi w tym symbolicznym miejscu, o duchowym towarzyszeniu im w corocznym przekraczaniu Bramy Trzeciego Tysiąclecia, o swojej nadziei, że podejmą tę drogę i na niej wytrwają. Z widoczną troską wyraża zrozumienie niepokojów, lęków i tęsknot

¹⁷ Program ten został przeanalizowany, zinterpretowany i skomentowany przez autorów specjalnej publikacji Tropy Lednickie. Dzieło i program Jana Pawła II. Red. J. W. Góra OP. Zaproszona do grona autorów zamieściłam w tej publikacji dwa teksty dotyczące szczegółów tego programu i jego wartości z perspektywy samowychowania. Przedstawiany tu fragment dotyczący programu Jana Pawła II dla Lednicy oparłam na tych tekstach.

młodych ludzi, ale za każdym razem wskazuje kierunek wyjścia i odnalezienia sensu życia - uznanie Chrystusa za Bramę, Drogę i Życie. Zachęca i wzywa do odważnego wejścia na tę drogę.

Poprzez ten program Papież prowadzi młodego odbiorcę od zrozumienia, co oznacza dokonanie wyboru Chrystusa, podążanie za Nim z pomocą Ducha Świętego, życie w perspektywie ostatecznego celu – wieczności z kochającym Bogiem Ojcem, przez ukazywanie znaczenia stałego odnawiania i zacieśniania więzi z Chrystusem, do świadomego podążania za Nim poprzez podejmowanie własnej misji w Kościele i w świecie. Jej istotą jest kochanie Chrystusa w drugim człowieku i we wspólnocie Kościoła. Każde przesłanie prowadzi do zadań, których pełna realizacja wymaga codziennego przekładania ich na praktykę życia.

Przyjęcie całego lednickiego programu rozwoju wewnętrznego pociąga za sobą podjęcie działań służących „wzrastaniu w poznaniu i łasce”. Powinny one obejmować: pogłębianie znajomości Chrystusa, możliwie kompetentne studiowanie Słowa Bożego, poznawanie wiary katolickiej (wychodzące od znajomości Katechizmu Kościoła Katolickiego), pogłębianie życia sakramentalnego i życia modlitwy, poszukiwanie form praktycznego świadczania o własnej wierze, nadziei i miłości odpowiadających własnemu miejscu w świecie, a także form mądrego i ofiarnego służenia swoimi talentami innym – potrzebującym miłości miłosiernej, wreszcie – tworzenie kultury wzmacniającej przeżywanie świata w duchu wiary i uwrażliwiającej na prawdę, dobro i piękno.

Program Jana Pawła II dla Lednicy – a to znaczy nie tylko dla młodzieży polskiej, ale jak napisał Papież w jednym z ostatnich przesłań – dla młodzieży gromadzącej się „na wszystkich Lednicach świata”, można by zawrzeć w kilku najważniejszych zadaniach:

Trzeba wybrać Chrystusa jako Bramę, Drogę i Życie, trzeba wiernie, z pomocą Ducha Świętego iść za Chrystusem dążąc do wieczności z Bogiem – kochającym Ojcem, trzeba odważyć się zawierzyć Chrystusowi i wypłynąć na głębię wiary, trzeba wytrwale nieść świadectwo własnej wiary, nadziei i miłości w nowe czasy.

Konkluzje - w jaki sposób, czy raczej kto może pomagać młodemu w drodze do wiary?

Droga wiary jest drogą wymagającą przewodników, którzy mogą zaświadczyć, że ma ona sens i ważny cel, że jest prawdziwa, warta wysiłku, możliwa do podjęcia i dążenia nią niezależnie od okoliczności. Przewodnik musi tu być świadkiem, że droga wiary jest drogą życia; świadkiem czytelnym w tym, że najważniejszy jest dla niego Bóg i dobrowolne odpowiadanie na Jego miłość, a droga życia jest drogą do Chrystusa i z Chrystusem. Musi być wiarygodny w tym, że żyje życiem opartym na wierności i zaufaniu Bogu. Szczególnie młodzi ludzie są wrażliwi na wiarygodność ideowych deklaracji. Sami często weryfikują deklarowane i manifestowane postawy innych, zarzucając im w przypadku niezgodności z życiem fałsz, obłudę, oszustwo, równocześnie głęboko przeżywając każdy zawód.

Można więc powiedzieć, że prawdziwie pomóc młodemu człowiekowi w drodze do wiary może nie tyle ten, kto doskonale zna i wykorzystuje metody zapoznawania z religią; także nie ten, kto mając najlepszą wolę i intencje doprowadzenia drugiego do Boga, ucieka się do manipulacji czy przymusu. Potrzebny jest wiarygodny przewodnik, świadek i przyjaciel.

Spróbujmy, słuchając i obserwując Jana Pawła II, określić warunki wspomagające i warunki utrudniające współczesnym młodemu

ludziom najpierw wejście na drogę wiary, a potem wytrwałe realizowanie jej jako drogi własnego życia.

Autentyczna pomoc wymaga więc by kochać młodych, wierzyć w nich, darzyć ich szacunkiem i zaufaniem. Dopiero z takim nastawieniem można stawiać przed nimi trudne zadania, wymagania, uczciwie wskazywać słabości i błędy. Proces ten i okazywane postawy potrzebują zaangażowanej obecności, życzliwego towarzyszenia, gotowości do pomocy, dyskretnego wspierania. Droga do wiary, a potem wzrastanie w wierze, są szczególną sferą życia. Pomoc młodym ludziom musi zakładać możliwość spotkania się z przeżywanymi przez nich wątpliwościami, trudnościami, rozterkami, zdradami i powrotami. Sytuacje te wymagają wrażliwej delikatności i szacunku do przeżywającego je człowieka. Decydując się na taką pomoc nie można bać się manifestowanego przez młodzież oporu, prowokacyjnych pytań i reakcji, nieustannego sprawdzania wiarygodności innych.

Zrozumienie, że wiara jest dialogiem z Bogiem, jest drogą do spotkania z Nim, jest drogą życia z Chrystusem – wymaga możliwie najpełniejszego zaangażowania całego człowieka. Dlatego ważne jest by pomoc obejmowała sytuacje wymagające od młodych ludzi wielostronnej aktywności, włączenia się w formy umożliwiające wyrażanie wiary a przynajmniej potrzeby wiary, by pozwalała przeżywać sytuacje zbliżające do wiary poprzez odwoływanie się do różnych środków ekspresji. Wreszcie, by tworząc sytuacje pozwalające odczuć radość wspólnoty, porozumienia z innymi, tworzyła równocześnie starannie przemyślaną fizyczną i psychiczną przestrzeń dla skupienia, modlitwy, kontemplacji, spotkania z Chrystusem.

W każdym działaniu z dzieckiem i młodym człowiekiem potrzebny jest czas. W szukaniu drogi do wiary, w zachowaniu

wierności tej drodze jest on niezbędny. Nie da się tu niczego przyspieszyć. Przeciwnie – niecierpliwość i upór „nękanie” mogą stać się czynnikiem zniechęcającym, wywołującym bunt przeciw zewnętrznemu sterowaniu.

W tym miejscu warto zwrócić uwagę na inne jeszcze czynniki zagrażające wrażliwej sytuacji dojrzewania życia wewnętrznego młodego człowieka. Może to być sztuczne mnożenie sytuacji zabawy, nieformalnych kontaktów, pozostawiających sprawy wiary niejako „na boku”, jako zbyt poważne, przynależące jedynie do formalnych sytuacji związanych z religią. Może być i zachowanie przeciwne – formalizowanie relacji, celebrowanie własnej „pobożności”, nieuzasadniony dystans i koncentrowanie oddziaływań na przekazie wiedzy oraz egzekwowaniu praktyk religijnych. Może być wreszcie lekceważenie potrzeby poszukiwania prawdy albo poprzez nierozbudzanie u młodego człowieka tej potrzeby w ogóle, albo poprzez uciekanie od sygnalizowanych problemów i wątpliwości, banalizowanie odpowiedzi, nie dbanie o jej rzetelność. Przeszkodą może być również używanie w odniesieniu do spraw wiary jedynie języka teologicznego i uczenie operowania nim w sytuacjach i sprawach dotyczących życia religijnego, przy jednoczesnym braku naturalnego przekładania wiary na codzienne problemy i sytuacje życiowe, omijaniu zwyczajnego, szczerego i poważnego rozmawiania na ich temat w świetle wiary.

Wszystkie te warunki, choć niezwykle ważne, nie są decydujące. Decydującym czynnikiem pomocy jest spotkanie kogoś, kto jest wiarygodnym przewodnikiem i świadkiem, kto chce i potrafi być przyjacielem w drodze do wiary i na drodze wiary, kto sam nią podąża; ktoś kto ma w sobie radość wiary i chce się nią dzielić; kto chce i stara się być obecny, towarzyszyć, być blisko, razem. Pragnienie takiej

obecności z młodymi widoczne było także u kolejnych Papieży. Poruszająca była decyzja Benedykta XVI o pozostaniu z młodzieżą na miejscu czuwania – na lotnisku pod Madrytem w czasie Świątowych dni Młodzieży w Hiszpanii (w 2011 r.), mimo ekstremalnych warunków pogodowych i stanowczych nacisków otoczenia by z tego zrezygnować. Podobne pragnienie doprowadziło do zaproszenia przez Papieża Franciszka przedstawicieli uczestników Świątowych Dni Młodzieży w Krakowie na wspólny obiad, a potem serdeczna atmosfera tego spotkania.

Ktoś kto sam jest autentycznym człowiekiem wiary wie jednak, że wiara jest łaską. Jeśli pragnie pomóc drugiemu otworzyć się na nią, otrzymać ją, musi odwołać się do modlitwy, do codziennej opieki Matki Bożej, do wszelkich dostępnych chrześcijaninowi środków duchowego wsparcia. Powinien modlić się z młodymi ludźmi za nich, za innych i za siebie, by uświadomić im wagę modlitwy, jej siłę, dar jakim jest możliwość pomagania innym, wpływania na losy poszczególnych ludzi i świata modlitwą, modlitwą indywidualną, ale przede wszystkim wspólną.

Tekst rozpoczynający się apelem Jana Pawła II o pomoc młodym, niech zakończy wypowiedź Papieża Franciszka, który przyjmując na audiencji 21 października br. przedstawicieli Fundacji Jana Pawła II powiedział do nich:

„Zachęcam was, abyście nie przestawali wspierać i umacniać młodych pokoleń, by mogły stawiać czoła wyzwaniom, które niesie ze sobą życie, zawsze w oparciu o ewangeliczną wrażliwość i ducha wiary.”

Ks. dr Marek Studenski

Nadzieja kluczem pedagogiki chrześcijańskiej

Temat, który zaproponowano, jest bardzo bliski mojej pracy i moim doświadczeniom, ale zarazem bardzo szeroki. Można by poświęcić mu niejedno sympozjum, i tak też się działo. Jeżeli mielibyśmy którąś z cnót zastosować i przenieść na grunt wychowania, to wydaje się, że nadzieja byłaby tutaj na pierwszym miejscu, bo nie ma wychowania bez nadziei. Chciałbym problematykę nadziei w wychowaniu poruszyć w trzech kontekstach. Pierwszy to kontekst osoby wychowanka, na końcu odniosę się do wychowawcy, czyli do nas, a w środku powiem, co łączy wychowanka i wychowawcę, czyli o relacji, jaką jest proces wychowawczy, który zmienia ich obydwu.

Najpierw wychowanek. Mówi się, że przysłowia są mądrością narodów – i to prawda – tymczasem, niestety, są przysłowia paraliżujące, które stanowią potem samospełniające się proroctwa i robią bardzo złą robotę. I to jest ciekawe, że te przysłowia, takie najbardziej zgubne, dotyczą akurat początku ludzkiego życia i końca życia, np. „starość nie radość”, niektórzy dodają: „śmierć nie wesele”. Starsi ludzie powtarzają to przysłowie wtedy, kiedy są w jakiejś niekorzystnej kondycji czy mają zły dzień albo kiedy dopadnie ich choroba. Gdy Antonio Vivaldi pisał „Cztery pory roku”, komponując „zimę”, która

okazała się najpiękniejszą częścią, napisał na marginesie partytury: „Taka jest zima, a mimo to przynosi radość”. I znamy starszych ludzi bardzo radosnych, bo nie uwierzyli w to samospełniające się proroctwo. Niektórzy mówią: „starość to się Panu Bogu nie udała”, do tego jeszcze niektórzy dodają zęby, mówiąc, że też się nie udały, bo się szybko psują, kolana się nie udały. Jak z takim starszym człowiekiem nieraz rozmawiam, mówię: „Wyjdzie na to, że Księga Rodzaju nie mówi prawdy, bo tam jest napisane, że to co stworzył Pan Bóg jest bardzo dobre. Skoro Pan Bóg coś dopuszcza, to jest to potrzebne”. I równie zgubne są przysłowia dotyczące początku życia, np. „ze złej beczki nie należy się dobrego wina”. To znaczy, że jak ktoś już jest z rodziny, gdzie nie ma właściwych relacji między nim a rodzicami, nie doświadczył ojcostwa w swojej rodzinie, to już jest skazany na przegraną. Czyli zaraz na starcie trzeba się poddać i powiedzieć „nie ma sensu wychowywać”. Albo powiedzenie: „niedaleko pada jabłko od jabłoni” – „miałeś takie rodzeństwo, to już krzyżyk na drogę”. I w ilu szkołach to samospełniające się proroctwo rzeczywiście się zrealizowało, bo skoro ktoś miał starszego brata, który według niektórych „zszedł na psy”... Trzeba, aby jakoś przeszedł przez szkołę, ale tak naprawdę jest na przegranej pozycji. Używa się też obrazów, np. jabłek ułożonych jedno obok drugiego, gdzie jedno jabłko jest nadgniłe i od razu wszystkie inne nabywają tej cechy – zaczynają gnić. Jeśli uwierzymy w takie proroctwa, to musimy spakować matki i zakończyć proces wychowania.

Nadzieja wobec wychowanka jest kluczowa. Nad tą nadzieją musimy sami w sobie pracować, żeby jej nie stracić. Jeżeli wychowawca uwierzy w to, że rzeczywiście ze złej beczki nie należy się dobrego wina, cały zapal wychowawczy mija. Martin Seligman, psycholog amerykański jest odkrywcą, moim zdaniem, bardzo ważnej rzeczy, o której

trzeba pamiętać: wprowadził taki termin „wyuczonej bezradności”. Ten psycholog empirycznie przetestował swoje tezy w badaniach nad zwierzętami. Jego eksperyment polegał na doświadczeniu z psami. Pewnie dziś obrońcy zwierząt by na to nie pozwolili... Psy były przechowywane w klatce, w której poddawano je impulsom elektrycznym. Były dwie grupy psów. Jedna znajdowała się w klatce, gdzie psy mogły wyłączyć ten impuls, wyuczyć się, jak wyłączać impuls elektryczny, a w drugiej nie było możliwości ucieczki od kontaktu z prądem. Psy przez jakiś czas przebywały w tych klatkach. Jedne, gdy odczuły prąd, mogły go wyłączyć, gdzieś tam pyszczkiem coś potraćić i prąd się wyłączał, a inne nie miały możliwości w ogóle ucieczki i nie mogły z tym nic zrobić. Po jakimś czasie pobytu w tych klatkach, psy umieszczono razem w dużej klatce, gdzie mogły swobodnie się poruszać. W jednej części klatki był prąd, a druga była pozbawiona impulsów. Okazało się, że psy, które mogły wyłączać w klatce sygnał elektryczny, kiedy pojawiał się prąd, uciekały do drugiej części klatki, gdzie były bezpieczne. Te, które przedtem nie miały możliwości wyłączenia sygnału, dalej przebywały w kątku, gdzie jest prąd, nie wiedząc, że mogą uciec. Wyuczyły się bezradności. Wnioski z tego eksperymentu mogą znaleźć, niestety, potwierdzenie w życiu wielu wychowanków (zresztą polecam książkę Seligmana o optymizmie i pesymizmie; dobra rzecz). Można wyuczyć się bezradności. Zwraca się uwagę, że są nawet całe kultury, w których lubi się „wałkować” problemy. Jako Polacy przeżywamy problemy. Przychodzimy do pracy i opowiadamy, jaki był wypadek, jak tam karetki przyjeżdżały, ciekawe co się stało... Ktoś powiedział, że jedni rozwiązują problemy, a inni je przeżywają. Właśnie w przypadku wyuczonej bezradności przeżywa się problemy.

Bardzo łatwo można wprowadzić dziecko, wychowanka w stan, w którym będzie przekonany, że tu się już nic nie da zrobić i wyuczyć go tego, że nie ma sensu nad sobą pracować. Więc nadzieja wobec wychowanka, że jednak da się coś zrobić, jest kluczowa. My musimy sami nad sobą pracować, aby tej nadziei nie stracić.

Wobec każdego wychowanka – tu jest druga ważna obserwacja – są inne nadzieje. Wiemy, że sokratejska pedagogika mówi o tym, że wychowawca jest położnikiem, który asystuje przy rodzeniu się prawdy, która z kolei prowadzi do dobrego życia (tu był błąd, ślepy zaułek takiego stwierdzenia, że wiedza prowadzi do dobrego życia). Natomiast sama koncepcja udziału wychowawcy jako położnika w procesie wychowania jest bardzo cenna i twórcza. Platon uzupełnił tę pedagogikę o to, że wychowawca ma jeszcze jedno zadanie. On musi zaobserwować, do czego wychowanek się zapala. Wobec każdego wychowanka są inne nadzieje, bo każdy jest inny. I teraz to chyba jest klucz. Przez te nadzieje pokładane w tym konkretnym wychowanku, można go w ogóle otworzyć na prawdę, dobro, piękno, na świat wartości i na Pana Boga. Mówiąc prosto: trzeba wyjść od jego świata wewnętrznego, jego zainteresowań.

Rozmawiam z chłopakiem, już studentem, lektorem zaangażowanym w życie parafii, należącym do wspólnoty charyzmatycznej, który mówi: „Proszę księdza, mnie by nie było nie tylko w Kościele, ale prawdopodobnie w ogóle by mnie już nie było na świecie, gdyby nie trener koszykówki. On mi dał szansę. W szkole zszedłbym na psy. Rozpoczęło się od treningów w kosza i załapałem”. Na takiej pasji można wiele zbudować, czyli odkryć, do czego ten konkretny wychowanek się zapala; zindywidualizować działania.

Kolega jest nauczycielem matematyki i informatyki. Opowiadał, że w jego szkole, w liceum znalazł się uczeń, który chciał wystartować

w olimpiadzie filozoficznej. Poszedł do polonistki, a pani profesor z języka polskiego mówi: „Ja się kompletnie nie znam na filozofii, absolutnie, to jest niemożliwe”. Poszedł do historyka – też mu odmówił. Nie znalazł nikogo, kto by mu pomógł. Zwierzył się temu nauczycielowi matematyki, a on mówi: „Wiesz co, ja też się za bardzo nie znam, ale ci pomogę”. Znaleźli książki, matematyk otworzył kółko filozoficzne i obaj się uczyli, czytali, poznawali. Chłopak wystartował w olimpiadzie i zajął wysokie miejsce. Nie trzeba być specjalistą, trzeba tylko pokładać nadzieje w wychowanku. Myślę, że na tym „koniku”, jakim jest pasja, zainteresowanie, czyli zindywidualizowana nadzieja, oczekiwania wobec wychowanka, można wiele zbudować. Wczoraj rozmawiałem o tym tu z ojcami na Jasnej Górze. W październiku zmarł pan Marian Machura, wielki muzyk, twórca części stałych Mszy Świętej. Prowadził chóry i między innymi miał tutaj zajęcia z muzyki kościelnej. Opowiadali, że na początku ktoś inny miał z nimi zajęcia chóralne, prowadził eliminacje i powiedział jednemu z kleryków: „Ty się nie nadajesz do chóru. Daj sobie spokój ze śpiewaniem, kompletnie nie masz słuchu”. Potem odbywały się zajęcia z panem Marianem Machurą i on zauważył, że ten kleryk w ogóle nie śpiewa, nie otwiera ust. Zawołał go po zajęciach i mówi: „Czemu nie śpiewasz? Cały czas milczysz”. A on mówi: „Pan, który miał z nami zajęcia powiedział, że ja nie mam słuchu, żebym się w ogóle nie zabierał za śpiewanie, bo jeszcze innych będę sprowadzał na drogę fałszowania”. „To zaśpiewaj” i nacisnął na jakiś klawisz, zadał ton, a kleryk znakomicie ten ton odtworzył. Drugi, trzeci ton i mówi: „Ty nie tylko masz słuch, ty masz bardzo dobry słuch”. Okazało się potem, że ten chłopak jest jednym z lepszych w chórze.

Wobec każdego są inne nadzieje. Spotkałem kiedyś taki obraz, który jest bardzo trafny. My nie bierzemy pod uwagę indywidualnych

zdolności, tych talentów, którymi Pan Bóg obdarzył każdego z nas. Wyobraźmy sobie, że wracamy z podróży lotniczej i jest pas transmisyjny, na którym poruszają się walizki, bagaże. Z niepokojem patrzymy, kiedy pojawi się nasza walizka, najczęściej mamy tę walizkę oznaczoną jakąś tasiemką, żeby się nie pomyliła z innymi – dziś wiele walizek jest podobnych i można łatwo pomylić bagaż. Założmy, że ktoś pomyli bagaż i weźmie walizkę bardzo podobną do swojej, potem otwiera i widzi zupełnie inne rzeczy. „Przecież to nie moja walizka: inne ubrania, inne kosmetyki, inne rozmiary ubrań”. Czy taki człowiek zadowolony się: „No trudno, mam nie moją walizkę, to nie jest skrojone na mnie.. Trudno, moją walizkę weźmie ktoś inny, ja sobie wezmę tę, będę miał taką”? Musiałoby być coś nie tak z nim, żeby tak zareagować. Każdy natychmiast zamknie tę walizkę, pójdzie do jakiegoś punktu informacyjnego na lotnisku i zapyta: „Co tu zrobić? Pomyliłem się, pomyliłem walizkę, to nie są moje rzeczy na moją miarę”.

Moi kochani, jeśli chodzi o walizkę, materialne rzeczy, w tym jesteśmy dobrzy, natomiast jeśli chodzi o indywidualne cechy, talenty już bardzo często zadowolamy się przypadkowymi wyborami. Nie pytam samego siebie: „W czym jestem dobry? Gdzie najlepiej się zrealizuję?”. A jeśli chodzi o wychowanków? Czy potrafię odkryć ten wrażliwy punkt, tak jak w rakiecie tenisowej jest jeden punkt (ci, którzy grają w tenisa, to wiedzą, taki wrażliwy; jeśli tam się odbije piłeczka, to jest dobrze; trzeba go znaleźć). Więc każdy wychowanek ma taki talent. Tylko właśnie jeśli uznamy, że już się nic nie da zrobić, to to proroctwo zacznie działać i taka reakcja jądrowa doprowadzi do eksplozji w jego życiu. Trzeba unikać tego i dać szansę. Jeżeli wychowanek raz „załapie”, to najczęściej ma to do końca życia.

Nasz ksiądz biskup Roman miał teraz okazję inaugurować Uniwersytet Trzeciego Wieku w Krakowie. Sześciuset ludzi,

emerytów podejmuje na tym Uniwersytecie studia. Są najbardziej wzorowymi, pilnymi studentami. Tam nie ma opuszczania wykładów, nawet chorzy przychodzą. Jedna z pań pyta Księdza Rektora – czy po odebraniu dyplomu może jeszcze przychodzić na zajęcia. Słyszy w odpowiedzi – „Tak, może pani uczyć się nawet do 95 roku życia”. – Ale ja mam już 98 lat. Zaskoczyła nawet rektora tej uczelni, która jest przeznaczona właśnie dla ludzi starszych. Jak człowiek raz dozna radości rozwoju, bo to jest radość rozwoju, tak to trzeba by nazwać, to już będzie to trwało do końca życia, a potem jeszcze dalej, bo wiadomo, że śmierć niczego nie kończy. Poznanie Pana Boga, Jego miłości dopiero nabierze pełnych barw po przekroczeniu tej granicy.

Można to bardzo łatwo unicestwić, wierząc w to, że np. jabłko niedaleko pada od jabłoni i wychowanek raczej już nie będzie inny niż jego tata czy starszy brat. Nie wolno wierzyć w takie przysłowia! Trzeba je wykreślić i od razu, mówiąc o przysłowiach na lekcjach języka polskiego powiedzieć, że są także przysłowia zgubne. To będzie wymiar wychowawczy tej lekcji.

Przejdźmy teraz do relacji między wychowawcą a wychowankiem. Myślę, że gdy mówimy o nadziei, trzeba powiedzieć jedno: nie wolno stracić z oczu, z pola widzenia celu wychowania. Muszę mieć jasną wizję, ku czemu chcę prowadzić wychowanka. Pani profesor Katarzyna Olbrycht zwróciła na to kiedyś uwagę, mówiąc o tak zwanych „ukrytych programach wychowawczych”. Tak czy inaczej, chcąc nie chcąc, realizujemy jakiś program wychowawczy. Jeżeli go nie nazwiemy, jeżeli go nie będziemy mieli przed oczyma, to będzie się i tak realizował program, tylko będzie on wypadkową wszystkich tendencji, najsilniej oddziałujących na wychowanka. Podwórko, dom rodzinny, a dziś przede wszystkim Internet. Wychowanek będzie zostawiony sam sobie. Już to kiedyś mówiłem, znam taką charyzmatyczną siostrę

zakonną, zmartwychwstaną, która pracowała w zakrystii, nie była katechetką. Wybrała taką mniejszą, małą drogę, właściwie prawie drogę św. Tereski, a nadawałaby się na studia – miała talent pedagogiczny niesamowity. Była baczny obserwator. Zwróciła uwagę, że w gimnazjum na osiedlu, jest śmietnik, przy tym śmietniku ściana, na której młodzież maluje graffiti. Mówiła, że to jest „ściana płaczu”. Młodzież tam wypisuje to wszystko, czym żyje. Dziwi się, że nauczyciele tam nie zachodzą. Mieliby świetną diagnozę, poznaliby swoich wychowanków. Mówię: „Niech siostra mi zrobi zdjęcie tej ściany”. Mam to zdjęcie w komputerze, nieraz je analizowałem i rzeczywiście – jest to ściana płaczu. Młodzież tam wręcz wykrzykuje swoje bóle. Miałem dla tej młodzieży naukę w kościele w czasie misji. Pytam się księży, ilu będzie w kościele gimnazjalistów, przygotowałem takie obrazki. „Trzeba gdzieś liczyć około 150, bo nie wszyscy przyjdą, a to jest duże gimnazjum”. Przychodzę. Nie wiedziałem co zrobić, zatkało mnie. Policzyłem ich bardzo szybko, bo było ich 27. Na drugiej nauce – sukces, bo było 28, a na zakończeniu tych misji przyszło też 27. Pytam: „Słuchajcie, gdzie są wasi koledzy? Nie chodzi o donoszenie, bo ja i tak jestem z zewnątrz, tylko powiedzcie, jestem jako ksiądz po prostu ciekaw, co oni wybrali, dlaczego ich tu nie ma”. „A, proszę księdza, siedzą na Facebooku”. Siostra mówiła potem, że bardzo często przechodząc obok tego gimnazjum słyszała, że oni się umawiają „To o drugiej na Facebooku”. To jest ich świat.

I teraz: jeśli nie będzie jasnej wizji wychowania, wiedzy, do jakiego punktu chcemy prowadzić, to wychowanie „będzie się działo”, oni będą niesieni z prądem gdzieś na jakąś mieliznę, tam, gdzie wszystkie wektory najsilniejsze się zsumują i wychowanek będzie prowadzony w oparciu o taki „program”. Czy to będzie Internet, jakieś czaty, na które będzie wchodził? Tak zwane podwórko i dzieci z kluczem na

szy, które były przy trzepaku i tam się spotykały, to już przeszłość. Dziś wciąża świat wirtualny.

W jednej z książek przeczytałem dialog dwóch postaci, dwóch bohaterów, którzy stracili drogę. Jeden mówi: „Mam dla ciebie dwie wiadomości: jedną złą, drugą dobrą. Od której zacząć?”. - „Od tej złej, żebyśmy mieli już ja za sobą”. „Zgubiliśmy drogę”. „A dobra?” „Mamy bardzo dobre tempo”. I to jest dzisiejszy świat: nie wiemy, dokąd idziemy, ale ważne, żeby iść szybko. Mamy komputery, które nam skracają pracę, pralki automatyczne (w domu kiedyś było pranie, my mieliśmy na strychu w kamienicy taki kocioł, tam się gotowało, sąsiadka przychodziła... To było wydarzenie dla nas, dzieci, spore: „Pranie będzie!”). Naciągało się jakoś te poszwy, prześcieradła, coś się działo. Potem była pralka automatyczna. Pamiętam, że myśmy z siostrą, jak rodzice kupili pralkę automatyczną usiedli na małych stołeczkach przed pralką i obserwowaliśmy, jak pranie rusza się w środku. To było lepsze niż telewizor. Wielkie wydarzenie, bo pralka w domu). Teraz mamy wszystko, tylko, że nie wiemy, dokąd idziemy.

Sören Kierkegaard w takim pięknym, smutnym obrazie przedstawił kondycję współczesnego świata. Mówi, że dzisiejszy świat jest jak statek, na którym miejsce sternika zajął kucharz pokładowy. Nieważne, dokąd płyniemy, ważne, co będzie dzisiaj na obiad. Bardzo często tak działa szkoła. Moi kochani, my się teraz kłócimy, czy gimnazjum, czy szkoła podstawowa, czy cztery-cztery-cztery. A kto się spiera o priorytety wychowawcze? Do podstawy programowej dotychczas dodawało się w postaci takich „skwarek” (tak jak się pierogi potem na koniec okraśli, można je posłodzić, a można dodać słoninki) okrasę wychowania, żeby się nazywało, że jest. Gdzie są konferencje największych, najwybitniejszych pedagogów, duszpasterzy, jakies narady, jak wychowywać? Gdzie są jakies debaty, spory? To się odbywa gdzieś na

uczelniah. Bardzo często pedagodzy, którzy mają coś do powiedzenia, nie mają forum, żeby to wyrażać. Mamy teraz taką okazję także na gruncie kościelnym, żeby dać głos pedagogom, praktykom, wychowawcom, żeby trwał spór, w jakim kierunku wychowywać.

Florence Chadwick, legendarna gwiazda pływania, Amerykanka, urodziła się w 1918 roku. To była kobieta-tytan. Była pływaczką długodystansową – wtedy jeszcze nie było innych środków, więc korzystała z tego co naturalne – przed wypłynięciem, a przepłynęła dwa razy, tam i z powrotem, kanał La Manche, smarowała się tłuszczem zwierzęcym, żeby wytrzymać ziąb wody, żeby nie ulec procesowi wziębienia w kontakcie z zimną wodą, który jest zabójczy (jeżeli ktoś jest ofiarą katastrofy morskiej, bardzo często umiera się nie przez utopienie, ale z wychłodzenia). Więc korzystała z tych wszystkich pomocy, przepłynęła kanał La Manche dwa razy i potem miała pobić rekord świata. Miała przepłynąć kanał San Pedro. Wszystko szło w dobrym kierunku. Dysponowała wspaniałą kondycją. Co się okazało: dzieliło ją od celu zaledwie kilkaset metrów, a ona się poddała, nie dopłynęła. Potem dziennikarze pytali się: „Co się stało? Co było przyczyną tego, że się nie udało? Przecież pani miała dobrą kondycję, tempo do tej pory było cały czas dobre...”. A ona mówi: „Opadły chmury, pojawiła się mgła. Straciłam z oczu cel. Jak nie widzę celu, to nie mam siły, żeby płynąć. Przepraszam”. Poddała się.

Jak stracimy z oczu cel, nie mamy żadnej motywacji. Dotyczy to również celu wychowania.

Jeden z księży terapeutów dawał szansę młodzieży, którą wszyscy przekreślili. Miał on taki zwyczaj, że jak przychodzili wychowankowie, sadzał ich i ich rysował. Rysował tego wychowanka, ale już jako dorosłego człowieka, dlatego, żeby widzieć przed sobą tego, kogo chce ukształtować. To mu pomagało, bo widział, że to jest meta, do

której ma doprowadzić swojego wychowanka. I to bardzo ułatwiało proces wychowania.

Jeśli mówimy o celu wychowania, to dla nas, wychowawców chrześcijańskich, ten cel nie kończy się w momencie przekroczenia granicy doczesności. My wychowujemy ku wieczności. O tym bardzo często mówi pani profesor Wanda Póltawska. W encyklice „Spe salvi” jest wspaniały obraz Jezusa Nauczyciela. Benedykt XVI pisze, że na jednym z nagrobków chrześcijańskich ukazano Jezusa w todzie filozofa, z takim zwojem pergaminu, w stroju, w jakim chodzili starożytni filozofowie. Dlaczego na nagrobku? Benedykt XVI mówi, że dlatego, bo Jezus jako nauczyciel wskazuje drogę poza granicę śmierci. „Tylko ten, kto to potrafi, jest prawdziwym nauczycielem życia”. To jest moim zdaniem bardzo trafna definicja misji nauczyciela i pedagoga chrześcijańskiego. Wskazuje on drogę poza granicę śmierci. Tylko ten, kto to potrafi, jest prawdziwym nauczycielem życia.

Mamy w diecezji księdza, nieraz mu pogroziłem, bo nie przestrzegął programów nauczania, natomiast każdą katechezę, na której jest się u niego, pamięta się od początku do końca. Po prostu słowo w słowo. On jest charyzmatycznym pedagogiem (w tej chwili jest już proboszczem, bardzo młodo nim został. Parafia pod jego kierunkiem rozwinęła skrzydła). W czasie lekcji pozwalał sobie na dialog z młodzieżą i był tak dobry w tym, że nie dał się zapędzić w kozi róg. Lekcja miała miejsce w szkole prywatnej, gdzie jest dość wysokie czesne. Dobre liceum i młodzież, którą na nie stać. W czasie tej lekcji mówi (katecheza dotyczyła wdzięczności): „Skąd wzięliście się na świecie? Skąd się wzięłeś?” – „No, urodziłem się” – „Sam się urodziłeś?” – „Nie, mama mnie urodziła” – „Ano właśnie”. I zaczął mówić o wdzięczności wobec rodziców. Mówi tak: „Popatrzcie, wy tutaj jesteście w szkole, gdzie rodzice płacą trzysta ileś złotych co miesiąc. Macie wspaniałe,

markowe ubrania, a wielu z was nie jest za to wdzięcznych. Wasi rówieśnicy gdzieś w Afryce, w krajach misyjnych muszą iść 20 km po wodę i szukać czegoś do jedzenia, żeby przeżyć”. Na to zgłasza się jeden chłopak i mówi: „Proszę księdza, no dobrze, ale czym oni zawinili, że Pan Bóg tak się na nich mści, że mają takie warunki? Co oni zrobili Panu Bogu, że w takich trudnych warunkach żyją? Czy jest to sprawiedliwe?”. Od razu wyteżyłem uwagę, teraz będę pisał, jaka będzie odpowiedź katechety, bo to dość prowokacyjne pytanie, jak on z tego wybrnie... A ksiądz mówi tak: „To jest bardzo dobre pytanie. Tak jak w przypadku tego niewidomego, kiedy się zapytano Pana Jezusa: ‘Kto zawinił: on czy jego rodzice?’, a Jezus mówi: ‘Ani on, ani jego rodzice. Tu chodzi o to, żeby się objawiła chwała Boża’”. I mówi: „To jest tajemnicą. Jeśli Pana Boga nie ma, to Twoje pytanie jest zasadne. I rację mają ci, którzy stoją przy budce z piwem, których spotykacie po drodze do szkoły. Oni dzień zaczynają od piwa i kończą przy tej budce. Gdyby Pana Boga nie było, to oni mieliby rację. Ale jeżeli jest Pan Bóg, to wszystko wygląda zupełnie inaczej”. Rozpoczął w ten sposób rozmowę na temat cierpienia osadzoną w wierze. Katecheta robi to „z urzędu”, ale myślę, że każdy wychowawca szkoły katolickiej nie tylko może, ale powinien uwzględnić to, że życie człowieka na tym świecie się nie kończy i nie możemy tracić z oczu perspektywy wiary. Jeżeli chcemy szczęścia naszych wychowanków, to jest pierwsze pragnienie: doprowadzić wychowanka to tego, aby był szczęśliwy już teraz, ale także w wieczności. Czy możemy sobie w ogóle wyobrazić sytuację, że my będziemy w niebie, a nasi wychowankowie odwrócą się od Pana Boga? Jak ta nasza wieczność będzie wyglądała: będziemy kontemplować Oblicze Pana Boga wiedząc, że ktoś jest od Pana Boga odwrócony? Pierwszym pragnieniem dotyczącym wychowanka jest doprowadzić go do zbawienia.

Mamy jedno życie. Nasza noblistka, Wisława Szymborska, bardzo często ocierała się – choć sama była agnostyczką – o tematykę wiary, spraw ostatecznych. Jeden wiersz, co prawda mówiący o miłości, „Nic dwa razy się nie zdarza”, ma zwrotkę, którą sobie zapamiętałem, bo jest jak najbardziej adekwatna w odniesieniu do ostatecznego celu życia: „Choćbyśmy uczniami byli najtępszymi, w szkole świata nie będziemy repetować żadnej zimy ani lata”. Nie będzie możliwości przeżycia drugi raz życia, tak jak zostajemy na drugi rok w tej samej klasie – nie dostaniemy drugiego życia. To życie jest jedną, jedyną szansą. Od tej szansy zależy cała wieczność i tego nie możemy stracić z oczu. Cel, który mamy przed oczyma, wybiega poza horyzont tego świata.

Nie ma wychowania bez nadziei. Jeżeli nie będzie celu, nie będzie nadziei. Gdy ta pływaczka straciła z oczu cel, straciła siły. Mało tego – cel wychowania chrześcijańskiego, jakim jest doprowadzenie do zjednoczenia z Jezusem, nadaje siłę nadziei. Ta nasza nadzieja żywi się tym celem. Jak nie będzie celu, to nadzieja będzie nadzieją przez małe „n”, czyli zniknie, zacznie karłowacieć, nie będzie miała się czym żywić.

Wreszcie postać nauczyciela. W tym rozwijaniu nadziei osoba nauczyciela jest moim zdaniem kluczowa. Dlaczego bohater przypowieści biblijnej nie rozwinął talentu? Jeden otrzymał pięć talentów, drugi dwa, a ten, który otrzymał tylko jeden talent, nie rozwinął go. Tam w tej przypowieści jest odpowiedź. Bardzo dokładnie możemy wyczytać, dlaczego ten człowiek nie rozwinął talentu. Bał się pana, który zadał te talenty „Bałem się, bo wiedziałem, że jesteś człowiekiem surowym...” Nauczyciel może być paralizujący. Mieliśmy w liceum bardzo surowego nauczyciela. Jak się zbliżał jego przedmiot, miałem somatyczne dolegliwości: bolał brzuch, serce biło mocniej. Potem nam ktoś powiedział, że on sam przygotowywał dla nas zadania, męczył się z nimi pół dnia, a potem zadawał je na lekcji

i miał satysfakcję, widząc, że nie potrafimy się pozbierać i jeszcze nam wytykał, że się w tej sytuacji nie odnajdujemy. Mam niewiele snów koszmarnych – czasem się człowiekowi śni, że próbuje uciekać, a nie może, jakieś wojenne sny... Ta lekcja śni mi się do dzisiaj. Zawsze w tym śnie widzę siebie, wiem, że zbliża się koniec roku, w dzienniku mam jedną ocenę i mam świadomość, że będę pytany. Jakoś w tym śnie mam też świadomość, że od matury minęło już tam około tych trzydziestu lat, ja już za bardzo z tego przedmiotu nic nie pamiętam, a wiem, że będę musiał zaraz odpowiadać i z takimi zaległościami mam stanąć przy tablicy. I budzę się cały spocony, myślę: „Panie Boże, dziękuję, że to był tylko sen!”. To mi zostało po tej lekcji. Wcale nas ten nauczyciel nie otworzył, nie zainspirował tym przedmiotem. „Bałem się, bo wiedziałem, że jesteś człowiekiem surowym”. A są nauczyciele, którzy potrafią otwierać. Mieliśmy taką panią, w tej chwili, to mogę powiedzieć nawet z nazwiska, jest wykładowcą Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, matematyczką i wykładowcą logiki. Powiedziała mi: „Do dziś twój przykład podaję studentom”. Pochodzę z Cieszyna i wielu nauczycieli do nas przybywało z zagranicy. Ona też była nauczycielką, która mieszkała po czeskiej stronie, uczyła matematyki. Do czwartej klasy szkoły podstawowej za bardzo nie rozumiałem matematyki. Jakoś nie potrafiłem. Pamiętam, że było obliczanie powierzchni koła, nie rozumiałem tych wzorów i w piątej klasie szkoły podstawowej przyszła ta pani i już po jednej lekcji nagle wszystko zacząłem rozumieć. Była bardzo wymagająca, ale potrafiła otwierać wychowanków i zainteresować matematyką. Gdybym miał oszacować w jakim stopniu od osoby nauczyciela zależy sukces procesu wychowania i nauczania, powiedziałbym, że jest to 80%.

Ks. dr Wojciech Węgrzyniak

Między wiarą a beznadzieją – spojrzenie Ewangelii

Po studiach w Jerozolimie 7 lat temu wróciłem do Krakowa. I byłem w takiej sytuacji finansowej, że wyszedłem „na zero”, ale zamieszkując w parafii, chciałem się jakoś urządzać, zakupić meble, samochód, chociaż używany i pożyczyłem pieniądze. Wziąłem kredyt. Parę dni po tym kredycie idę Plantami Krakowskimi i patrzę na biedaków. I sobie myślę tak: „Przecież teoretycznie rzecz biorąc, oni są bogatsi ode mnie, bo oni nie mają przynajmniej długów, a ja jestem na minusie. To dlaczego wszyscy uważają, że ja jestem bogaty, a dlaczego ich uważają za biedaków? Ano z bardzo prostego względu: dlatego, że oni nie mają zdolności kredytowej. A dlaczego oni nie mają zdolności kredytowej, a ja mam zdolność kredytową? Dlatego, że ludzie pokładają we mnie nadzieję. Że instytucje pokładają nadzieję: ten człowiek rokuje nadzieję, że chociaż jest księdzem, to zwróci pieniądze”.

Nadzieja. To jest taki wstęp do tej naszej konferencji „Między wiarą a beznadzieją”, pokazujący, jak bardzo wiele zależy od nadziei. I tak naprawdę nie tyle od rzeczywistości, co nastawienia do tej rzeczywistości.

Aby ten wstęp był nie tylko anegdotowy, ale taki bardziej poważny, to przypomnijmy sobie to, co powiedział papież [Jan Paweł II] w '87 roku w Poznaniu do młodzieży. Opowiadał o tym, jak Pan Jezus zaprasza Piotra. Pan Jezus idzie po wodzie, Piotr chce do Niego pójść, Pan Jezus zaprasza i papież powiedział takie bardzo piękne zdanie: „Dopóki Piotr patrzył się w oczy Jezusa, szedł po wodzie. Natomiast kiedy swój wzrok skierował na fale, zaczął iść na dno”. I wydaje się, że ten fragment Ewangelii, jak i ta interpretacja papieża, jest takim przepięknym skrótem tego wszystkiego, co można powiedzieć między wiarą a beznadzieją.

Życie jest chodzeniem po wodzie. Bycie nauczycielem jest chodzeniem po wodzie. Wychowywanie jest chodzeniem po wodzie. Bycie chrześcijaninem jest chodzeniem po wodzie. I tak naprawdę nigdy nie będzie tak, że nie będzie fal. Ale też nigdy nie będzie tak, że nie będzie Jezusa. I dopóki moje oczy patrzą się w stronę Jezusa, to jestem w stanie dokonywać rzeczy niemożliwych. A kiedy moje oczy patrzą się na to niebezpieczeństwo, koncentrują się na tym, co jest niebezpieczne, to wtedy zacznę iść na dno.

I tu mógłbym skończyć. Natomiast cała konferencja będzie pokazem różnych przykładów z Pisma Świętego, jak właśnie dużo zależy od człowieka, w którą stronę się patrzy.

Psalm 13 zaczyna się od bardzo mocnego pytania: „Jak długo Panie, całkiem nie będziesz o mnie pamiętał?” (*tekst hebrajski*). Dosłownie: Jak długo Panie będziesz zapominał, czy na zawsze? Ale tekst hebrajski jest precyzyjny. Tam nawet nie ma „jak długo”, chociaż można też tak tłumaczyć, ale jest *at ana*. *Ad mataj* byłoby „jak długo”. *At ana* dosłownie znaczy „do gdzie”. Nie da się tego dosłownie przetłumaczyć na polski, ale *ana* znaczy: gdzie, dokąd. Czyli jaki mamy obraz? Idziemy w góry, idą na przykład dzieci z nami i są

bardzo zmęczone trasą i w pewnym momencie się pytają: daleko jeszcze? Ale te dzieci nie rezygnują z góry, nie rezygnują z nauczycielki, nie odrzucają przewodnika. Idą po tej drodze: „proszę pani, daleko jeszcze? Daleko jeszcze? Daleko jeszcze?”. I to jest rzeczywiście wyraz zmęczenia, ale to jest wyraz wierności i wiary w to, że ja mam przy sobie przewodnika, skoro mu zadaję pytanie. Jaka jest możliwa odpowiedź na tę sytuację? Kiedy człowiekowi jest bardzo ciężko i pyta: „jak długo jeszcze? Jak daleko jeszcze?”, to wtedy są dwie możliwości: albo, tak jak w tym Psalmie 13, zaufa i powie: „Ja zaś zaufałem Twemu miłosierdziu. Zmęczony jestem, ale ufam Tobie, Panie Boże, że to jest sens”, albo może zareagować tak, jak psalmista 10. albo psalmista 14, który mówi: „Bóg nie pamięta. Odwraca swe oblicze, nigdy nie zobaczy”. Czyli ja pytam: „Panie Boże, długo jeszcze? Jak długo będziesz krył swoje oblicze przede mną?” i Pan Bóg nie odpowiada, i wtedy mam dwie możliwości: „no dobra, nie odpowiadasz, ale Ci ufam, że idę dobrą drogą”. Albo mam drugą możliwość: „nie, skoro nie odpowiadasz, to ja w Ciebie nie wierzę”.

Bibliści mówią, że różnica między właśnie dramatem życiowym a beznadzieją polega na tym, że w dramacie ja kłócę się z Bogiem. Mówię do Niego: „Panie, dlaczego? Dlaczego to się dzieje?” mówię na „ty”, używam drugiej osoby liczby pojedynczej. Natomiast tracę wiarę wtedy, kiedy, zaczyna się beznadziejność, czyli wtedy, kiedy mówię o Bogu w trzeciej osobie: „Bóg nie pamięta, Boga nie ma”. Boga nie ma – to jest jego całe myślenie. Czyli dopóki kłócę się z mężem, to jest w porządku. Ale kiedy już obgaduję go w trzeciej osobie... „On jest do niczego”, no to jest już gorzej. To już jest beznadzieja. Oczywiście, to jest taki bardzo kiepski przykład.

Druga sprawa: niewola babilońska. Żydzi w niewoli babilońskiej przeżywali największy dramat, jaki mógł być. W starożytności Bóg,

który był prawdziwym Bogiem, musiał być Bogiem zwycięskim. Musiał być. Bóg, który przegrywał, znaczyło, że nie jest bogiem. Mistrz jest wtedy, kiedy jest mistrzem, proste. Więc kiedy Żydzi zostali wprowadzeni do niewoli babilońskiej, kiedy została zniszczona świątynia Boga Jahwe w Jerozolimie, to co to znaczyło? Że ich Bóg jest słabszy od bogów babilońskich, że ich Bóg nie potrafi się obronić. Znów: jakie były dwie możliwości? Jedna możliwość była bardzo prosta: to znaczy, że Bóg Izraela nie jest Bogiem prawdziwym. „Myśmy Ci, Panie Boże, zaufali, ale Ty nie jesteś prawdziwy, bo Ty nie potrafisz ochronić swoich dzieci”. Co to za ojciec, co to za matka, która nie ochrania swoich dzieci? I wielu Żydów straciło wiarę, wielu Żydów uwierzyło w bogów Babilonii, uwierzyło w boga Marduka. Ale była druga możliwość: zreinterpretować pojęcie Boga. I reszta Izraela, zwłaszcza prorok Izajasz, tłumaczy: „nie, nie, nie, niekoniecznie. Niekoniecznie Bóg, który przegrywa jest Bogiem, którego nie ma. My jesteśmy jak cierpiący sługa Jahwe. I Pan Bóg zwałił na nas winy wszystkich ludzi. I te winy są ponoszone za innych. Cierpimy za innych. W Jego ranach nasze zdrowie, w Jego ranach nasze ocalenie”. Oni wymyślili coś takiego – oczywiście Pan Bóg im to objawił – czy doszli do czegoś takiego fenomenalnego, że Bóg czasem może przegrać, Bóg może czasem dopuścić do porażki po to, aby cię oczyścić, po to, aby wyprowadzić cię w sposób bardziej zwycięski. Bóg może na krzyżu przegrać. Absolutnie przegrać, chociaż mógłby wygrać po to, aby wygrać za trzy dni jeszcze mocniejszym zwycięstwem. I znowu: mogli stracić wiarę, mieli do tego prawo, ale mogli cierpliwie powiedzieć: „nie, Panie Boże, Ty na pewno żyjesz, Ty na pewno jesteś prawdziwy. Ja muszę zastanowić się, co Ty chcesz mi powiedzieć”. Jakie jest w tym myślenie?

Kolejna sprawa: był wielki problem w biblistyce czy w historii egzegezy, czy się przyznawać do trudności, czy je usuwać?

Mamy takie zdanie w Biblii, które Jezus mówi na krzyżu: „Ojciec, przebac im, bo nie wiedzą, co czynią”. I okazuje się, że wiele manuskryptów greckich usunęło to zdanie. Albo zmieniło na: „Ojciec, przebac, o ile to możliwe”. Są nawet takie teksty, świadectwa, które mówią: „Ojciec, nie przebacaj”. Bo się ludziom nie mieściło w głowie, że Pan Jezus mógłby wybaczyć tym, którzy Go zabijają, zwłaszcza, że po grecku „przebac”, oznacza „zostaw”. Czyli „Panie Boże, nie karć ich, zostaw, niech oni mnie krzyżują”. Zatem była taka pokusa: usuwać, ludzie nie będą mieli problemu.

Jeszcze bardziej ewidentnym przykładem jest pokusa z 8. rozdziału Ewangelii św. Jana, czyli ten fragment o kobiecie cudzołożnej, przyłapanej na cudzołóstwie. Co się okazuje? Nawet takie kodeksy starożytne, jak watykański z IV wieku, nie mają tego fragmentu. Oczywiście, inne mają, jak Kodeks Synajski też z IV wieku, ale mamy, można powiedzieć, pół na pół. Dzisiejsza teoria mówi tak, że najprawdopodobniej ten fragment powiedział Pan Jezus. Było to napisane w Ewangelii, ale oni jak zobaczyli, że Pan Jezus tej kobiecie nie dał za pokutę nawet trzy razy „Zdrowaś Maryjo” i po prostu puścił ją wolno, i to w czasach, kiedy za cudzołóstwo był rok, dwa, trzy lata pokuty, no to sobie pomyśleli: „nie, nie, nie, nie! Absolutnie nie można tego czytać w Ewangelii! Nie można czytać w Kościele takiej Ewangelii, bo jeśli ja będę czytał w Kościele taką Ewangelię, to za chwile przyjdą mi ludzie i powiedzą: proszę księdza, a dlaczego ja muszę trzy lata czekać, skoro ona nie musiała czekać nawet pięć minut?” Więc, żeby nie było problemów, to lepiej usuńmy.

Oczywiście, usunięcie nie zawsze jest znakiem naszej słabości. Kościół po II Soborze Watykańskim usunął 122 wersety z Księgi

Psalmów. Usunął w tym znaczeniu, że nie odmawia się ich w Liturgii Godzin. Mamy trzy całe psalmy usunięte i poszczególne fragmenty. Pierwszy zrobił to Kościół Anglikański, potem inne kościoły protestanckie. Prawosławni czytają wszystko. Była propozycja, żeby zamieszczać małymi literkami, ale generalnie ojcowie soborowi wyszli z założenia, że ze względu na trudności psychologiczne lepiej tego publicznie nie odmawiać. „O córo Babilonu, szczęśliwy jest ten, kto chwyci i roztrzaska twoje dzieci o skały!”. Nie odmawiamy tego wersetu. Oczywiście jest pytanie, czy to dobrze, czy to źle, ale doskonale rozumiemy, że można usunąć i to jest łatwiej, ale można zostawić taką trudność i ją tłumaczyć.

Z drugiej strony rozumiemy, że czasami usunięcie jest rzeczą, która jest koniecznie potrzebna ze względu na większe dobro. Mówisz na przykład dziecku: „Nie oglądaj tego filmu”, „Nie idź tam”. To nie jest moja porażka, ale wcale to nie jest takie łatwe.

Kolejna sprawa. Biblia, można powiedzieć, mocuje się między tym, czy mamy próbować znaleźć sens, czy koncentrować się na bezsensie. Doskonale znamy próbę Abrahama, że Bóg wystawił Abrahama na próbę: „Idź, złóż swojego syna w ofierze”. I bardzo wielu ludzi koncentruje się na tym, że to jest bezsensowne: Pan Bóg każe zabijać dziecko, Pan Bóg jest okrutny, Pan Bóg... tak się po prostu nie robi! I oczywiście, że można mieć takie podejście i można mieć pretensje do Pana Boga. Ale z drugiej strony można sobie powiedzieć: „nie, nie, spróbujmy znaleźć sens”. Hebrajskie słowo *nasa* oznacza „wystawiać na próbę”. A po to się wystawia, żeby człowiek wszedł na wyższy poziom. Po co jest próba śpiewu? Po to, żeby potem lepiej śpiewać. Po co przymierzasz sukienkę? Po co jest próba sukienek? No żeby kupić właściwą. Po co jest próba mostu? Żeby można było jeździć. Po co jest próba egzaminu maturalnego? Po co

jest taka próba? No żeby było.. sprawdzone. Bóg doskonale wie, że *homo sapiens* to jest jedyna istota na świecie, która się rozwija. Jesteśmy jedynym gatunkiem zwierząt, które stworzyło cywilizację i cały czas rośnie. Mrówki nie wymyślają co roku nowej autostrady. My rośniemy, ale żeby rosnąć, muszą być pewnego rodzaju stopnie, muszą być pewnego rodzaju próby. Nikt się nie denerwuje, że są próby śpiewu. Po prostu rozumiemy, że one są, bo bez tych prób nie śpiewalibyśmy po prostu dobrze. Bez tych testów zrobionych nie byłoby dobrych wyników. A więc, kiedy Bóg mówi, kiedy autor mówi, że Bóg go wystawia na próbę, to co to znaczy? że Pan Bóg chce dla Abrahama dobrze. My mówimy: jak to dobrze? Każe mu zabijać dziecko – nie, nie! Gdyby Pan Bóg kazał mu zabić syna, to by zabił syna. Jeśli by Pan Bóg chciał, żeby Abraham zabił Izaaka, to skoro Abraham słucha Pana Boga, no to by zabił Izaaka. Dlaczego go powstrzymał? Bo Bóg nie chciał żeby on go zabił, tylko chciał go wystawić na próbę.

Dam taki przykład: mówisz do swojego męża: „Proszę bardzo, chcesz mnie zdradzić? Masz, telefon do mojej koleżanki. Nawet ze zdjęciem”. I czy to znaczy, że ty chcesz, żeby zdradził? Nie, ty go wystawiasz na próbę. A jak on jest głupi, to powie: „o, ale fajnie!”. Wystawiam go na próbę, ale nie chcę. Pan Bóg nie chce zabić, bo jeśli chce, to absolutnie robi.

My mamy jeden problem, że my nie rozumiemy, że to jest 22. rozdział Księgi Rodzaju. Pan Bóg zna się z Abrahamem już jedenaście rozdziałów. Przeżyli dużo ze sobą, wiele lat. Oni się doskonale znają, chociaż to są ludzie i Pan Bóg. Zatem Pan Bóg wie, na ile Abrahama stać. To tak jakby trener mistrza Polski wkładał na plecy jakiegoś młodemu chłopakowi 100 kg ciężaru, a ty krzyczysz, mówisz: „Przecież jak chłopcu, który ma 13 lat, włożysz 100 kg, to on padnie,

umrze! Krzywdę mu robisz!” – „Siedź cicho, bo ty się nie znasz! Ja jestem jego trenerem i wiem, ile udźwignie”.

„Masz pretensje do Abrahama i do mnie? A znasz Abrahama? A znasz Mnie?” – „Nie znam”. No to trzeba po prostu próbować zrozumieć.

Trudniejszą sprawą jest Auschwitz. Znów mamy dwie możliwości. Można powiedzieć, że to był bezsens. Absolutnie to był bezsens. Można mieć pretensje do Pana Boga. Można stracić wiarę, można się rzucić na druty. Nie dziwimy się tym ludziom, że to zrobili. Ale zastanawiamy się, co zrobił Maksymilian Kolbe, że nie rzucił się na druty? Dlaczego on w tym Oświęcimiu potrafi kochać, może nawet bardziej niż w klasztorze? Co robi rotmistrz Pilecki, że on potrafi uciec z tego Oświęcimia, że on nie traci wiary w Boga? Bo albo patrzysz się na bezsens, na cierpienie i mówisz: „to nie ma sensu”, tracisz nadzieję, albo patrzysz się w stronę Pana Boga i mówisz: „musi być jakiś sens! Z tego musi być jakieś wyjście! Bo skoro na krzyżu był sens, to ja muszę go znaleźć, nie chcę być złym łotrem, który ma pretensję: „Panie Boże, dlaczego to się dzieje?” Tylko chcę w tym znaleźć po prostu sens”. A czy to jest sensowne, że ludzie stracili wiarę w Boga, a nie stracili wiary w Niemców? Jaki to jest sens? Przecież po II wojnie światowej, ja rozumiem, że ktoś mógł stracić wiarę w Boga, ale nie rozumiem, dlaczego wierzy w Niemców? Dlaczego kupuje produkty niemieckie? Dlaczego się koleguje z Niemcami, dlaczego mówi, że oni są w porządku? No przecież na ludzki rozum po II wojnie światowej ludzie powinni stracić po pierwsze wiarę w ludzi („absolutnie, ludziom nie wierzę, bo po co? Bo potrafią zrobić piekło”), a po drugie nie wierzę po prostu temu narodowi. To jak to jest? Jaka jest ludzka logika, że my tracimy wiarę w Boga, ale nie tracimy wiary w ludzi? Można! Można, bo człowiek jest nielogiczny. Tylko znowu: albo się

obrażę na Pana Boga, albo spróbuję znaleźć sens. Pytanie: co ja z tego mam? Co ja z tego mam, że ja się obrażę na Pana Boga? Ja mam prawo, ale co ja z tego mam? Bo Maksymilian ma świętość, rotmistrz Pilecki miał z tego wolność.

Oczywiście tu jest pytanie najtrudniejsze: widzę, zwłaszcza na kręgach biblijnych, które prowadzę, że ludzie mówią: nie, proszę księdza, ale w to, to ja do końca nie wierzę, bo ja jestem święcie przekonany, że Pan Bóg na nikogo by nie dopuścił, żeby znalazł się w Oświęcimiu, gdyby ten człowiek nie był w stanie przejść tej próby; że Pan Bóg nikomu nie da niepełnosprawnego dziecka, jeśli rodzice nie są w stanie tej próby wytrzymać. Nikomu z nas Pan Bóg nie da raka, jeżeli wie, że sobie nie poradzimy. Bo On nas doskonale zna. I tu ludzie mają problemy, bo mówią: „nie, proszę księdza, to nie można tak powiedzieć, a co z samobójcami? Przecież oni próby nie wytrzymali”. Tak, próby nie wytrzymali. Ja za każdym razem, kiedy grzeszę, też próby nie wytrzymuję. Ale ja gorąco wierzę w to, że każda próba, absolutnie każda próba jest do wytrzymania, tylko trzeba się koncentrować na Panu Jezusie, a nie na tych falach, bo po prostu pójść na dno.

1 List do Koryntian, 10, 13. Wywiesić sobie na drzwiach, wypisać w sercu, że Bóg nigdy człowieka nie wystawia na próbę większą, niż jest on w stanie znieść. A jeśli dopuszcza pokusę, czy próbę, to jednocześnie pokazuje sposób wyjścia z tej pokusy-próby. Nigdy nie ma większej próby, niż człowiek jest w stanie znieść. Bo mamy dwie możliwości znowu: albo uwierzmy, że Pan Bóg jest wszechmogący i Pan Bóg jest dobry. I chociaż jestem małe dziecko i nie rozumiem tego wszechmogącego Pana Boga, to On czuwa nade mną i nawet z najgorszej sytuacji, jak tego Józefa egipskiego, potrafi wyprowadzić dobro, albo stwierdzam: „życie jest nieprzewidywalne, nie mam wpływu na niektóre sytuacje, po prostu w niektórych tych sytuacjach

trzeba dziękować Bogu, że człowiek przetrzymał, ale nie mieć pretensji, że człowiek upadł”.

Jeżeli przyjmujemy teorię, że Bóg nie ma wpływu na losy ludzkości, i że Bóg po śmierci nam powie: „no co ja ci zrobię, że miałeś raka, jak ja nie mam wpływu na biologię?”, to ja się strasznie boję takiego Boga. Bo po co mi Bóg, który nie ma w ogóle wpływu na moje życie? Po co mi Pan Bóg taki? Po co ja mam takiego Pana Boga słuchać? Natomiast jeżeli ja uwierzę, że Bóg jest wszechmogący, jeżeli On dopuszcza nawet zło, to On wie, że ja sobie poradzę, a nawet jak ja sobie nie poradzę, to znów mnie wyprowadzi na prostą. Ale On wszystko to robi, w każdej sytuacji może mi pokazać drogę dobrą wyjścia. To co ja wtedy? Ja nigdy przenigdy nie stracę nadziei. Ja nie stracę wtedy nadziei. „O, dlaczego mnie oskarżyli w szkole? Dlaczego po prostu powiedzieli takie rzeczy? Dlaczego jest taki świat straszny?”. Nie jest świat straszny. Dzieją się wojny, dzieją się straszne okrucieństwa i gwałty, ale albo się skoncentruję na tym złu i stracę wiarę, i będę zgorzkniały do końca życia, albo powiem: „Boże, proszę Cię, proszę Cię, nie opuszczaj mnie, ukaż mi sens! Będę się kłócił jak Hiob 39 rozdziałów, ale żebym wreszcie zrozumiał to kiedyś, ale nie chcę rezygnować z Ciebie, bo wierzę, że ma sens, ma sens”.

Spróbować znaleźć dobro, czy potępiać zło? O Zacheuszu mówiliśmy. Proszę popatrzeć, jaki to jest geniusz: Pana Jezusa i Zacheusza. Bardzo się cieszyłem, że Ojciec Święty mówił o tym dwa tygodnie temu, że tak samo myślimy. Ojciec Święty mówi: Jezus mógł oskarżyć Zacheusza i wtedy ludzie może by klaskali. Ale On zobaczył w nim dobro. Bo w każdym człowieku jest dobro. I siłą zobaczenia tego dobra Zacheusz tak się nawraca, że sam czyni dobro innym. Można powiedzieć: „a, bez sensu! Ten to jest taki grzesznik, że szkoda dla niego popołudnia”. A można sobie powiedzieć: „nie, spróbuję jeszcze”.

„Nędznicy” Wiktora Hugo; naprawdę te początkowe karty „Nędzników” są tak przejmujące i tak chrześcijańskie, że warto do nich wracać. Galernik Jean Valjean spędza wiele lat na tych galerych za kradzież chleba. Wraca potem uwolniony, nie może znaleźć roboty, no bo wiadomo, że jest już w jakimś sensie potępiony przez społeczeństwo jako były galernik. Przychodzi do biskupa, biskup go przyjmuje, daje mu kolację, nocuje u niego, ale wpada w pokusę kradzieży, no i kradnie lichtarze i sprzęty kuchenne od biskupa. Straż miejska go chwyta, przyprowadzają do biskupa, orientują się, że to są po prostu rzeczy biskupa i mówią: „Złapaliśmy złodzieja!”. A biskup mówi: „To nie jest złodziej. Ja mu to dałem”. Oni przepraszają biskupa, przepraszają tego galernika, on jest zdziwiony, a biskup do niego mówi: „A czemu jeszcze nie wzięłeś tych łyżek czy tam widelców? Przecież to jeszcze trzeba było wziąć, też ci to dałem”. I on chce mu to oddać, jak już poszła straż, chce mu to oddać, a biskup mówi: „nie, ja powiedziałem, że ci to dałem. Tylko zrób z tego dobro”. Przecież to jest przepiękna scena, która pokazuje... On mógł powiedzieć: „no niestety, widzisz, paręnaście lat nie nauczyło cię rozumu, idź jeszcze raz na galery. Jak posiedzisz następne 20, to się nauczysz, że się nie kradnie”. Mógł tak zrobić. Ale zrobił genialną rzecz, zobaczył w tym człowieku, że być może on potrzebuje takiej dawki dobra i przebaczenia, takiej miłości.. Może po prostu ten uczeń potrzebuje, że ja przez tydzień nie będę narzekał. Albo przez miesiąc będzie się mówić o nim tylko dobro.

Oczywiście, że to jest bardzo ciężko. Miałem kiedyś takiego ucznia – byłem pierwszy rok księdzem, więc wiadomo, że człowiek się uczył – i wszyscy mi mówili: „proszę księdza, on jest bardzo trudnym dzieckiem, ale on potrzebuje komplementów”; żeby zobaczyć w nim dobro. Dawałem dzieciom serduszka, no ale on naprawdę, nic

nie robił. Wszystko rozwalał. Nożyczkami chciał rzucać w koleżanki, szarpał za włosy, za każdym razem trzeba było bronić klasy przed nim, bo było to dziecko trudne. Więc wpadłem na pomysł – mówię: „dostanie Adaś dzisiaj serduszko, czerwone, za to, że jest!”. Bo metafizyka mówi, że byt, jeśli jest, to jest dobry. Ale jaki był skutek tego? Oczywiście, trzydzieści „bytów” podniosło rękę: „Proszę księdza, my też jesteśmy!”. I musiałem dać trzydzieści serduszek...

Wiem, że to jest strasznie trudne w nas, ludziach dorosłych, ale wydaje się też, że im bardziej jesteśmy dorośli, to widzimy, że da się znaleźć dobro w każdym człowieku. Oczywiście, jest pytanie, dlaczego Jezus widzi dobro w Zacheuszu, a nie widzi w faryzeuszach? Albo nie potrafi wyciągnąć z nich dobra? Dlaczego Jezus nie popatrzy na tych, co robili w świątyni ten cały rejwach, handel i nie mówi: „No, wiecie co, może można by was potępić, że to robicie w świątyni, ale w sumie jesteście zaradni, macie robotę, trzeba was pochwalić”? To jest pytanie, w jakim wypadku ja muszę wyciągnąć dobro, a w jakim wypadku ukazać zło? Jesteście dorośli, dojrzały – wyciągając dobro, trzeba czujności – musimy uważać, gdzie są granice.

Jeżeli głęboko wierzę w człowieka, jeżeli wierzę, że każdy przed śmiercią może się nawrócić, to zastanawiam się, co w tym momencie jest dla niego dobre. Może trzeba go zganić? A może trzeba go przytulić? Może trzeba znaleźć dobro, a może trzeba go pokazać publicznie, nawet go osądzić: „nie rób tak, bo jak cię nie osądzę publicznie, to po prostu będziesz dalej tak brnął”.

Kolejna sprawa: szukać, czy zostawić? Gdzie się narodziło chrześcijaństwo? Chrześcijaństwo mogło stracić wiarę, mogło wejść w bezsens – i ja się nie dziwię Apostołom, że wszyscy po prostu odeszli od Pana Jezusa. Kto został pod krzyżem? Tak naprawdę pod krzyżem została Matka, no ale matka zawsze zostanie, choćby dziecko

nie wiem jakie było, to zawsze dziecko, jest dobre. Kto został, Maria Magdalena? No to wiadomo, że da się to wytłumaczyć. I była jeszcze Maria, żona Kleofasa, jedna z ciotek, ale ciotki też nieraz są, nie wiadomo czemu, nie było jej całą Ewangelię, a akurat tutaj jest. Wszyscy ci, którzy powinni zostać pod krzyżem, poszli, dlatego, że była wielka pokusa właśnie beznadziei, że to nie ma sensu. Miał wyzwolić Izraela, miał być Mesjaszem, a tak naprawdę wszystko się rozwaliło.

Ale co się dzieje? Po tych trzech dniach, dzięki Marii Magdalenie, trzeba powiedzieć, że jednak miłość przetrzymuje, ona idzie do tego grobu i ona nie szuka Jezusa Zmartwychwstałego, ale ona nie chce żyć w beznadziei. Ona szuka czegokolwiek, co ma związek z Jezusem, ona szuka zwłok, ona szuka trupa, byśmy powiedzieli. Co robią Żydzi? Nie szukają trupa. Co robią arcykapłani, strażnicy? Oni nie szukają, tylko co? Tylko mówią: „Uczniowie go ukradli. Zapłacimy wam pieniądze za to, żeby mówili.” Dlaczego, skoro oni uważali, że uczniowie ukradli, to dlaczego oni nie szukali tych zwłok u uczniów? Dlaczego ich wszystkich nie sprawdzili? Dlaczego ich nie zamknęli, nie powiedzieli: „Dopóki nie wydacie zwłok Pana Jezusa, to my was nie wypuścimy”? Bo oni się bali, że jak będą szukać Jezusa umarłego, to go nie znajdą. A to im nie pasowało. Apostołowie i Maria Magdalena byli na takim samym poziomie początkowym, jak faryzeusze: wiedzieli, że Jezus umarł. Ale nie chcieli zatrzymać się na tej beznadziei, że to jest koniec. Ja nie chcę, żeby był koniec! Ja nie chcę i tak długo szukać Jezusa umarłego, że aż znajdzie się żywy.

To jest przepiękny znowu obraz, że ja mogę stracić sens życia, i ja mogę stracić wiarę, i ja mogę stracić poczucie, że Bóg jest przy mnie, ale to nic mi nie daje. Oczywiście, ja mogę mówić, że Boga nie ma, dlatego, że dzięki temu będę sobie mógł popełniać grzeszki i nie będę się przejmował, zagłuszę sobie sumienie. Ale to mi nic nie daje.

Ja muszę szukać właśnie, iść w stronę sensu, w stronę wiary, wtedy zniknie beznadzieja. Bo beznadzieja jest, czasem dzień, czasem dwa dni, czasem dwadzieścia lat ta beznadzieja może trwać, ale żeby się na nią nie godzić. Dopóki żyjesz, nie gódź się na beznadzieję, zwłaszcza w swoim życiu. Nie gódź się po prostu na beznadzieję.

W szkole jest trochę łatwiej, bo prędzej czy później tę szkołę uczeń opuści. Prędzej czy później będzie nowy konkurs na dyrektora. Prędzej czy później pójdzie na emeryturę. To jest taka duża nadzieja, co to jest dwadzieścia lat? Ale w życiu osobistym, kiedy nosisz te swoje grzechy, albo mieszkasz z mężem czy z żoną, mówisz: „Powiedziałem ‘do śmierci’, o jejku!”. „Nie porzucaj nadzieje”, mówi Kochanowski „jakoć się kolwiek dzieje”.

Oburzać się czy popatrzeć inaczej? Dużo się mówi o grzechach księży, że to jest skandal, że jak ksiądz śmiał się tak zachować? Jak biskup się śmiał tak zachować? I znowu: można stracić wiarę, można powiedzieć: „to nie ma sensu, jeżeli ludzie, którzy się poświęcili Bogu ..., to ja dlaczego mam mieć problemy?”. I znowu: trzeba rozumieć ludzi, którzy stracili wiarę i odeszli od Kościoła. Ale można na to popatrzeć całkiem inaczej. Przepraszam: ksiądz, nawet niedobry ksiądz – on mi daje Pana Jezusa. Ja widzę wartość, widzę taką wartość w Bogu, którego otrzymuję, widzę taką wartość w odpuszczeniu grzechów, koncentruję się na wartości, że zaczynam widzieć sens nawet grzesznego kapłaństwa. Oczywiście, zaraz teraz powiecie: „A, proszę księdza, ksiądz usprawiedliwia swoje grzeszki!”. Nie, za moje grzeszki ja będę siedział w piekle. A jeżeli ty stracisz wiarę, jeśli stracisz sens, jeżeli po prostu odejdziesz od Pana Boga, to go nie będziesz miał. Nie będziesz miał Komunii. I powiesz: „a, bo to wina księży”, ale kto na tym traci? Jeżeli idziesz do sklepu i pani ci mówi: „ha, ty przyszedłeś kupić chleb, a ty masz

taką śmieszną gębę”. Oczywiście, możesz wrócić do domu i powiedzieć: „nie będę jadła chleba, bo powiedziała, że mam śmieszną gębę”. I oczywiście, że masz rację, tylko nie mów potem, że „umarłam z powodu tamtej pani”. Tamta pani umrze, to znaczy będzie się musiała spowiadać za swoje grzechy, a ty umrzesz z powodu swojej głupoty, powiedzmy sobie jasno.

Raz w życiu nie dostałem rozgrzeszenia. W Santa Maria Maggiore, w bazylice w Rzymie się spowiadałem, w Rzymie byłem wtedy na studiach i mówiłem grzechy naprawdę te same co zawsze. Bo wiem, że wy od razu myślicie: „co tam ksiądz naskrobał za granicą?”. Naprawdę te same, dlatego mnie bardzo zaskoczyło, że nie dostałem rozgrzeszenia, ale co ja mogłem zrobić? Właśnie znowu: mogłem iść w stronę beznadziei: „nie, to nie ma sensu. Nie ma sensu, rezygnuję, skoro ksiądz mi nie dał rozgrzeszenia, to dwadzieścia lat nie będę chodził do kościoła”. Tylko, że problem polega na tym, że ja jestem księdzem, że ja muszę mieć rozgrzeszenie. I problem też polega na tym, że ja jestem chrześcijaninem, bo od '82 roku, odkąd zacząłem chodzić do Komunii Świętej, ja nigdy nie przeżyłem niedzieli bez Komunii. Nigdy po prostu. Zawsze się spowiadałem, żeby móc w niedzielę przeżyć Komunię. Więc jak się trzydzieści lat chodzi co niedzielę do Komunii, to ja mówię: „nie, nie, nie, absolutnie! Ja tego nie popuszczę! Ja muszę mieć po prostu Komunię”. Więc pomodliłem się 20 minut, o co chodzi w tym, bolało mnie to, i poszedłem do innego spowiednika, bo zawsze się wtedy idzie do innego. Dobrze, że tam kilku spowiadało, no i mówię: „ostatni raz spowiadałem się 20 minut temu. Rozgrzeszenia nie otrzymałem, wyznaję te same grzechy”. No i dostałem rozgrzeszenie. Bo Pan Bóg nie chciał nie dać mi rozgrzeszenia, tylko chciał mi dać do myślenia. Chciał mi dać do myślenia.

Ale znowu proszę popatrzeć: albo można było się uprzeć: „to jest bez sensu, jak on śmiał tak powiedzieć, przecież ja mam.. przecież jestem prawie doktor nauk biblijnych i co on śmie mnie pouczać”. Albo mogłem powiedzieć: „nie, nie, tu musi być jakiś sens. Tu musi być jakiś sens”.

Jeszcze jeden przykład, taki już nie z Ewangelii. Kiedyś dyskutowaliśmy na ten temat, czy jest sens czytać List Episkopatu? I ja mówię, że mnie się podoba stanowisko biskupa Rysia. Jeszcze jak nie był biskupem, mówił tak: „Nie zgadzam się ze wszystkim, ale zawsze czytam”. I ja uważam, że to jest taki fajny wyraz pokory. Przecież tak samo czytamy Stary Testament i też muszą ludzie wytrzymać, chociaż niektóre teksty są trudne. Nie zgadzam się z wszystkim, ale zawsze czytam. Była dyskusja, że na mszy dziecięcej to bez sensu czytać, na mszy studenckiej też bez sensu... Były te przykłady, że w seminarium się nie czyta, że zakonnicy nie czytają, a ja mówię: moim zdaniem to jest nie fair. Jak biskup pisze, jak ojciec pisze w diecezji, to trzeba czytać. Każdy z nas miał ojców i wcale nie byli idealni. I też ich trzeba było nieraz słuchać. Moim zdaniem, tyle można zrobić. I była dyskusja.

Spowiadałem o 19.30, na mszy studenckiej, gdzie nie było listu, tylko było normalne kazanie. No i normalni penitenci. Na mszy o 20.30 znowu spowiadałem i przyszła kobieta – nie wiem – 27-28 lat, która się nie spowiadała i mówi: „Proszę księdza, słyszałam tyle razy powtarzające się słowo: rodzina, rodzina, rodzina, rodzina, rodzina (...) rodzina, że stwierdziłam: muszę się zmienić. Muszę nawrócić swoje życie, bo ja mam naprawdę problem z rodziną”. Mówię do ludzi: „ludzie kochani, to nie o to chodzi, że kazania są lepsze niż listy, czy listy są lepsze niż kazania, ale proszę popatrzeć na genialność Pana Boga. Proszę popatrzeć na genialność Pana Boga!”.

My możemy zobaczyć w tym bezsens, też mogę zobaczyć bezsens w radzie pedagogicznej. Ale można to zobaczyć z drugiej strony, można na to popatrzeć inaczej - gdyby nie ta rada pedagogiczna, to bym siedziała trzy godziny na Facebooku, to byłby dopiero bezsens. Albo bym po prostu zrobiła dużo gorsze rzeczy. Przynajmniej nie grzeszę, albo mniej grzeszę na razie... Chodzi o to, żeby nie być takim, że od razu widzimy bezsens, od razu się buntujemy, od razu mówimy „a to nie tak”. Spróbuj! Spróbuj zobaczyć sens, nie dlatego, że jesteś naiwny, ale dlatego, że głęboko wierzysz, że jak człowiek się otworzy i będzie chciał zobaczyć dobro, nawet w najtrudniejszej sytuacji, to on wyjdzie zwycięski.

Adwent '99 rok. Mamy w parafii dosyć ciężkie rekolekcje dla młodzieży, naprawdę, ja się nudziłem! Rekolekcjonista tak mówił, że z ręką na sercu, nie potrafiłem usiedzieć. Mamy spotkanie animatorów i mówimy: co z tymi rekolekcjami? Do kitu, do kitu, do kitu, do kitu, do kitu... A Madzia mówi: „z niedzieli zapamiętałam to, z poniedziałku to, z wtorku to, a ze środy to”. My na to: „Co ty?! Przecież tego się nie dało słuchać!”. „Jak to się nie dało słuchać, przecież tyle zapamiętałam. Bo ja mam taką konstrukcję”, ona mówi, „że jak jest jakiegokolwiek kazanie, to chcę zapamiętać chociaż jedno zdanie. I robię tak jak w sklepie, gdy mam kupić jedną sukienkę. Wiadomo, że w sklepie są same badziewia, ale patrzę: ta, nie ta, nie ta, ale w końcu biorę jedną. Słucham kazania: nie, tu mogę zapomnieć zdanie, tu też mogę zapomnieć... o, to sobie zostawię”.

Jednak się da. Można powiedzieć, że między wiarą a beznadzieją, jest cała przestrzeń życia ludzkiego. My do końca będziemy w takiej sytuacji jak Piotr na tej wodzie i to od nas będzie zależało, czy będziemy się patrzeć w stronę Jezusa, w stronę miłości, w stronę dobra i w stronę nadziei, starając się po prostu nie uśmiercać od początku

wszystkiego. Czy będę się patrzył w stronę tych fal i mówił: „ale fale są ciężkie! Bez sensu jest chodzić po wodzie. Fizyka mówi, że nie da się chodzić po wodzie, no po co ja wyszedłem z tej fali? A w ogóle dlaczego Pan Jezus mnie skusił? Nie, to jest bez sensu, idę na dno”. I pójdziesz na dno, bo niestety życie jest tak skonstruowane, że ono od nas ciągle wymaga właśnie tego zwracania się w stronę sensu, w stronę nadziei. Czego wam i sobie życzę, żebyśmy do końca, do końca życia, aż po trumnę mieli oczy zwrócone na Boga, który jest Źródłem wszelkiego sensu.

Ja w moim życiu od kilku lat nie mam wielkich trudności związanych z wiarą. Może dzięki temu, że wierzę gorąco w tak zwane trzy aksjomaty (nie wiem, czy o tym mówiłem). Trzy aksjomaty. I one mnie trzymają bardzo. Proszę zauważyć, że matematyka jest skonstruowana na aksjomatach i logicznych wnioskach. Co to jest aksjomat? Aksjomat to jest twierdzenie, którego nie trzeba udowadniać, a jest oczywiste. Na przykład: w geometrii euklidesowej, jak mamy jeden punkt, to aksjomatem jest, że przez punkt przechodzi nieskończona ilość prostych. Czy da się to udowodnić? Nie. A czy jest to oczywiste? No pewno. Jeśli mamy dwie proste, to są dwie możliwości: albo się one nigdy nie przetną, bo są równoległe, albo mogą się przeciąć tylko raz, bo są nierównoległe. Czy da się to udowodnić? Nie. A czy to jest oczywiste? Jest. I proszę zauważyć, jak my wierzymy matematykom. Jak mówię mamie o tym, to ona mówi: „nie rozumiem”. Dla niej to nie jest oczywiste, ale może zaufać matematykom. I my budujemy matematykę, my uczymy matematyki, my uważamy, że jest to wspaniała nauka, pomimo, że ona wychodzi z absolutnej wiary. Rzeczy oczywiste.

W wierze tak samo. Wiara jest bardzo podobna do matematyki. Mamy trzy rzeczy oczywiste, a reszta to jest logiczna konsekwencja.

Jakie są rzeczy oczywiste w wierze, które się nie da udowodnić, a które wiadomo, że takie są? Po pierwsze, że Bóg jest. To jest oczywiste. Nie rozumiesz tego? Spokojnie, moja mama też nie rozumie geometrii euklidesowej. Druga: że Pan Bóg jest dobry. Bo gdyby był, a nie był dobry, to byłby jak diabeł, bo diabeł też jest. Ale jest niedobry. I trzeci aksjomat, który jest oczywisty: Pan Bóg jest wszechmogący. Bo gdyby był dobry i był, to byłby jak babcia, nie? Jest, jest dobra, no ale niestety nie może, dziadek nie pozwala. Więc jeśli wierzę, że Bóg jest – a jest – jeśli wierzę, że Bóg jest wszechmogący – a jest wszechmogący – a jeśli wierzę, że Bóg jest dobry, to całe życie o wiele łatwiej przeżyć, bo wtedy w sytuacjach trudnych mówię: „nie, ja wiem, Panie Boże, że to nie jest Twoja złośliwość, bo Ty jesteś dobry; ja wiem, Panie Boże, że to nie jest Twoja niemoc, bo Ty jesteś wszechmogący, ale to jest Twoja mądrość, której nie rozumiem. Nie rozumiem, ale trzymam się Ciebie, robię tak jak dziecko, kiedy jest burza albo pies szczeka, to co robi małe dziecko? Wtula się jak najmocniej w mamę, w tatę, no bo jest niebezpieczeństwo, czyli ja wiem, że jak jest niebezpieczeństwo, to się wtulam w Pana Boga i mówię: „jesteś, jesteś dobry, jesteś wszechmogący. To jest oczywiste, to jest aksjomat i jeśli w to wierzę, to wszystko inne łatwiej mi przeżyć”. To znaczy, może być bardzo ciężko, może być bardzo ciężko, trudno, ale da się wtedy przeżyć tak, żeby z życia, czy z każdej porażki odnieść zwycięstwo. Jeśli z krzyża dało się zrobić znak zbawienia, to z każdego mojego, twój krzyż da się znaleźć znak zbawienia, czy da się znaleźć wyjście. To nie jest po to, żeby gardzić tymi, którzy upadli, albo nie rozumieć tych, którzy nie umieją sobie poradzić, ale to jest po to, żebyśmy się dzielili nadzieją. Ludzie, tam gdzie jest Bóg, nie ma sytuacji beznadziejnych. Po prostu nie ma. Tam, gdzie jest Bóg, nie ma ślepych uliczek.

Antoni Buchała

Wzorce wiary i nadziei w literaturze

Literatura polska i szerzej – literatura światowa - ma w polskiej szkole miejsce szczególne: jest traktowana nie tylko jako przykład pewnych zjawisk społecznych czy ludzkich zachowań, ale jako wzorzec pożądaných postaw, w tym również postaw i wyborów egzystencjalnych motywowanych chrześcijańską wiarą i nadzieją. Dzięki temu specjalnemu statusowi przedmiotu lekcje języka polskiego stają się (lub raczej: mają szansę się stać) swoistą lekcją wychowania do wartości, na których pielęgnowaniu nam, jako wspólnocie społecznej, narodowej czy religijnej, najbardziej zależy.

Dobra literatura jednak nie bierze się z próżni; to nie jest tak, że pisarz wymyśla jakiś temat, a następnie czytelnicy, dzięki upowszechnieniu go w tysiącach egzemplarzy, uczą się tego, co w nich jest zawarte w wysoce szlachetnej intencji, i w ten sposób nakierowują się ku oczekiwanej wartościom. Dobry pisarz potrafi rozpoznać społeczną atmosferę swoich czasów, odczytuje ich znaki i zapisuje w formie, która je utrwali. Im bardziej nośny i rozpoznawalny społecznie temat, tym większe budzi on dyskusje, i tym większa jest szansa na zaistnienie dzieła w powszechnej świadomości – nie tylko ludzi swoich czasów, lecz także w świadomości następnych pokoleń. W ten sposób

tworzy się niepodważalny kanon dzieł świętych i wiecznych dla danej wspólnoty. Dzięki tym dziełom dana grupa ludzi może, po pierwsze, w ogóle poczuć się wspólnotą w wymiarze przestrzennym i czasowym, to znaczy obejmującym współczesne i przeszłe pokolenia; po drugie – może się świadomie wyróżnić z innych wspólnot; po trzecie wreszcie – ma szansę poznać samą siebie zarówno w wymiarze pozytywnym, jak i negatywnym; ma szansę poznać własne zalety i wady.

Co jest zatem owym wyróżnikiem naszej wspólnoty narodowej wśród innych wspólnot, i co będzie dominującym paradygmatem naszej literatury wśród literatur innych narodów? Odpowiedź łatwo znaleźć, obserwując uważnie krajobraz polskich miast i wsi, szczególnie w okresie początku listopada. Tym wyróżnikiem jest wyjątkowa w polskiej obyczajowości pozycja cmentarzy i innych miejsc pamięci, jak pomniki i tablice. Polacy chodzą na cmentarze, ponieważ wierzą w pozagrobowe życie swoich bliskich zmarłych i żyją nadzieją na zbawienie oraz na spotkanie z nimi po własnej śmierci. Wydaje się, że kontakt z przodkami, ze zmarłymi rodzicami czy dziadkami, jest jedną z nieodłącznych właściwości naszego narodu; że wypracowaliśmy zestaw automatycznych niemal zachowań w obliczu śmierci. Zawsze w takich wypadkach, na takich miejscach pojawiają się płonące znicze; pojawia się żywy ogień jako głęboko zakorzeniony symbol życia wiecznego. Widzimy, że obywatele innych krajów mają z tym wyraźny kłopot; obserwujemy, jak w obliczu zamachów czy wielkich tragedii przynoszą kwiaty, zabawki, zdjęcia, dziecięce rysunki, urządzi się marsze, powstają rysunki kredą na asfalcie. Polacy w takich wypadkach idą na grób - lub, w przypadku jego braku, spontanicznie budują namiastkę grobu; choćby stawiają krzyż i układają znicze. A potem trwają w milczeniu przy grobie – prawdziwym lub symbolicznym, obcując duchowo ze zmarłym, któremu ów grób

jest poświęcony. Dla kontrastu warto wspomnieć, że coraz większym problemem w czeskich szpitalach jest niezgłaszanie się dzieci po ciała zmarłych rodziców. W takich wypadkach ciało jest kremowane, a urna przechowywana przez pięć lat. Jeżeli po tym czasie, mimo wielokrotnych monitów, dzieci nie odbierają urny, jest ona urzędowo składana w zbiorowej, a więc praktycznie anonimowej mogile. Wiek dwudziesty był epoką pochówków zbiorowych; symptomatyczne, że w naszym wieku w najbardziej zateizowanych krajach dochodzi do tego samego zjawiska. W Polsce to na razie nie do pomyślenia. Należy mieć nadzieję, że jeszcze długo nie do pomyślenia. Dlaczego? Również dlatego, że mamy wielkie dzieła naszej literatury, które wynikają z tego głęboko zakorzenionego w narodzie przekonania, że więź z przodkami jest rzeczą oczywistą.

Należy się zatem spodziewać, że w naszej literaturze największe znaczenie mają dzieła będące rodzajem swoistego dialogu ze zmarłymi – i tak jest w istocie. Chrześcijańska wiara w zmartwychwstanie i nadzieja na zbawienie stanowią główną oś polskiego piśmiennictwa XIX wieku, a więc czasu, w którym polski naród nabierał politycznej samoświadomości, chociaż – paradoksalnie – pozbawiony był państwa. Wyznaczają tę oś trzy dzieła: *Dziady* część II i *Dziady* część III Adama Mickiewicza oraz *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego. Wszystkie te utwory należą od lat do niepodważalnego kanonu lektur, które musi znać każdy wykształcony Polak, ponieważ w genialny sposób przenoszą one indywidualne doświadczenie wiary i nadziei w odniesieniu do swoich bliskich zmarłych na poziom ogólnoludzkiej refleksji egzystencjalnej oraz refleksji historycznej i patriotycznej obejmującej postacie ważne dla naszej wspólnoty narodowej.

Ale przecież pierwszym wielkim dziełem literatury polskiej są *Treny* Jana Kochanowskiego, w którym dialog ze zmarłą córeczką

pojawia się bardzo często. Kochanowski, wcześniej wyznawca filozofii życia będącej swoistą fuzją starożytnego stoicyzmu i chrześcijaństwa, rozpacza po stracie dziecka, co staje się punktem wyjścia do przededefiniowania własnej recepty na szczęście, a przede wszystkim wiąże się z zakwestionowaniem tak wielbionej przez szesnastowiecznych humanistów filozofii stoickiego spokoju, umiaru i jednakowego dystansu zarówno do uśmiechów, jak i kaprysów Fortuny. Autor przeżywa dramat ojca, dramat filozofa i dramat człowieka wierzącego, któremu wydawało się, że ma życie „poukładane” według najlepszych recept, a nagle, jak sam pisze, został zrzucony ze szczytu schodów, na które aby wejść, poświęcił całe życie. Cykl 19 tekstów układający się w doskonale przemyślaną całość, kończy się utworem zatytułowanym *Tren XIX abo Sen*. To najdłuższy utwór w cyklu, w którym zrozpaczony ojciec relacjonuje, jak przyśniła mu się zmarła matka z Urszulką na ręku. Matka mówi, żeby już przestał płakać, bo Urszulka żyje, i żeby przyznał, że płacze raczej nad sobą niż nad nią. Obie na niego czekają, a on tymczasem powinien pogodzić się z tym cierpieniem, które go spotkało, bo jest ono doświadczeniem nieodłącznym od ludzkiej egzystencji. W ten sposób dialog ze zmarłymi – najpierw z córką, potem matką, staje się dla poety z jednej strony pocieszeniem, a z drugiej pouczeniem i warunkiem zrozumienia tego, co się wydarzyło, w perspektywie chrześcijańskiej wiary i nadziei.

Artystycznie przetworzony obrzęd wywoływania duchów w kaplicy cmentarnej w Dzień Zaduszny ma, co prawda rodowód pogański, lecz w wersji opisanej przez Mickiewicza jest już jednak głęboko zanurzony w chrześcijaństwie. Poza tym autor nie koncentruje się na samym obrzędzie, tylko eksponuje trzy elementy: po pierwsze - wiarę ludu w możliwość obcowania ze swoimi bliskimi zmarłymi; po drugie – możliwość udzielenia im pomocy, aby spowodować oczekiwane

przez nich, tak to nazwijmy, polepszenie warunków życia pozagrobowego; po trzecie wreszcie - podkreśla przesłanie moralne pozostawiane uczestnikom przez przybyłe z zaświatów duchy. Przesłanie moralne przybierające formę zgrabnej, wierszowanej maksymy, jest przyjmowane i powtarzane przez zgromadzonych z nabożną czcią; wszak przychodzą do nich duchy ludzi, którzy co prawda nie żyją, ale równocześnie żyją w sposób prawdziwszy od tego ziemskiego, ponieważ przebywają w blasku boskiej Prawdy – i wszystko już wiedzą.

Przypomnijmy: duchy dzieci, czyli Józio i Rózia, które zmarły zbyt wcześnie, nie zaznawszy za życia cierpienia, proszą o ziarno gorczycy, bo bez choćby szczypty bólu, czyli bez tego, co powinno być udziałem każdego człowieka, nie zostaną wpuszczone do nieba. Widmo złego pana błąka się po świecie, ponieważ za życia nie miał on miłosierdzia dla swoich poddanych: okrutnie ich karał, czym wielu doprowadził do śmierci w męczarniach. Zgromadzeni w kaplicy chcą go nakarmić, co byłoby znakiem przebaczenia, jednak Widmo otoczone jest ptactwem, w które zakłęci są zmarli poddani pana i ono wszystko wydziobie, udaremniając w ten sposób gest miłosierdzia żyjących. Winą pasterki Zosi, której duch zjawia się jako trzeci, jest to, że za życia nie odwzajemniła niczyjej miłości. Uczestnicy obrzędu otrzymują zatem od duchów ludzi zmarłych odpowiedź na pytanie jak żyć, aby zostać zbawionym, innymi słowy - kwintesencję tego, co to znaczy być w pełni człowiekiem. Według nauk moralnych przekazywanych przez duchy od samego Boga, na miano spełnionego człowieka zasługuje ten, kto zaznał cierpienia, nie krzywdził innych i kogoś w życiu kochał. II część Dziadów opisuje zatem więzi łączące żywych i umarłych, pokazuje też wiarę w możliwość obopólnych korzyści: zmarli otrzymują od żyjących konkretne wsparcie, a żyjący dostają bezcenne wskazówki etyczne, których spełnianie gwarantuje zbawienie.

Dziadów część IV, chronologicznie umieszczona pomiędzy II i III, to też rozmowa z umarłym; bohater Gustaw popełnił samobójstwo z powodu nieodwzajemnionej miłości i teraz jako upiór nawiedza swego dawnego przyjaciela i nauczyciela, aby mu opowiedzieć o swoim losie: swoim życiu i śmierci.

Wszystkie te trzy utwory wyrastają z trudnych doświadczeń osobistych lub, jak *Dziadów* część II, są próbą odkrycia albo potwierdzenia Bożych prawd znajdujących zastosowanie w ludzkim życiu. Dopiero jednak w III części *Dziadów* Mickiewicz przenosi owo doświadczenie indywidualne na poziom doświadczenia zbiorowości i odtąd już niemal wyłącznie ów los polskiej wspólnoty będzie przyczyną pełnego żarliwej wiary trwania nad mogiłą. Kontekstem powstania III części *Dziadów* była klęska Powstania Listopadowego i upadek nadziei na odzyskanie niepodległości w dającej się przewidzieć przyszłości. Jednym z kluczy do rozumienia tekstu, a także znakiem jego związku z poprzednimi częściami cyklu pod tym samym tytułem jest dedykacja, w której czytamy:

*Świętej pamięci
Janowi Sobolewskiemu
Cyprianowi Daszkiewiczowi
Feliksowi Kótalowskiemu
spółuczniom, spółwięźniom, spółwygnańcom
za miłość ku ojczyźnie prześladowanym
z tęsknoty ku ojczyźnie zmarłym
w Archangielu, na Moskwie, w Peterburgu –
narodowej sprawie męczennikom
poświęca Autor*

Zapowiada zatem Mickiewicz dialog ze zmarłymi, ważnymi już jednak nie w wymiarze prywatnym, lecz z męczennikami narodowej sprawy. Owi wymienieni z imienia i nazwiska bohaterowie to kole-dzy Mickiewicza ze studiów i z koła filomatów, z którymi siedział w więzieniu, a którzy wtedy już nie żyli w wyniku zesłania lub tortur. W realistycznych scenach utworu ludzie ci, obserwując rozgrywające się na ulicach Wilna sceny pełne okrucieństwa, nie bardzo rozumieją, co się dzieje, chociaż jeden z nich, Jan Sobolewski, ma pewne przecucie: oto był świadkiem wywiezienia kilkunastoletnich chłopców, uczniów, kibitkami na Syberię. Opowiada, że w trakcie, gdy chłopcy byli wrzucani do kibitek, ludzie wyszli z kościoła, w którym odbywała się Msza Święta, na plac, aby obserwować, co się dzieje. Sobolewski zobaczył w pustym kościele moment przeistoczenia i westchnął w modlitwie, aby Bóg przyjął to cierpienie niewinnych uczniów jako męczeńską ofiarę. W ten sposób Mickiewicz nakłada na siebie dwa porządki: świętą historię zbawienia, czyli Mszę Świętą, to znaczy uobecnienie krwawej ofiary Chrystusa sprawowanej w sposób bezkrwawy w pustym kościele, i historię doczesną, która, rozgrywając się na placu przed kościołem, nabiera cech powtórzenia owej ofiary krwawej. Dzięki temu zabiegowi łatwo autorowi uczynić jeszcze jeden krok, aby utożsamić Polskę z Chrystusem, a Jego mękę i zmartwychwstanie odnieść do faktów z historii Polski. W jednej z następnych scen, w Widzeniu Księdza Piotra, tworzy rozbudowany obraz, w którym Polska jest wydawana na śmierć, biczowana i umiera na krzyżu; pojawia się hasło „Polska Chrystusem narodów”. Ale wizja jest konsekwentna: skoro Chrystus umarł i zmartwychwstał, a historia Polski jest powtórzeniem Jego misji, to Polska również zmartwychwstanie. Mickiewicz mówi więc w III części *Dziadów* wprost: rozbiory Polski to Wielki Piątek; czas, w którym żyjemy, a więc czas rozbiorów, to

Wielka Sobota. Czuwamy teraz nad grobem ojczyzny, ale wierzymy, że przyjdzie niedziela Zmartwychwstania. Wiemy o tym od Boga, który komunikuje nam to przez naszych zmarłych. Ich ofiara jest gwarancją tego, że odrodzenie Polski musi przyjść.

Ten mesjanistyczny wymiar *Dziadów* bywał podkreślany w słynnych inscenizacjach teatralnych: spektaklu w reżyserii Leona Schillera w 1932 roku rozgrywał się w cieniu Golgoty, która była najbardziej eksponowanym elementem scenografii; w słynnej inscenizacji Konrada Swinarskiego w Starym Teatrze w Krakowie w roku 1973 aktorzy występowali na podeście w kształcie krzyża, rozpiętym na widowni. Widzimy więc, że nadzieja szczepiona w serca polskich czytelników utworu przez ponad 80 lat, do czasu odzyskania niepodległości, miała fundament zbudowany na wierze chrześcijańskiej.

W roku 1888 ukazała się powieść Elizy Orzeszkowej *Nad Niemnem*. Przedstawia ona trudne losy polskiej szlachty z terenów Grodzieńszczyzny 25 lat po wybuchu Powstania Styczniowego. Wielu pogodziło się z niewolą, wielu synów szlacheckich robi karierę w Petersburgu, część młodzieży się powoli wynaradawia, bo nie wie albo nie rozumie, o co walczyli ojcowie. Punktem zwrotnym w losach powieściowych bohaterów jest sprawa sprzedaży lasu przez Benedykta Korczyńskiego, który przeżywa trudności finansowe. Wszyscy, łącznie z żoną naciskają na niego, żeby pozbył się tej części majątku i w ten sposób podreperował rodzinny budżet. Benedykt jednak instynktownie sprzeciwia się temu pomysłowi, ponieważ wie, że w lesie jest Mogiła powstańcza, w której pochowanych jest czterdziestu jego towarzyszy broni sprzed 25 lat, w tym jego brat. Zachowanie Benedykta jest z punktu widzenia pozytywistycznego kultu użyteczności, opłacalności i zysku zupełnie nieracjonalne, jednak upiera się przy swoim i lasu nie sprzedaje. Orzeszkowa opisuje tę Mogiłę

przez pryzmat uczuć Jana, syna jednego z leżących w niej powstańców. W opisie stosuje metaforykę sakralną: drzewa przypominają gotyckie kolumny, słońce prześwituje spomiędzy liści jak w witrażach, a opary mgły są podobne do dymu z kadzidła. Czym jest zatem Mogiła? Oczywiście symbolicznym ołtarzem, na którym Chrystus sprawuje swą wieczną ofiarę, a powstańcy styczniowi to męczennicy, którzy oddali życie, włączając się w Jego zbawczą misję. Człowiek stojący w tym miejscu, nad Mogiłą tych, którzy polegli za wolność ojczyzny, czuje się jak ktoś wyjątkowy, ktoś lepszy; jego życie codzienne znajduje punkt odniesienia w sprawach wiecznych. Żywi jak gdyby nasłuchują umarłych i uczą się od nich odróżniania tego, co ważne od tego, co marne; tego, co wartościowe od tego, co opłacalne. Grób jest znakiem wiary w realizację Bożego planu, którego częścią staje się sprawa polskiej niepodległości.

Również tematykę Powstania Styczniowego podejmuje Orzeszkowa w późniejszym utworze, w noweli *Gloria victis (Chwała zwyciężonym)*. Utwór ukazał się w roku 1910; od Powstania minęło 47 lat. Autorka odświeża tę historię, o której ludzie już prawie zapomnieli, ale nie zapomnialy jej upersonifikowane drzewa i wiatr, które powtarzają minione dzieje, aby przekazać kiedyś tym, którzy powinni wiedzieć. Autorka przywołuje postać Romualda Traugutta, porównując go do Mojżesza, Leonidasa i Chrystusa, który wziął na ramiona krzyż swego narodu. Historia walki Polaków o niepodległość jest w tej perspektywie ciągiem dalszym historii zbawienia, obejmującej (dzięki postaci Leonidasa) także najjaśniejsze punkty dziejów antycznej Grecji.

Ten utwór Orzeszkowej można uznać za polemikę z wcześniejszym opowiadaniem Stefana Żeromskiego *Rozdziobią nas kruki, wrony...*, również podejmującym tematykę drugiego powstania.

Żeromski wykreował jednak świat, w którym nie ma miejsca na nadzieję. Jeden z ostatnich powstańców zostaje okrutnie zamordowany przez Moskali, a jego zwłoki, razem ze zwłokami konia, grzebie w dole na kartofle miejscowy chłop. Żeromski kończy swój utwór słowami *Zza świata szła noc, rozpacz i śmierć...* Nie ma krzyża, nie ma mogiły, nie ma nadziei. Ale właśnie poprzez wyeksponowanie tej, wydawać by się mogło, całkowitej, beznadziejnej właśnie klęski, utwór Żeromskiego, tak mocno zaprawiony goryczą, staje się wielką tęsknotą, wielkim wołaniem o nadzieję, czyli poczucie sensu tych poświęceń, które były udziałem styczniowych bohaterów.

Kolejnym wielkim tekstem, który pokazuje brak nadziei, ale przez to tym bardziej się o nią dopomina, jest *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego. Utwór jest przesiąknięty goryczą może jeszcze większą niż wspomniane przed chwilą opowiadanie Żeromskiego, ale na wesele w podkrakowskich Bronowicach przychodzą duchy zmarłych przodków, które częściowo „schodzą” z obrazów wiszących na ścianach, a częściowo wyłaniają się z dusz samych weselników, zgodnie z zaklęciem, przy pomocy którego wywołuje je Chochoł: Co się w duszy komu gra, co kto w swoich widzi snach. Umarli przychodzą zarówno do chłopów, jak i panów, aby ich skrytykować, wskazać błędy w postępowaniu odnoszącym się do sfery publicznej, ale też zachęcić do zrobienia czegoś dobrego, wartościowego dla wspólnoty. Utwór Wyspiańskiego ma charakter rozrachunkowy ze współczesnymi sobie politykami i artystami; autor pokazuje uniwersalne cechy nas, Polaków jako kontynuację postaw przodków: są to zarówno postawy pozytywne, reprezentowane przez ludzi szlachetnych i mądrych, pojawiających się jako duchy Zawiszy Czarnego i Stańczyka, jak i postawy, przez które nasze państwo upadło i nie może się podźwignąć, reprezentowane przez zdrajców i zbrodniarzy, którzy przychodzą w postaci

Hetmana Branickiego, zdrajcy – targowiczana, oraz Jakuba Szeli, przywódcy tzw. rzezi galicyjskiej, czyli sprowokowanego przez władze austriackie powstania chłopów przeciwko polskiej szlachcie w roku 1846. Wyspiański pokazuje, że w każdym z weselników, to znaczy w każdym z nas, „mieszka” w sposób nie do końca uświadomiony, jakiś przodek, że każdy ma jakiś pierwowzór swoich wyborów moralnych czy postaw wobec wspólnoty. Wyspiański wykorzystuje północną godzinę, na pewno też weselne zamroczenie, aby ujawnić reprezentantom narodu ich skryte nadzieje, do których nie chcą się przyznać, ale też rzuca prosto w twarz ciężkie oskarżenia, które nie do końca są oskarżeniami z zewnątrz, zgodnie z tym założeniem, że duchy materializują się jako te, które zamieszkują dusze i sny żyjących postaci. *Wesele* zatem to ten sam, co w *Dziadach* rodzaj polsko – polskiego dialogu, w którym żywi rozmawiają z umarłymi, jednak inna jest przyczyna ich pojawienia się. W tekstach Mickiewicza trzeba było duchy zmarłych przywołać, aby coś powiedziały żyjącym, a u Wyspiańskiego przychodzą same, wbrew woli i chęci weselników, którzy nie bardzo chcą ich słuchać. W *Weselu* zmarli sami uważają, że mają wobec swoich potomków jakieś obowiązki i napominają ich w sposób dosyć bezceremonialny. Na końcu przychodzi jeszcze jedna postać: to Wernyhora, legendarny wędrowny lirnik ukraiński, który u szczytu potęgi Rzeczypospolitej, w XVII wieku, przepowiedział jej upadek, a potem odrodzenie. Ponieważ pierwsza część przepowiedni spełniła się ponad sto lat temu, Wyspiański prezentuje hipotetyczną reakcję swoich współczesnych na wizytę Wernyhory, który przychodzi i mówi: „Teraz. Teraz wasza kolej; to jest ten moment, kiedy macie działać, a wszystko dobrze się skończy”. Jako znak tej nadziei zostawia Gospodarzowi złoty róg. Jak wiemy, róg został zgubiony, a weselnicy właściwie zapomnieli o nocnych rozmowach.

Gdzie tutaj miejsce na nadzieję? Ona jednak jest; może choćby w tym, że po chocholim tańcu, symbolu klęski i braku nadziei na niepodległość, pozostaje świadomość, że ktoś nad polską wspólnotą czuwa i kiedyś znowu zainterweniuje, może z lepszym skutkiem. W każdym razie z tekstu Wyspiańskiego wynika przekonanie, że jest rzeczywistość, w której przebywają nasi przodkowie, i że bardzo im na nas zależy. Ale oni sami nic nie mogą zrobić, tylko my musimy się zabrać do dzieła, a wtedy oni już pomogą.

Na marginesie warto wspomnieć, że świetny zabieg zastosował Andrzej Wajda w ekranizacji *Wesela*, ubierając Wernyhorę w kozuch, spod którego wyziera szary mundur, a lirnik, który przyjechał z daleka, do złudzenia przypomina Józefa Piłsudskiego. 14 lat po premierze *Wesela* w krakowskim Teatrze Miejskim, z tegoż Krakowa wyruszyła Pierwsza Kadrowa.

W naszych czasach miejsce literatury czy teatru zajmuje kino. Będąc narzędziem w rękach wybitnych twórców, mówi o najistotniejszych sprawach naszego narodu w podobny sposób, co literatura; owo trwanie nad grobami i dialog z umarłymi wyrastający z chrześcijańskiej nadziei, jest obecny w naszym filmie, to znaczy w naszej kulturze współczesnej.

W Filmie Wajdy *Katyń* z roku 2007 żywioł ten ujawnia się w całej pełni po związaniu pewnych scen w logiczną sekwencję. Przypomnijmy: podczas zamieszania 17 września 1939 roku kamera pokazuje księdza klęczącego nad jakimś leżącym na ziemi ciałem przykrytym żołnierskim płaszczem; okazuje się jednak, że wśród konających i martwych polskich żołnierzy, pod oficerskim płaszczem leży figura Chrystusa Ukrzyżowanego, być może wyrzucona z pobliskiego kościoła.

Druga scena rozgrywa się w drewnianym wagonie, w którym przebywają polscy oficerowie oczekujący na egzekucję. Jeden z nich,

inżynier lotnik, wydrapuje końcem metalowego krzyżyka swoje dane na ścianie wagonu. Czyli – krzyż staje się narzędziem utrwalenia imienia, a więc, w jakimś sensie, życia człowieka, który zaraz zginie. Ważne są pośmiertne losy tego oficera: ma on w Krakowie siostrę, która w latach powojennych, w czasach stalinowskich, pragnie upamiętnić swego rozstrzelanego w Katyniu brata symbolicznym grobem. Udaje jej się to za cenę utraty swoich pięknych włosów, które sprzedaje do teatru, ale funduje za nie nagrobek z imieniem, nazwiskiem i miejscem śmierci.

Ostatnią sceną w tej sekwencji jest obraz strzaskanej płyty na tym symbolicznym grobie inżyniera lotnika. Przyczyną zbezczeszczenia grobu na krakowskim cmentarzu była chęć usunięcia z niego słowa Katyń – miejsca śmierci bohatera.

Te trzy sceny, interpretowane łącznie, wnoszą do filmu wymiar eschatologiczny. Figura martwego Chrystusa leżąca na ziemi, nad którą wierni klęczą, to przecież Grób Pański, a więc 17 września 1939 roku i to wszystko, co jest treścią filmu, to nowy Wielki Piątek. Szatą Chrystusa jest płaszcz polskiego żołnierza, który później zostanie zamordowany w Katyniu. A wschodzące słońce oświetlające strzaskaną płytę na symbolicznym, a więc pustym grobie? To przecież czytelny obraz chrześcijańskiej ikonografii mówiący o Zmartwychwstaniu. W ten sposób Wajda, za Mickiewiczem, sugeruje analogie między cierpiącym Chrystusem i niewinną, szlachetną ofiarą polskich oficerów. I film, podobnie jak Mickiewiczowskie *Dziady*, poszukując sensu w cierpieniu, jednocześnie wyraża przekonanie o tym, że ofiara jest konieczna oraz o tym, że z niewinnej ofiary musi wyniknąć jakieś dobro, że ona nie może pójść na marne. A jakie to będzie dobro? To już jest tajemnica. Wiemy tylko tyle (może aż tyle), że grób zamordowanego oficera jest pusty. W każdym razie ta na wskroś

poliska, zgodna z tradycją największych dzieł naszej literatury romantycznej historiozofia, wpisuje się w chrześcijańską interpretację dziejów, z której wynika, że koniecznym warunkiem trwania naszego narodu lub warunkiem cyklicznego odradzania się jego wolności jest jakaś straszliwa ofiara, która co jakiś czas musi być składana z najlepszych, najbardziej świadomych i najbardziej odważnych jego przedstawicieli.

I jeszcze jeden bardzo znamieny szczegół. W filmie pojawia się zaledwie kilka dat dziennych; jedną z nich wydrapuje inżynier lotnik na ścianie wagonu, po przybyciu na miejsce egzekucji, i głośno ją wypowiada. Tę samą datę widzimy dwukrotnie: w czołówce filmu (przypomnę, nakręconego w roku 2007), na charakterystycznym zniszczonym notesie – kieszonkowym kalendarzu, wydobytym z mogiły katyńskiej, i pod koniec filmu, kiedy ten kalendarz otrzymuje Anna, żona zamordowanego Andrzeja. Jest to pierwszy dzień kalendarza, na którym nie ma już zapisków, to znaczy dzień śmierci właściciela.

Data jest zaznaczona na czerwono, mimo, że był to poniedziałek. Tą datą jest 10 kwietnia.

W 1940 roku był wtedy Poniedziałek Wielkanocny.

Z podobnym myśleniem spotykamy się w filmie Antoniego Krauzego *Smoleńsk*. W ostatniej scenie ci, którzy zginęli w katastrofie, witają się z oficerami zamordowanymi w Katyniu. Lecieli do nich żywi, aby pokłonić się ich ciałom leżącym w grobach, tymczasem spotkali się z nimi jako umarli z umarłymi, ale jedni i drudzy mają życie prawdziwsze niż na ziemi. Wydawać by się mogło, że żywych od umarłych oddziela jakaś nieprzenikniona przegroda, jakaś trudna do przebycia granica, tymczasem Krauze pokazuje, że to tylko jeden krok... Nasza literatura i nasz film zbliżają nas, widzów i czytelników do tej

granicy, oswajają nas z nią i sugerują nie tylko łatwą przenikalność obu światów, lecz także ich współistnienie. Pokazują, że nie da się oddzielić wspólnoty żywych od umarłych; że jedni i drudzy stanowią jedną całość. Nasza kultura wskazuje, że ta wspólnota z jednej strony wyrasta z chrześcijańskiej wiary i nadziei, ale też – że ową wiarę i nadzieję podtrzymuje.

Wróćmy jeszcze do literatury: kilka miesięcy temu ukazał się tomik wierszy Wojciecha Wencła, poety i publicysty¹⁸. Tomik zatytułowany jest *Epigonia*, a tematem większości wierszy wchodzących w jego skład jest epigonańska postawa twórcy. W dzisiejszej kulturze ceniącej nade wszystko oryginalność, termin epigon (odtwórca, bierny naśladowca) ma znaczenie raczej negatywne, ale Wencel przywraca mu pierwotny, etymologiczny wydźwięk, zgodnie z którym epigon to pogrobowiec, sierota, człowiek pozbawiony ojca, skazany na życie w jego cieniu, ale także kontynuator misji ojca, który poniósł klęskę. Zadaniem epigona jest jednak zwyciężyć, to znaczy nie uznawać racji przeciwników, lecz twardo opowiedzieć się po stronie ojca i jego dzieła. Ale pierwszym zadaniem takiego twórcy jest staniecie nad grobem – i tam właśnie, po stronie przegranych, widzi poeta swoje miejsce. W jednym z wierszy pisze wręcz, że czuwanie nad umarłymi jest warunkiem życia. Z takiej postawy, niewątpliwie inspirowanej wiarą, płynie nadzieja, że tytułowa *Epigonia*, to znaczy miejsce pozbawione wielkich wzorów i wielkich dzieł, miejsce, gdzie wielka sztuka przegrała ze skrzekiem karłów, odrodzi się dzięki niezłomnej postawie synów – epigonów.

Kiedy Polska miała wstąpić do Unii Europejskiej, profesor Maria Janion, wybitna literaturoznawczyni, powiedziała: „Do Europy – tak,

¹⁸ Korzystałem z tekstu Macieja Urbanowskiego „Czytając *Epigonię* Wojciecha Wencła”; „Arcana” nr 130 (4/2016), s. 53 - 58

ale razem z naszymi umarłymi”. Miała rację; dla nas, Polaków nasi umarli są kimś bardzo ważnym. Widać to na cmentarzach, ale też po liczbie ofiar na wypominki. Jest to widoczne również w świeckiej obyczajowości, która każe łączyć ważne rocznice z apelem poległych, który jest przecież wersją *Dziadów*, bo jest przywoływaniem imion i nazwisk ludzi zmarłych. Podobnie, jak wersją *Dziadów* są obchodzone kolejne tzw. miesięcznice smoleńskie na Krakowskim Przedmieściu, czyli w miejscu, gdzie stał krzyż, a teraz ma stanąć pomnik, a więc symboliczny grób ofiar katastrofy. Owo celebrowanie *Dziadów* nie jest bynajmniej wyłączną właściwością jednej strony politycznego sporu w Polsce: kilka tygodni temu „Gazeta Wyborcza” zamieściła „wywiad” ze zmarłym kilkanaście lat temu ks. Józefem Tischnerem, a potem ze zmarłą kilka lat temu Wisławą Szymborską, wymyślając hipotetyczne odpowiedzi „rozmówców” na zadane pytania. Media prawicowe odniosły się do tego z kpiną, bo „wywiady” oczywiście były jednoznacznie zgodne z linią polityczną „GW”, ale te wypowiedzi to tylko treść całego zjawiska. Dla nas istotna jest forma, bo przecież jest ona literackim dialogiem z umarłymi, a więc ciągiem dalszym *Dziadów*.

Warto pamiętać o tym w dobie ostrych podziałów społecznych: Polacy z obu stron sporu politycznego bardzo podobnie się zachowują, stojąc nad grobami swoich duchowych przodków: chcą słuchać, co zmarli do nich mówią, a potem pragną te wypowiedzi upowszechnić, co świadczy o tym, że zmarli są dla nich autorytetami. I to jest pokrzepiające.

Abp Stanisław Gądecki

Co znaczy Jubileusz Chrztu Polski?

Przewielebni księża biskupi,
drodzy kapłani,
osoby życia konsekrowanego,
wszyscy wierni świeccy spełniający jakąś szczególną posługę
w dziedzinie szkół katolickich w Polsce!

Dzisiaj, gdy powoli dobiega końca Rok Miłosierdzia oraz rok Jubileuszu 1050-lecia Chrztu Polski, a my przybliżamy się do chwili Aktu przyjęcia Chrystusa jako Pana i Zbawiciela w Łagiewnikach, chciałbym poprowadzić rozważanie o tym, jakie znaczenie ma dla nas jubileusz chrztu Mieszka I, zwany także jubileuszem Chrztu Polski. Chcę pokrótce powiedzieć kilka słów o czterech sprawach, mianowicie: o chrzcie księcia Wiślan, o chrzcie Mieszka I, o owocach chrztu świętego w Polsce i o dalszej naszej przyszłości.

1. Chrzest Księcia Wiślan

Chrześcijaństwo dotarło na nasze tereny znacznie wcześniej, aniżeli to zazwyczaj nam się wydaje. Już na długo przed chrztem

Mieszka I chrzest przyjął księżę plemienia Wiślan. Dokonało się to pod wpływem władcy Wielkich Moraw, Świętopełka, oraz arcybiskupa Metodego i miało miejsce prawdopodobnie po roku 874, a przed śmiercią wspomnianego św. Metodego w roku 885. Nie znamy owoców tej pierwszej chrystianizacji, gdyż po śmierci Metodego z Państwa Wielkomorawskiego wypędzono jego uczniów, a następnie, w pierwszej dekadzie X wieku, Węgrzy rozbili monarchię Mojmirowiców i Wielkie Morawy przestały istnieć.

Nieco później, w latach czterdziestych X wieku, ziemie wiślańskie wraz ze Śląskiem zostały przejęte przez czeskiego księcia Bolesława I Srogiego ponownie weszły w obręb intensywnego oddziaływania chrześcijaństwa czeskiego i biskupstwa ratyzbońskiego. Świadczy o tym choćby tytuł katedry wawelskiej, która jest poświęcona św. Wacławowi, patronowi czeskich Przemyslidów, jak również pozostałości po kilku budowlach sakralnych na Wawelu z końca X i początku XI w., z których część została wzniesiona niewątpliwie jeszcze za panowania Przemyslidów.

Tak w skrócie wygląda kwestia wcześniejszego aniżeli chrzest Mieszka I chrztu księcia Wiślan, który – jak przynajmniej z żywota św. Metodego wynika – został dokonany w pewnym sensie pod przymusem: „jeśli nie na swojej ziemi, zostaniesz ochrzczony na obcej ziemi”.

2. Chrzest Mieszka I

Do drugiej fali chrystianizacji Polaków przyczyniła się w decydujący sposób czeska księżniczka Dąbrówka z rodu Przemyslidów. Ta córka księcia Bolesława I Srogiego a siostra Mlady była główną sprawczynią nawrócenia Mieszka I na wiarę chrześcijańską. Jak mówi tradycja czeska, obie te kobiety kształciły się w klasztorze w Ratyzbonie.

Były zatem osobami światłymi i jako wychowanki ośrodka ratyzbońskiego, który miał kontrolę nad całą wschodnią i południową częścią terenów słowiańskich, wiedziały czym jest chrześcijaństwo i w jaki sposób może ono pomóc tworzącemu się narodowi.

W tym momencie rodzi się pytanie, które bardzo często pojawia się w dyskusjach historyków, czy Dąbrówka przyczyniła się tylko do chrztu Mieszka I, czy też do chrztu Polaków? Niektórzy twierdzą, że o ile możemy mówić o chrzcie Mieszka I, o tyle nie powinniśmy mówić o chrzcie Polski, jako że Polska w tamtym momencie nie została jeszcze ochrzczona. Można by rzeczywiście nad tym się zastanawiać, gdyby nie fakt, na który podczas Millenium zwrócił uwagę książdz kardynał Wyszyński, że w jakimś sensie chrzest Mieszka I był załącznikiem chrztu Polski. Należy nadto uwzględnić fakt, że dominium Mieszka I było autorytarne – nie znano wówczas demokracji w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. To wola księcia była decydująca i ostateczna, dlatego kto się sprzeciwiał jego zarządzeniom, kończył śmiercią. Stąd też w pewnym sensie chrzest władcy był wolą, która została wyrażona na samym początku naszej państwowości.

Rocznik kapituły krakowskiej pod rokiem 966 zanotował krótki zapis: *Mesco dux Polonie baptizatur*, co znaczy: „Mieszko książę Polski został ochrzczony”. W tak lakoniczny sposób opisano najbardziej przełomowy moment dla polskiej historii. A chociaż o okolicznościach przyjęcia chrztu przez księcia Polan i jego poddanych wiemy niewiele, to nie ulega wątpliwości, że było to najbardziej doniosłe i brzemiennie w skutki wydarzenie w dziejach Polski. Można by nawet powiedzieć, że bez chrztu nie byłoby państwa polskiego, nie byłoby Polaków i ich historii ani kultury. Dowodem na takie twierdzenie jest los Wioletów, którzy opierali się chrześcijaństwu i jako naród przestali istnieć.

Jest prawdą, że Polska jako naród wywodzi się z własnej dziejowej prehistorii. Zaczyna ona jednak istnieć historycznie w momencie chrztu Mieszka. Narodziny państwa polskiego i chrzest są bowiem – jak mówi profesor Jasiński w „Historii chrześcijaństwa w Polsce” – ściśle ze sobą powiązane.

Skąd przyszło chrześcijaństwo do Polski? – pytał w swoim czasie Aleksander Brückner. Jego odpowiedź brzmiała – od czeskiej Dobrawy. Na silny udział czeskiego duchowieństwa w kształtowaniu polskiego języka kościelnego wskazuje fakt, że trzy czwarte polskiego słownictwa kościelnego pochodzi z języka czeskiego. Przykładem tego mogą być słowa takie jak: papież, arcybiskup, biskup, kapłan, opat, mnich, proboszcz, chrzest, bierzmowanie, msza święta, krzyż, ołtarz, kielich, opłatek i klasztor, kościół, kruchta, żegnanie się, Bogurodzica, nieszpory, jałmużna i pielgrzym. Cała staropolska terminologia chrześcijańska została przeważnie zapożyczona z czeskiego, bez względu na różnice pierwotnego pochodzenia odnośnych terminów. Dodatkowym argumentem za czesko-ratybońską drogą jest najstarszy polski rocznik, w którym zapiski o biskupach mogunckich kończą się na roku 969. Uzasadnione wydaje się mniemanie, że rocznik ten został przywieziony do Polski przez biskupa Jordana, a potem – w 1038 roku – zabrany z powrotem do Pragi, gdzie sięgał do niego kronikarz Kosmas.

Dzięki swoim kontaktom z monarchią czeską Mieszko wiedział o roli Kościoła i chrześcijaństwa jako religijnego spoiwa społeczeństwa, łamiącego separatyzmy plemienne. Dostrzegł on również potrzebę wprowadzenia swego władztwa w obręb ówczesnego świata chrześcijańskiego, którego cywilizacja była atrakcyjna i wzmocniła ideowo pozycję panującego, sakralizując władzę monarszą. Z tego świata czerpał też wzorce dla organizacji rozrastającego się państwa.

3. Owoce Chrztu Mieszka I

Przed przyjęciem chrześcijaństwa nasi przodkowie żyli w kulturze pogańskiej, której w pełni nie znamy, ale której ślady budzą jednakowoż nasz podziw. Wały grodów, organizacja państwa Polan, osiągnięcia militarne i polityczne świadczą o dynamizmie ówczesnej kultury, której chrzest nie zniweczył, ale przeciwnie – uwydatnił. By użyć słów Cypriana Kamila Norwida, Krzyż „stał się nam bramą” do nowej, chrześcijańskiej cywilizacji. Polanie zaczęli przyjmować wartości wcześniej sobie nieznane, a nawet odrzucane. W ten sposób ich własny język, idee polityczne i religijne czy kultura materialna zyskały wyższy wymiar, zakorzeniając się w kulturach starszych i doskonalszych, które już wcześniej otrzymały chrześcijańskie oblicze.

Trzeba powiedzieć, że przyjęcie chrześcijaństwa nie oznaczało jedynie wejścia w – przybyłą w tamtym czasie z Rzymu do Polski – kulturę o dziewięć wieków wcześniejszą. Oznaczało wejście w prastarą kulturę grecką i rzymską, która od siedemnastu wieków, to jest przynajmniej od VII w. przed Chrystusem, promieniowała cywilizacyjnie, i która w jakimś sensie została zaabsorbowana przez chrześcijaństwo i przeniesiona w wiek X.

Przyjęcie chrztu od pierwszych chwil zaowocowało rozwojem kultury polskiej we wszystkich dziedzinach. Powstały pierwsze budowle murowane, poczynając od palatium Mieszka I oraz katedr w Poznaniu i Gnieźnie. Z wiary chrześcijańskiej czerpali najwybitniejsi twórcy malarstwa i rzeźby, w tym twórcy Drzwi Gnieźnieńskich. Na ziemi Polski przybywali wybitni ówcześni intelektualiści, m.in. włoski mnich Benedykt czy Brunon z Kwerfurtu, Niemiec, spod którego pióra wyszedł m. in. „Żywot św. Wojciecha”, arcydzieło ówczesnej literatury hagiograficznej. Z czasem narodziło się polskie

dziejopisarstwo, najpierw pisane przez obcych przybyszy, w tym Anonima zwanego Gallem, a później także przez historiografów Polaków – Mistrza Wincentego, Wincentego z Kielczy czy jednego z największych historyków wszechczasów, Jana Długosza. Wszyscy ci twórcy, inspirowali się wiarą i chrześcijańskimi naukami Kościoła. Ludzie Kościoła organizowali powstanie pierwszych polskich uniwersytetów w Krakowie i w Wilnie. To właśnie spośród nich wywodził się jeden z najwybitniejszych uczonych wszechczasów, Mikołaj Kopernik. Polski przekład Biblii autorstwa jezuita Jakuba Wujka z końca XVI wieku przyczynił się do powstania języka literackiego i do ostatecznego ukształtowania dzisiejszego języka polskiego, a tematyka religijna, poczynawszy od „Psałterza Dawidów” Jana Kochanowskiego, na przekładach biblijnych Czesława Miłosza skończywszy, była nieprzerwanie obecna w polskiej literaturze i sztuce.

Dzięki stale rozwijającej się organizacji kościelnej w Polsce chrześcijaństwo docierało do coraz większych rzesz polskiego społeczeństwa i wnikało coraz głębiej w jego życie, obyczaje, normy postępowania oraz kulturę. Posługa duchowieństwa diecezjalnego i zakonnego nie tylko koncentrowała się na sprawach duszpasterstwa wiernych i ich moralnego kształtowania według zasad chrześcijańskich, ale także na edukacji i rozmaitych formach pomocy ubogim. Kościół rozbudował system szkolnictwa, tworząc szkoły katedralne, kolegiackie, parafialne, klasztorne, a także uniwersytety. Umożliwił też recepcję dorobku intelektualnego chrześcijańskiej Europy, wraz z całym dziedzictwem grecko-rzymskim.

W ten sposób Kościół miał niebagatelny wpływ na kształtowanie się tożsamości narodowej Polaków. Wiąże się to także z wejściem Polaków w świat pisma, które stanowi o pamięci wspólnoty społecznej powstałej w obrębie monarchii Piastów. Powstają pierwsze zapisy

w języku łacińskim o losach dynastii, monarchii, Kościoła, społeczeństwa. Łacina – stanowiąca znakomite narzędzie komunikacji w ówczesnym świecie, a zarazem będąca twórczym wysokiej kultury – przyczyniła się do narodzin twórczości w języku polskim. Zaprawieni w łacinie duchowni poszukiwali na gruncie polskiej mowy możliwości utrwalania w piśmie skomplikowanych fraz i myśli. Już od początku XII wieku rodzą się utwory w języku polskim, które ukazują duchowe i intelektualne treści rodzącej się polskiej kultury. Tak więc zaszczerpiona w Polsce przez pierwszych Piastów wiara chrześcijańska przyczyniła się do ukształtowania się wspólnoty narodowej na fundamencie Ewangelii.

4. Perspektywy na przyszłość

Myśląc o naszych chrześcijańskich początkach, stawiamy sobie pytanie o przyszłość. W czasach nam współczesnych pojawiło się bowiem w naszej ojczyźnie – pod naciskiem sekularyzmu – zjawisko utraty pamięci i świadomości dziedzictwa chrześcijańskiego. Zjawisku temu towarzyszy praktyczny agnostycyzm i obojętność religijna, wywołująca wrażenie, że wielu ludzi żyje bez duchowego zaplecza – niczym spadkobiercy, którzy roztrwonili dziedzictwo pozostawione im przez historię.

Wielu ludzi nie potrafi już łączyć ewangelicznego przesłania z codziennym doświadczeniem. W kontekście społecznym i kulturowym, w którym chrześcijańska koncepcja życia jest stale wystawiana na próbę i zagrożona, wzrasta trudność przeżywania osobistej wiary w Jezusa. W wielu sferach publicznych łatwiej jest deklarować agnostycyzm niż wiarę. Odnosi się wrażenie – o czym wspominał papież Benedykt XVI – że niewiara jest czymś naturalnym, podczas

gdy wiara wymaga uwierzytelnienia społecznego, które nie jest ani oczywiste, ani przewidywalne.

Z tą utratą chrześcijańskiej pamięci wiąże się lęk przed przyszłością; przyszłości bardziej się boimy, aniżeli jej pragniemy. Niepokojącą oznaką takiego stanu rzeczy jest między innymi wewnętrzna pustka dręcząca wielu ludzi, jak również poczucie utraty sensu życia. Wśród skutków tej egzystencjalnej udręki możemy wskazać dramatyczny spadek liczby urodzin, zmniejszenie liczby powołań do kapłaństwa i życia konsekrowanego oraz trudności w podejmowaniu definitywnych wyborów życiowych, co w niektórych sytuacjach oznacza zupełną rezygnację z małżeństwa.

Jedną z przyczyn gaśnięcia nadziei jest dążenie ideologii lewicowej do narzucenia antropologii bez Boga. W efekcie powstaje mentalność, w której człowiek stara się zająć miejsce samego Boga, zapominając o tym, kto na świecie jest Stwórcą, a kto jest tylko stworzeniem. Zapomnienie o Bogu doprowadziło do otworzenia się rozległej przestrzeni dla swobodnego rozwoju nihilizmu – na polu filozofii, relatywizmu – na polu teorii poznania i moralności, oraz pragmatyzmu, a nawet cynicznego hedonizmu – w strukturze życia codziennego.

W Polsce proces ten przebiega nieco inaczej, niż gdzie indziej. Wbrew prognozom wciąż jesteśmy narodem chrześcijańskim, w którym żyje silny wiarą Kościół katolicki. Choć próbowano zbudować alternatywną polską kulturę świecką, czy nawet antyreligijną, to niepowodzenia tych przedsięwzięć dowodnie świadczą o tym, że jak dotąd wiara i polskość wydają się związane ze sobą na śmierć i życie.

Oczywiście prawdą jest, że ani nasza kultura nie jest wyłącznie katolicka czy chrześcijańska, ani też, że nie każdy Polak musi być katolikiem. Znamy przecież wybitnych postaci Polaków wyznających judaizm, prawosławie albo protestantyzm, a nawet niewierzących.

Jednakże wiara katolicka wciąż stanowi o naturze polskiej kultury. I nawet zdeklarowani ateści, chcąc w pełni uczestniczyć w polskiej wspólnocie kulturowej, uznają kulturę katolicką i chrześcijańską za wspólne dobro narodowe (prof. J. Kowalski).

Zakończenie

Jubileusz 1050-lecia Chrztu Polski przypomina nam raz jeszcze, że potrzebujemy powrotu do źródeł. Potrzebujemy powrotu do źródeł chrzcielnej wiary – także po to, by nie sprowadzać przeżywania tego jubileuszu wyłącznie do pytań o charakterze społecznym, kulturowym czy narodowym. Są to z pewnością kwestie ważne, ale to nie takie pytania usłyszał Mieszko stojąc nad chrzcielnicą. Zapytano go wówczas, czy wyrzeka się szatana i jego próżnej chwały. Następnie – czy wierzy w Boga Ojca Wszechmogącego, w Jego Jedynego Syna, Jezusa Chrystusa, wcielonego i ukrzyżowanego. Dalej – czy wierzy w Ducha Świętego, w święty Kościół katolicki, społeczność świętych i zmartwychwstanie ciała. Na wszystkie te pytania Mieszko odpowiedział: Wierzę!

Apb Wacław Depo

Być odpowiedzialnym także za innych

Stając na progu Eucharystii we wspólnocie Forum Szkół Katolickich, jak również we wspólnocie Katolickiego Tygodnika Niedziela i Krucjaty Wyzwolenia Człowieka, przyjmijmy już teraz z wiarą słowa Chrystusa z dzisiejszej Ewangelii. „Bóg zna wasze serca”, to znaczy bardzo konkretnie serce każdej i każdego z nas, naszą naturę, charakter, łaskę powołania i misję. A zatem, jeśli chcemy, by nasze talenty i umiejętności, jak również dobra, które posiadamy, przynosiły owoce na wieczność, jedyną drogą do tego jest dzielić się nimi z braćmi i siostrami, dziećmi i młodzieżą, powierzonymi naszej drodze życia. Powtarzajmy więc często – dla siebie i dla innych – słowa Świętego Pawła z Listu do Filipian: „Wszystko mogę w tym, który mnie umacnia”.

* * *

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Ekscelencjo, Księżę Biskupie Marku, Bracia w kapłańskim posługiwaniu, Osoby Życia Konsekwowanego, Drodzy Nauczyciele, Wychowawcy i Dyrektorzy Szkół Katolickich z całej Polski! Bracia i Siostry Pielgrzymi do „Domu Matki” Chrystusa i Kościoła.

Gromadzimy się we wspólnocie ludzi wierzących w Chrystusa Odkupiciela, ale również wierzących w tajemnicę Jego Kościoła, która jest dzisiaj bardzo atakowana w życiu publicznym, co wprost zostało wyrażone w stwierdzeniu: „wierzę w Boga, ale nie wierzę w Kościół”. Tymczasem w tajemnicy Kościoła każdy z nas – od 1050 lat na tej ziemi, w historii naszego Narodu – ma swoje imię i miejsce przy Chrystusie, który jest Fundamentem każdego budowania. Zaś jedność z Chrystusem jest dla nas zobowiązaniem, aby czuć się odpowiedzialnym nie tylko za siebie, ale za innych. Zwłaszcza dzisiaj w okresie kryzysu prawdy i zmagania o kształt polskiej szkoły, kiedy wiele się mówi o solidarności i odpowiedzialności społecznej, ale niewiele, albo gdzieś na marginesach przekazu prawdy o nas, mówi się o Chrystusie, Który jest miłością miłosierną, obecną i działającą w Kościele wobec potrzebujących.

Jak można najkrócej i najpełniej streścić życie każdego chrześcijanina, nauczyciela, wychowawcy i dziennikarza, wsłuchując się w teksty biblijne dzisiejszej Eucharystii? Kochać i służyć. Ktoś zapyta, ale jak? Z wewnętrzną pokorą, czyli prawdą o sobie wobec Boga i wobec drugiego człowieka. To bardzo istotne wskazania Ewangelii. Podobnie jest z miłością, którą trzeba przełożyć na konkretne czyny i gesty wobec innych. Nasze społeczeństwo oszukiwane krzykiem wielkich reklam, billboardów, zdaje się nie widzieć najprostszyc znaków dobroci, pomocy świadczonej bez światła jupiterów i kamer. Wiadomo, że wielkość Kościoła stanowi każda nawet niewielka grupa, nieznanych z imienia i nazwiska pracowników, ludzi modlitwy, bezinteresownego miłosierdzia, woluntariatu i cierpienia.

Ojciec Święty Franciszek wzywał nas już niejednokrotnie: „Uważajmy na małe, proste słowa: proszę, dziękuję, przepraszam, boję się, nie rozumiem. Mówił dalej: One są bowiem jak światła na naszych

ulicach, którymi śpieszy nasz świat. One są prostą drogą do pokonania zła i nieuczestniczenia w kłamstwie”. Bardzo ważne słowa.

Dlatego warto przytoczyć słowa poety Jerzego Narbutta, który pisał:

*Jeśli tobie powiedzą,
że Bóg to tylko słowo,
a Polska to pojęcie,
że wolność jest złudzenie,
że godność to rzecz śmieszna,
a liczy się tylko pieniądz,
spryt, skuteczność i istnienie,
to raczej bądź gotów umrzeć za tamte,
niż wybrać bezsens i zniżenie.*

Drodzy Bracia i Siostry! Przeżywamy dzisiaj już 27. Forum Szkół Katolickich, którego myślą przewodnią są słowa Świętego Jana Pawła II wypowiedziane w Poznaniu w 1997 roku: „Jako chrześcijanie jesteście wezwani do świadczenia o wierze i nadziei, aby ludzie nie byli bez nadziei ani bez Boga na tym świecie, ale uczyli się Chrystusa – naszej nadziei”.

Musimy przyznać, że światło idące od tekstów biblijnych znów nas zaskakuje swoją aktualnością. Święty Paweł w *Liście do Filipian* powie wprost: „Nauczyłem się wystarczać sobie w warunkach, w jakich jestem. Umiem cierpieć biedę, umiem też obfitować. Do wszystkich w ogóle warunków jestem zaprawiony, i być sytym i głód cierpieć... Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia”. Dlatego jest wdzięczny Bogu i ludziom za pomoc o charakterze materialnym, jaką otrzymał od Filipian. Toteż nie szukał innych darów, niż wsłuchiwanie się

w słowo Boga i wiązaniem łaski wiary z Chrystusem tych, których Bóg mu powierzył, aby inni odkryli Go osobiście.

Czyż w tym samym duchu wiary nie uczył nas Święty Jan Paweł II, który – jak zaznaczył Ksiądz Kardynał Stanisław Dziwisz – „trwając na modlitwie przed Najświętszym Sakramentem, zawsze odważnie patrzył na krzyż i ikonę Matki Bożej Częstochowskiej. Od Niej uczył się sam i uczył nas, całkowitego oddania Bogu we wszystkim. Dlatego pisał: „Jestem bardzo w rękach Bożych”. Dostrzegamy w tych słowach kierunek, który nam wskazał: Bogu zaufałem, nie będę się lękał. Wszystko mogę w tym, który mnie umacnia.

Kolejny Następca Świętego Piotra, Benedykt XVI pouczył nas, że „człowiek dowartościowuje siebie, nie izolując się od innych, lecz nawiązując relacje z nimi oraz z Bogiem. Zaś różne rodzaje ubóstwa często rodzą się z odrzucenia miłości Bożej. Z pierwotnego zamknięcia się człowieka w sobie, że sam sobie wystarczy albo, że jest tylko faktem niewiele znaczącym i przejściowym we wszechświecie, i powstałym z przypadku”(nr 53). I jeszcze jedno zdanie: „Człowiek jest wyobcowany, albo oderwany od rzeczywistości, kiedy zrezygnuje z myślenia i wiary w Boga, a powierza się tylko ludzkim projektom, fałszywym ideologiom i utopiom. Tylko wiara w prawdziwego Boga objawionego w Chrystusie, Synu Maryi, daje poczucie bliskości i powinna przemienić się w prawdziwą komunię i odpowiedzialność za innych”.

Drodzy Bracia i Siostry! Zauważmy, że światło dzisiejszego fragmentu Ewangelii według Świętego Łukasza jest bardzo mocne. Jezus wyjaśnia nasze odniesienia do śmierci i mówi: „gdy wszystko się skończy”. To odniesienie uczy nas, że pieniąż i wszystkie dobra tracą wówczas swoją wartość, a wszelkie otrzymane, czy wypracowane dobra tracą jakiegokolwiek znaczenie. Dlatego kolejne bardzo

wyraźne podkreślenie: „Nie możecie służyć Bogu i mamonie”. Co to znaczy? A właśnie to, że nie ma wyjścia pośredniego. Komu wierzymy, Bogu czy mamonie? W kim pokładamy nadzieję, komu ufamy? Wybierając Boga jesteśmy kimś, jesteśmy Jego dziećmi. Wybierając mamonę-pieniądz stajemy się niewolnikami i bez perspektywy życia wiecznego. „Jeśli coś ma wywołać w nas święte oburzenie, niepokoić i przyprawiać o wyrzuty sumienia – mówi Ojciec Święty Franciszek w adhortacji „Radość Ewangelii” – to niech to będzie fakt, że tylu naszych braci i siostr żyje pozbawionych siły, światła i pociechy wypływającej z przyjaźni z Jezusem Chrystusem, bez przyciągającej ich wspólnoty wiary, bez perspektywy sensu życia.

Zakończmy nasze rozważanie prośbą: Maryjo, która jak w Kanie Galilejskiej, tak w tej polskiej Kanie zawsze troszczysz się, by nie zabrakło potrzebnych darów dla ludzi, którzy do Ciebie przychodzą, która rozumiesz wszystkie nasze bóle, cierpienia i radości, wyproś nam światła nadziei na bardziej sprawiedliwy, ludzki i Boży świat. Amen.

Bp Marek Mendyk

Wysłuchując się w Słowo Boże, uczyć się miłosierdzia

„Zaprawdę powiadam wam: Radość nastaje wśród aniołów Bożych z powodu jednego grzesznika, który się nawraca”.

W tych listopadowych dniach wspominamy wiernych zmarłych. Kościół przychodzi z pomocą tym, którzy przebywają w czyśccu. Przychodzi z modlitewną pomocą, aby mogli dojść do nieba. W ziemskim życiu byli otwarci na Pana Boga, ale wymagają oczyszczenia ze swej niedoskonałości. Trzeba, byśmy w tych szczególnych dniach uświadomili sobie, że czyściec nie jest miejscem, ale jest formą życia. Największa prawda o czyśccu przypomina, że zmarli mogą się za nami wstawiać, mogą nam pomagać. Śmierć zmienia więzy ludzkie, ale ich nie niszczy. Zmarli potrzebują naszej modlitwy, potrzebują naszych ofiar, cierpień, potrzebują Eucharystii. Każdy z nas potrzebuje modlitwy, abyśmy też nie zmarnowali życia doczesnego i byśmy troszczyli się o ten nieprzemijający skarb, jakim jest życie wieczne.

A skoro mowa o czyśccu, to trzeba też pamiętać, że jest piekło. Pamięć o piekle powinna być przestrożą dla nas wszystkich. Piekło nie jest karą Bożą, ale podjętą przez człowieka wolną decyzją. Człowiek dobrowolnie wybiera potępienie potwierdzone w chwili śmierci.

Zamyka się na miłość Boga. Bóg nie potępia człowieka, On chce naszego zbawienia. I dlatego ważny jest nasz osobisty stosunek do życia i do śmierci. Tylko ten, kto w śmierci potrafi rozpoznać nadzieję, potrafi też żyć z nadzieją, a potrafi to wiara w prawdziwego Boga.

Siostry i Bracia, w tych dniach ufni w Boże miłosierdzie wspominaliśmy naszych bliskich zmarłych, ale też sami czujemy się przynaglani do tego, żeby uczyć się tego miłosierdzia, właśnie przez wsłuchiwanie się w Słowo Boże.

Dzisiaj odczytujemy bardzo ładny fragment z 15. rozdziału Ewangelii św. Łukasza. To w nim odnajdujemy te trzy piękne przypowieści o miłosierdziu: o zagubionej owcy, o zgubionej drachmie oraz tę przypowieść, którą znamy jako przypowieść o miłosiernym Ojcu. W tych trzech przypowieściach uderza przede wszystkim radość Boga. Radość jaką On okazuje, kiedy odnajduje grzesznika i mu przebacza. Tak, radością Boga jest przebaczenie. I w tym znajduje się synteza całej Ewangelii. Bo czyż każdy z nas, czyż nie jesteśmy taką zagubioną owcą albo zgubioną drachmą? Każdy z nas jest owym synem, który zmarnował swoją wolność, idąc za fałszywymi bożkami, iluzjami szczęścia i wszystko stracił. Trzeba nam stale uczyć się od Boga zdolności przebaczenia. Najwyższy czas chciałoby się powiedzieć. Kończy się Rok Miłosierdzia. Już pewnie drugiej takiej okazji nie będzie w życiu. Niech zatem nie tylko radością Boga pozostanie przebaczenie. Niech będzie to też nasza radość – moja i Twoja.

Jak widzimy, Boże miłosierdzie jest bardzo konkretne. Wszyscy jesteśmy powołani do tego, aby tego miłosierdzia doświadczyć. Bardzo lubię ten przywoływany dziś obraz pasterza, który prowadzi swoje owce, nosi na ramionach najsłabszą z nich. Takie obrazy wyrażają najpiękniej myśl dzisiejszej Ewangelii – miłość i troskę Boga o każdego człowieka.

Myślę sobie, że to nie przypadek, że właśnie dzisiaj, w pierwszy czwartek miesiąca wybrzmiewa ta właśnie przypowieść. To tak, jakby stanął dzisiaj przed nami Chrystus i powiedział: Ja jestem dobrym pasterzem. Dzisiaj słyszymy bardzo ciekawe pytanie Pana Jezusa: „Jak Wam się zdaje, jeśli ktoś posiada sto owiec i zabłąka się jedna z nich, czy nie zostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu na górach i nie idzie by szukać tej jednej, która się zabłąkała?”. Pozostawienie dziewięćdziesięciu dziewięciu owiec, aby szukać tej jednej, czyż nie jest to szaleństwo? Raz po raz słyszymy słowa, czasem nauczycieli, a czasem i duszpasterzy, jaki jest sens robić spotkanie dla jednej czy dwóch osób? Także wspólnota nie powinna kierować się kryterium skuteczności, ale troską o tych najmniejszych, niewiele znaczących, znajdujących się na marginesie, żyjących w oddaleniu z różnych powodów. Nawet jeśli jest to jedna osoba, to warto pójść, aby ją pozyskać dla czegoś wspaniałego i pięknego. Pozyskać dla nieba.

Siostry i Bracia,

Jakiś czas temu odbyło się w jednym z legnickich kościołów bardzo ciekawe spotkanie. Dziennikarze nadali temu spotkaniu tytuł „Ćpun w kościele”. Gościem spotkania był dawny mieszkaniec naszego miasta, przed laty grał w zespole rockowym, jeździ po Polsce, ostrzega młodych ludzi przed błędami, które sam kiedyś popełnił. I przez ponad godzinę opowiadał o swoim życiu. Ale też o chwili nawrócenia i teraźniejszym życiu w wierze. Powiada: Cały czas czułem, że Pan Bóg za mną chodzi. Uciekałem, szukałem różnych radości życia, ale za każdym razem przychodziły wyrzuty sumienia. On za mną chodził, pozwolił, żebym się zaplątał, ale nie dał mi zginąć. Bardzo mi pasuje to świadectwo do dzisiejszej Ewangelii. To jest to właśnie szaleństwo Boga – jest gotów zostawić dziewięćdziesiąt dziewięć

owiec, żeby szukać tej jednej zagubionej. Taki właśnie jest Bóg. Idzie za każdym człowiekiem, aż go znajdzie. A potem? To, co dzisiaj słyszeliśmy – cieszy się nim bardziej niż tymi dziewięćdziesięcioma dziewięcioma, którzy się nie zabłąkali. Tak też nie jest „wołą Ojca waszego – mówi Jezus – żeby zginęło jedno z tych małych”.

Niech te słowa pozostaną dzisiaj z nami, jako Słowo Życia.

Bp Roman Pindel

Jak można uznać Chrystusa za Króla

Tak postawiony problem wymaga wpieryw określenia, na jakich podstawach można w ogóle formułować postulat intronizacji Chrystusa na Króla, czy Króla Polski? Pomocne będzie przy tym odwołanie się do innego doświadczenia Kościoła z objawieniem prywatnym, którego przesłanie wpłynęło na odkrycie zapomnianych treści i stało się przyczyną rozwoju jednego z najbardziej żywych nurtów duchowości, i to niemal na całym świecie.

Jaka jest wartość objawienia prywatnego dla kształtowania wiary Kościoła?

Gdy przygotowywałem swoją rozprawę doktorską na temat *Chrystus jako Arcykapłan współczujący według Listu do Hebrajczyków*, korzystałem ze znanego komentarza do tej księgi autorstwa C. Spicqa, francuskiego egzegety. Gdy znalazłem ten komentarz w bibliotece seminarium krakowskiego, zacząłem go wpieryw wertować. Odkryłem, że miejsca, które mnie interesują, są podkreślone czerwoną kredką, a do tego można było znaleźć bardzo skrótowe uwagi do tekstu. Okazało się, że nad tym samym komentarzem pracował kiedyś mój profesor dogmatyki, który otrzymał polecenie

od kard. Karola Wojtyły, by zbadał doktrynę o miłosierdziu Bożym w *Dzienniczku* siostry Faustyny. Po co był mu potrzebny komentarz do Listu do Hebrajczyków? Ponieważ jako dogmatyk miał wykazać niesprzeczność orędzia *Dzienniczka* z objawieniem zawartym w Piśmie Świętym. Dlatego jego uwagi i podkreślenia pojawiły się przy słowach, które mówiły o Chrystusie w następujący sposób:

Dlatego musiał się upodobnić pod każdym względem do braci, aby stał się miłosiernym i wiernym arcykapłanem wobec Boga dla przebłagania za grzechy ludu (Hbr 2,17.) oraz:

Nie takiego bowiem mamy arcykapłana, który by nie mógł współczuć naszym słabościom, lecz doświadczonego we wszystkim na nasze podobieństwo, z wyjątkiem grzechu. Przybliżmy się więc z ufnością do tronu łaski, abyśmy otrzymali miłosierdzie i znaleźli łaskę dla [uzyskania] pomocy w stosownej chwili (Hbr 4,15-16).

Zanim prawda o Bożym miłosierdziu znalazła się w nauczaniu Jana Pawła II, choćby w formie encykliki *Dives in misericordia*, czy też zanim zostało ustanowione święto Miłosierdzia w II Niedzielę Wielkanocną, trzeba było znaleźć ich uzasadnienie w Piśmie świętym i w Tradycji, czyli w Objawieniu publicznym. Nie wystarcza bowiem, by wierzyć w jakąś prawdę, że zostało to objawione choćby najbardziej świętej osobie, gdyby nawet jej pisma uzyskały *Imprimatur*.

Mówię o tym dlatego, że coś podobnego jest w tym momencie dyskutowane. Z jednej strony mamy tekst objawień prywatnych Rozalii Celakówny, w których wiele osób widzi wezwanie do działania na rzecz intronizacji Jezusa Chrystusa jako Króla Polski, inni zaś, na rzecz intronizacji Najświętszego Serca Pana Jezusa. Jedni poprzestają na tym, że tworzą w Polsce wspólnoty dla intronizacji Najświętszego Serca Pana Jezusa, inni natomiast domagają się, by intronizacja Chrystusa Króla Polski była nie tylko aktem religijnym poszczególnych

osób, ale by była dokonana przez osoby sprawujące świecką władzę w Polsce, od samorządów poprzez sejm, po rząd i prezydenta.

Tekst, który stanowi inspirację dla różnych ruchów intronizacyjnych, został zapisany ręką polskiej mistyczki, Rozalii Celakówny (1901-1944), której proces beatyfikacyjny na szczelbu diecezjalnym toczył się w Krakowie od 5 listopada 1996 r. do 17 kwietnia 2007 r., a którego akta zostały przekazane do Rzymu.

Według wydanego oficjalnego tekstu objawień, danych Rozalii w 1938 r., nieznanemu Mąż zapowiadał:

Za grzechy i zbrodnie popełniane przez ludność na całym świecie ześle Pan Bóg straszne kary. (...) Ostoją się tylko te państwa, w których będzie Chrystus królował. Jeżeli chcecie ratować świat, trzeba przeprowadzić Intronizację we wszystkich państwach i narodach na całym świecie. (...) Polska nie zginie, o ile przyjmie Chrystusa za Króla w całym tego słowa znaczeniu.

W innym objawieniu, rok później, Rozalia Celakówna zapisała następujące słowa Pana Jezusa, które stały się inspiracją dla jednej z form intronizacji:

Maria Małgorzata dała poznać światu Moje Serce, wy zaś kształtujcie dusze na modłę Mojego Serca. Intronizacja to nie jest tylko formułka zewnętrzna, ale ona ma odbyć się w każdej duszy.

O niektórych warunkach aktu intronizacyjnego w Polsce mowa jest jeszcze w innym tekście objawień mistyczki z Krakowa:

Jest ratunek dla Polski: jeżeli mnie uzna za swego Króla i Pana w zupełności przez intronizację, nie tylko w poszczególnych częściach kraju, ale w całym państwie z rządem na czele. To uznanie ma być potwierdzone porzuceniem grzechów i całkowitym zwrotem do Boga.

Aby właściwie interpretować te i inne teksty objawień prywatnych, należałoby poznać zasady dotyczące rozeznawania ich autentyczności

i interpretacji. Innymi słowy, kryteria uznania danego objawienia za pochodzące od Boga, a także zasady jego właściwej interpretacji i wydobycia tego, co stanowi przesłanie tekstu mistyka¹⁹.

Te – zupełnie odrębne zagadnienia – pozostawimy na uboczu, odsyłając do stosownej literatury²⁰. Nie podejmujemy także oceny poglądów osób, które spierają się o to, czego domaga się Pan Jezus w zachowanych tekstach Rozalii Celakówny. Zajmiemy się natomiast tym, co jest podstawowe dla postawionego problemu, czyli tym, co zawarte jest w Piśmie świętym i żywej Tradycji Kościoła odnośnie do tematu intronizacji Chrystusa. Takie nasze zainteresowanie bierze się stąd, że do zbawienia konieczne jest uwierzyć w to, co zawarte jest w Objawieniu publicznym (Biblia i Tradycja).

Nie będziemy jednak przywoływać tekstów jedynie o godności królewskiej Jezusa, czy ewentualnej Jego intronizacji, ale przedstawimy jeden z ważnych tematów teologii biblijnej, jakim jest Boże panowanie w Piśmie świętym. Trzeba bowiem powiedzieć na początku, że o tego typu intronizacji, jakiej domaga się większość ruchów intronizacyjnych nie ma mowy w Piśmie świętym.

Przedstawienie biblijnej teologii Bożego panowania wymaga odpowiedniego uporządkowania wypowiedzi z różnych ksiąg biblijnych, z jednej strony w porządku chronologicznym, z drugiej w tematycznym. Gdy zestawia się teksty w kolejności ich powstawania, od najwcześniejszych do ostatnich, wówczas można odkryć pedagogię Boga w objawianiu takiego tematu autorom natchnionym. W odczytywaniu treści kolejnych wypowiedzi biblijnych należy uwzględnić

¹⁹ Traktuje o tym m.in. R. Pindel, *Proroctwa nie lekceważcie, wszystko badajcie. Objawienia prywatne w świetle słowa Bożego*, Kraków 1998, s. 77-130.

²⁰ Por. K. Bardski, *Hermeneutyka tekstów wchodzących w zakres tzw. objawień prywatnych i jej pastoralne implikacje*; por. <http://pracownicy.uksw.edu.pl/KrzysztofBardski/publikacje/2012-2/04-hermeneutyka-objawien-prywatnych/>.

ich uwarunkowania historyczne, by wydobyć choćby to, dlaczego o Bożym panowaniu raz jest mowa w kategoriach władzy pasterskiej, innym razem królewskiej. Także konieczne jest uwzględnienie kontekstu historycznego i religijnego, gdy bada się wypowiedzi ewangelii o królestwie Bożym, czy o Jezusowym odniesieniu do władzy królewskiej. Tak tworzy się biblijna teologia Bożego panowania, a więc uporządkowane wypowiedzi całej Biblii odnośnie do charakteru Bożego panowania nad światem, w tym także Jezusowego odniesienia do władzy królewskiej, czy objawiania Jego władzy wobec świata.

Wreszcie na końcu przywołamy niektóre wypowiedzi żywej Tradycji Kościoła i określimy perspektywy uznania panowania Chrystusa w Polsce.

Dzieje ludu Bożego wpływają na rozumienie Bożego panowania

Autor natchniony dla określenia Bożego panowania nad światem używa terminów²¹ i porównań właściwych dla jego epoki oraz obserwowanych sposobów sprawowania zwierzchności nad innymi, poczynając od pasterskiej władzy człowieka na owcami i przenośnego rozumienia pasterskiej troski człowieka nad jakąś wspólnotą ludzką.

Najwcześniejsze określenie panowania Boga nad narodem wybranym ukazują teksty biblijne, w których Bóg jest porównany do pasterza lub wprost tak nazywany, późniejsze zaś odnoszą do Niego takie terminy jak *król*, *władca*, *panujący*. Izraelici epoki patriarchów to nomadzi, którzy w trakcie wędrówek przejściowo tylko spotykają

²¹ Biblijna terminologia odnośnie do Bożego panowania została przedstawiona w publikacji przygotowywanej po sesji na temat intronizacji, której przewodniczył bp A. Czapaj: R. Pindel, *Podstawy biblijne idei intronizacji* (Częstochowa, dnia 27.11.2014).

się z władzą króla, czy faraona, zaś po opanowaniu ziemi Kanaan, sami będą chcieli zamienić federację plemion na monarchię²².

Od Saula nad ludem Bożym sprawuje władzę król zamieszkujący okazały pałac w Jerozolimie, podczas gdy świątynia Jahwe ma nadal postać namiotu, jak było za czasów wędrówki przez pustynię. Ta dysproporcja w sposobie zamieszkiwania Boga-Króla i człowieka-króla Izraela jest przyczyną budowy murowanej świątyni w Świątym Mieście (por. 2 Sm 7, 2. 12-13. 16).

Choć Izrael na zawsze porzuci namiot jako miejsce obecności Boga pośród swego ludu, odbudowując i przebudowując jedyną świątynię w Jerozolimie, to jednak wciąż do Boga odnosi się nie tylko tytuł Króla, Władcy, ale także Pasterza. Tak więc *Psalms* 23 Bogu przypisuje troskę podobną do pasterza pasącego stado. Autor *Psalmsu* 28 prosi Boga o uratowanie narodu, wzywając Go jako pasterza: *Ocal Twój lud i błogosław Twemu dziedzictwu, bądź im pasterzem, na rękę nieś ich na wieki* (Ps 28, 9).

W ewangeliach pisanych po śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa odnoszone są do Niego tytuły *władca* a równocześnie *pasterz*, a dokładniej *pasący* lud Izraela (Mt 2, 6; por. Mi 5, 1). W Ewangelii św. Jana Jezus stwierdza sam o sobie: *Ja jestem dobrym Pasterzem. Dobry Pasterz daje życie swoje za owce, a także: Ja jestem dobrym Pasterzem i znam owce moje, a moje Mnie znają, podobnie jak Mnie zna Ojciec, a Ja znam Ojca. Życie moje oddaję za owce* (J 10, 11. 14-15).

Tytuł królewski w Starym Testamencie odnoszony jest do Boga na wielu miejscach, szczególnie w *Księdze Psalmów*, w której egzegeci wyodrębniają grupę pieśni, określaną jako *Psalmsy królewskie*, a to ze

²² Por. D. Dziadosz, *Bóg królem Izraela. Biblijny model teokracji według Księgi Jozuego*; [w:] *Królestwo Boże. Dar i nadzieja*, red. K. Mielcarek, (*Analecta Biblica Lublimiensia*), Lublin 2009, s. 9.

względu na to, że w nich pojawia się wyznanie *Jahwe (jest) królem (Jahwe mélek)*²³. Jego łaskawych rządów doświadcza naród wybrany, wyznając przy tym: *Pan najwyższy, straszliwy, jest wielkim Królem nad całą ziemią. On nam poddaje narody i ludy rzuca pod nasze stopy* (Ps 47, 3-4).

Choć Jahwe jest królem troszczącym się o swój lud (por. Ps 106, 47-48), to nie może być pojmowany jak jakiś „plemienny władca” identyfikujący się tylko z jednym państwem, czy narodem. Tytuł królewski wyraża wiarę w Boga jedynego, który jest nie tylko ponad całym stworzeniem, ale także nad (ewentualnymi) innymi bogami²⁴.

Bóg, który jest Królem wobec całego świata, jest Panem dziejów, zaś władcy największych mocarstw są wykonawcami Jego zamiarów. Tak Cyrus, król perski, wypełnia Boże plany, gdy wydaje odpowiedni dekret, na mocy którego Izraelici mogą powrócić do swojej ojczyzny. W takich właśnie kategoriach widzi kronikarz wydanie tego dekretu:

Aby się spełniło słowo Pańskie, z ust Jeremiasza, pobudził Pan ducha Cyrusa, (...), tak iż obwieścił on również na piśmie w całym państwie swoim, co następuje: «Tak mówi Cyrus, król perski: Wszystkie państwa ziemi dał mi Pan, Bóg niebios. I On mi rozkazał zbudować Mu dom w Jerozolimie, w Judzie. Jeśli z całego ludu Jego jest między wami jeszcze ktoś, to niech Bóg jego będzie z nim, a niech idzie!» (2 Krn 36, 22-23).

Rozpad królestwa Izraela na dwa państwa prowadzi do utraty niepodległości. Brak własnego króla wiąże się z oczekiwaniem na eschatologiczne panowanie Boga, zapowiadane przez Izajasza (Iz 2,

²³ Są to Psalm 47; 93; 96; 97; 98; 99. Taką klasyfikację dał H. Gunkel w monografii zatytułowanej „Pieśni o wstąpieniu Jahwe na tron” (*Lieder von Jahwes Thronbesteigung*, Göttingen 1926).

²⁴ Por. H. Merklein, *Jesu Botschaft von der Gottesherrschaft. Eine Skizze*, (Stuttgarter Bibelstudien 111), Stuttgart 1989, s. 41.

1-4; 24, 21-23) i niektóre psalmy (Ps 47; 93; 96-99). Narzędziem i realizatorem tego panowania ma być potomek Dawida (por. Am 9, 11; Mi 5, 1-4; Iz 7, 14 i in.). Izraelici oczekują więc Namaszczonego (Mesjasza, Króla) dla ogłoszenia i wprowadzenia królestwa (panowania) Bożego. Do tych zapowiedzi, rozwijanych w okresie międzytestamentowym, nawiąże Jezus z Nazaretu od początku swojego nauczania (por. Mk 1, 14-17).

Jezus a panowanie Boże

Ponieważ omawiamy problem tytułu królewskiego dla Jezusa, dlatego ważne są Jego wypowiedzi odnośnie do tego, jak On sam rozumie panowanie (królestwo Boże) w swoim nauczaniu, ale także jak On sam odnosi się do możliwości bycia królem.

Orędzie Jezusa o panowaniu Bożym

Ewangelijna relacja z początku publicznej działalności Jezusa z Nazaretu rozpoczyna od słów:

Gdy Jan został uwięziony, Jezus przyszedł do Galilei i głosił Ewangelię Bożą. Mówił: «Czas się wypełnił i bliskie jest panowanie Boga. Nawracajcie się i wierzcie w Ewangelię!» Przechodząc obok Jeziora Galilejskiego, ujrzał Szymona i brata Szymonowego, Andrzeja, jak zarzucali sieć w jezioro; byli bowiem rybakami. Jezus rzekł do nich: «Pójdźcie za Mną, a sprawię, że się staniecie rybakami ludzi». (Mk 1, 14-17)

G. Lohfink w swojej książce o Jezusie historycznym jeden z rozdziałów tytułuje *Proklamowanie panowania Boga*²⁵. Treścią głoszonej przez Jezusa dobrej nowiny jest bowiem bliskość panowania Boga

²⁵ Por. G. Lohfink, Jezus z Nazaretu. Kim był, czego chciał, tł. E. Pieciul-Karminińska, Poznań 2012, s. 47.

(*basileía tou Theou*), a więc niezwykle moment zbawczy (*kairós*)²⁶, w którym bliskość owego panowania Boga nie jest terytorialna, czy polityczna, ani nawet czasowa, ale przede wszystkim „rzeczowa”, bo oto „tuż” jest radykalna zmiana sytuacji Izraela przez działanie zbawcze Boga²⁷. Ta bliskość radykalnej nowości domaga się odpowiedzi człowieka poprzez zmianę jego myślenia (*metanoéo*) i przyjęcia z wiarą (*pisteúo*) panowania i działania zbawczego Boga, co stanowi treść dobrej nowiny (*euaggélion*), proklamowanej przez słowo i czyn Jezusa z Nazaretu²⁸.

Właściwa postawa wobec nadchodzącego panowania Boga obejmuje tak zmianę myślenia, jak i wiarę w treść i rzeczywistość królestwa. Jezus więc proklamuje pełne miłosierdzia panowanie Ojca, potwierdza jego charakter przez takie znaki jak uzdrawianie chorych, przebaczenie grzechów, egzorcyzmy, przywracanie do życia, ale także przez szczególne zwrócenie się do ubogich, grzeszników i zagubionych²⁹.

Proklamowanie bliskości panowania Bożego przez Jezusa kontynuują Apostołowie głosząc ewangelię, której centrum stanowi zbawienie dokonane przez Jezusa, a osiągnane przez człowieka na drodze wiary. W domu setnika Korneliusza w Cezarei Nadmorskiej Piotr ukazuje przejście od głoszenia królestwa Bożego przez Jezusa do apostołowskiego proklamowania zbawienia poganom:

„[Bóg] Posłał swe słowo synom Izraela, zwiastując im pokój przez Jezusa Chrystusa. On to jest Panem wszystkich. Wiecie, co się działo w całej Judei, poczynawszy od Galilei, po chrzcie, który głosił Jan.

²⁶ Por. H. Merklein, *Jesu Botschaft von der Gottesherrschaft*, dz. cyt., s. 51.

²⁷ Por. H. Merklein, *Jesu Botschaft von der Gottesherrschaft*, dz. cyt., s. 57.

²⁸ Por. G. Lohfink, *Jezus z Nazaretu*, dz. cyt., s. 56 nn.

²⁹ Por. J. Gnilka, *Jezus z Nazaretu*, s. 120-121.

Znacie sprawę Jezusa z Nazaretu, którego Bóg namaścił Duchem Świętym i mocą. Dlatego że Bóg był z Nim, przeszedł On dobrze czyniąc i uzdrawiając wszystkich, którzy byli pod władzą diabła. A my jesteśmy świadkami wszystkiego, co działał w ziemi żydowskiej i w Jeruzolimie. Jego to zabili, zawiesiwszy na drzewie. Bóg wskrzesił Go trzeciego dnia i pozwolił Mu ukazać się nie całemu ludowi, ale nam, wybranym uprzednio przez Boga na świadków, którzyśmy z Nim jedli i pili po Jego zmartwychwstaniu. On nam rozkazał ogłosić ludowi i dać świadectwo, że Bóg ustanowił Go sędzią żywych i umarłych. Wszyscy prorocy świadczą o tym, że każdy, kto w Niego wierzy, przez Jego imię otrzymuje odpuszczenie grzechów.” (Dz 10, 36-43)

Sprawa królestwa Bożego jest najważniejsza dla Jezusa, na co wskazuje główny temat przypowieści ewangelijnych, którym jest panowanie Boga³⁰. W ten sposób starotestamentowa „idea biblijna królowania Jahwe otrzymała w nauczaniu Chrystusa swój kształt definitywny, stając się jednym z synonimów zbawienia człowieka”³¹. Czyny mocy dokonywane przez Jezusa stanowią uwiarygodnienie roszczeń Jezusa, a zarazem znak, że faktycznie panowanie Boże wkracza z całą mocą. Wyrażają to wprost słowa Jezusa: *A jeśli Ja palcem Bożym wyrzucam złe duchy, to istotnie przyszło już do was królestwo Boże* (Łk 11, 20).

Proklamowanie panowania Boga odnosi się z jednej strony do czasu nauczania i znaków Jezusa, z drugiej do przyszłości. To ostatnie odniesienie wyraża najdobitniej Modlitwa Pańska, która w początkowej partii zawiera prośbę *przyjdź królestwo Twoje* (Mt 6, 10; Łk 11, 2). Słowa te wyrażają pragnienie, by panowanie Boże objawiło

³⁰ Por. J. Gnilka, *Jezus z Nazaretu*, dz. cyt., s. 108.

³¹ A. Jankowski, *Królestwo Boże w przypowieściach*, Kraków 1995, s. 199.

się poprzez jednorazowe ostateczne przyjście zbawcze Boga³². Kolejne wezwanie *bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi* wyraża nie tylko prośbę o wyzwolenie od zła, śmierci i szatana, ale także gotowość poddania wszystkiego władzy Ojca. W ten sposób chrześcijanie nie tylko oczekują, ale także starają się *przyspieszyć przyjście dnia Bożego* (por. 2 P 3, 12).

Jezusowe odniesienie do tytułu królewskiego

Jezusowe głoszenie panowania Boga i Jego bliskości dokonuje się w atmosferze niecierpliwego oczekiwania nadejścia królestwa Dawida, w tym odzyskania przez Izrael politycznej niezależności i materialnej pomyślności. Z tego powodu Jezus dystansuje się od tych oczekiwań i wypowiedzi, w których królestwo mesjańskie zostaje sprowadzone do wymiaru ziemskiego i politycznego. Dlatego też Jezus zakazuje rozgłaszania o Jego misji, co miało zapobiec fałszywemu rozumieniu jego posłannictwa (tzw. „sekret mesjański”)³³.

Jakie jest odniesienie Jezusa do posiadanej przez niego władzy królewskiej, poznajemy z zapisu ewangelii. Gdy chciano Go porwać i przemocą uczynić królem (*poiéo basiléa*), *sam usunął się znów na górę*, jak relacjonuje Ewangelia Jana (J 6, 15). O ile nie przyjmuje władzy królewskiej od nakarmionego za darmo tłumu, o tyle potwierdza, że jest królem, gdy w perspektywie męki i śmierci na krzyżu jest przesłuchiwany przez Piłata. Zastrzega jednak przy tym ostatnim, że Jego królestwo (*basileía*) nie jest z tego świata (*ek tou kósmou toutou*). Gdyby bowiem było podobne do innych królestw ziemskich,

³² Występujący w wezwaniu czasownik *eltheto* (przyjść) ma formę aorystu czasownika *erchomai*, co wskazuje na jednorazowe wydarzenie. Por. J. Gnilka, Jezus z Nazaretu, dz. cyt., s. 174.

³³ Por. W. Rakocy, Mesjasz Pan – Odkupiciel Izraela. Refleksje na temat pytania uczniów o przywrócenie królestwa Izraela (Dz 1, 6); [w:] Biblia o odkupieniu, (red.) R. Rubiniewicz, Lublin 2000, s. 150.

to Jego służy broniliby Go, by nie został wydany na śmierć Żydom (J 18, 36). Na pytanie Piłata: *A więc jesteś królem?*, Jezus odpowiada: *Tak, jestem królem*. Jednak zaraz dodaje: *Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie. Każdy, kto jest z prawdy, słucha mojego głosu* (J 18, 37). To ostatnie stwierdzenie wskazuje na to, że panowanie Jezusa wyraża się w „świadczeniu o prawdzie”, zaś uznanie tego panowania dokonuje się przez przyjęcie postawy „słuchania głosu Jezusa”. To zaś zakłada indywidualny i przede wszystkim wewnętrzny akt uznania Jezusowego królowania przez słuchanie i przyjęcie Jego świadectwa.

W trakcie procesu i ogłaszania wyroku Piłat oznajmia wobec Żydów: *Oto Król wasz* (J 18, 14). Jednakże ta proklamacja zostanie zakrzyczana przez tłum, z deklaracją zaskakującą jak na wyznawców Boga jedyne: *Poza Cezarem nie mamy króla* (J 18, 15). Nad głową ukrzyżowanego Jezusa wisi *titulus damnationis* a więc napis zawierający powód skazania, który brzmi: *Jezus Nazarejczyk Król Żydowski* (J 19, 19)³⁴. Deklaracja Jezusa wobec tłumów i przedstawiciela Cesarza wskazuje, że świadomie dystansuje się On od wykorzystywania środków panowania właściwych dla ziemskiego królestwa, a zakres jego panowania nie pokrywa się ze sposobem sprawowania władzy przez ziemskiego króla, czy cesarza³⁵.

Pozytywne wyjaśnienie odnośnie do panowania Jezusa, aktu udzielenia Mu władzy i jej charakteru znajdziemy w tych wypowiedziach Nowego Testamentu, które należą do kluczowych w przedstawieniu jego zbawczego działania. W odpowiedzi na groźby

³⁴ Jednakże już w momencie dyktowania przez Piłata jego brzmienie zostało zakwestionowane. Arcykapłani zwrócili się niego: „Nie pisz: Król Żydowski, ale że On powiedział: Jestem Królem Żydowskim” (J 18, 21).

³⁵ Por. M. S. Wróbel, *Studia z teologii Janowej*, Tarnów 2009, s. 172.

Sanhedrynu Piotr i Apostołowie wyznają, że tego Jezusa, którego ludzie ukrzyżowali, Bóg wywyższył *na prawicę swoją jako Władcę i Zbawiciela, aby dać Izraelowi nawrócenie i odpuszczenie grzechów* (Dz 5, 31). Owo „wywyższenie na prawicę” Boga oznacza „wzięcie do nieba – do Bożej sfery bytowania, które dokonało się przez zmartwychwstanie”³⁶, co stanowi akt intronizacji dokonany przez Boga (wyraża go termin *hypsóo*, czyli wywyższać). Jezusową władzę określają terminy: *archegós* (Władca, Założyciel) i *sotér* (Zbawiciel). W ten sposób Jezus został wywyższony, ale zarazem stał się Kimś, kto „doprowadza do ostatecznego zbawienia”³⁷. W tej sytuacji człowiekowi nie pozostaje nic jak tylko uznać zbawcze panowanie Chrystusa poprzez osobiste nawrócenie i przyjęcie odpuszczenia grzechów. Nawrócenie (*metánoia*) wyraża się zmianą myślenia i podjęciem życia według zamysłu Władcy i Zbawiciela.

To, że Chrystusa intronizował sam Bóg, potwierdza kolejny tekst, tym razem napisany przez Pawła do mieszkańców Filipi, która wówczas stanowiła rzymską kolonię, zamieszkałą przez weteranów wojennych. Ci dobrze rozumieli, co to znaczy uznać panowanie władcy, ale także sami doświadczyli tego, że za wierną służbę w posłuszeństwie wobec władcy zostali hojnie przez niego obdarowani. Przez pryzmat ich rozumienia władzy trzeba odczytywać znaczenie wyliczenia kolejnych aktów uniżenia Jezusa od wcielenia, przyjęcia postaci sługi i posłuszeństwa aż do poniżającej śmierci krzyżowej. Po osiągnięciu przez Jezusa największego uniżenia, następuje sekwencja Jego aktów wywyższenia:

³⁶ Por. T. M. Dąbek, *Nawracajcie się. Metanoia w Nowym Testamencie*, Katowice 1996, s. 195.

³⁷ Por. A. Jankowski, *Kerygmat w Kościele apostoelskim. Nowotestamentowa teologia głoszenie słowa Bożego*, Częstochowa 1989, s. 68.

Dlatego też Bóg Go nad wszystko wywyższył (hyperypsóo) i darował Mu imię ponad wszelkie imię, aby na imię Jezusa zgięło się każde kolano istot niebieskich i ziemskich i podziemnych. I aby wszelki język wyznał, że Jezus Chrystus jest PANEM (Kyrios) – ku chwale Boga Ojca. (Flp 2, 9-11)

Wskreszenie Jezusa, po Jego uniżeniu i haniebnej śmierci na krzyżu, stanowi akt najwyższego wywyższenia ze strony Boga³⁸. To z tego powodu wszystko, co tylko istnieje (istoty niebieskie i ziemskie) winno Mu oddać cześć i wyznać (*eksomologéo*), że Jezus Chrystus jest Panem (*Kyrios*).

Uznać panowanie Chrystusa, by osiągnąć zbawienie

Pierwsze w Dziejach Apostolskich wezwanie do uznania w Jezusie Pana i Mesjasza stanowi istotę kerygmatu wygłoszonego w dniu Zesłania Ducha Świętego. Kluczowe stwierdzenie Piotra brzmi: *Tego Jezusa, którego wyście ukrzyżowali, uczynił Bóg i Panem, i Mesjaszem* (Dz 2, 36). Słuchacze mają więc uwierzyć, że Jezus jest zapowiadanym przez proroków Namaszczonym potomkiem Dawida (Królem-Mejaszem), a równocześnie Panem (tytuł *Kyrios* oddawał w greckim tłumaczeniu Biblii imię *Jahwe*)³⁹. Jako warunek osiągnięcia dóbr obiecane go królestwa Piotr wskazuje nawrócenie (*metanoéo*) i przyjęcie chrztu w imię Jezusa (Dz 2, 38). Wszak, gdy ewangelia przekracza granice judaizmu i wkracza w język i mentalność grecką, wówczas kluczowe stwierdzenie kerygmatu brzmi: *Jezus (jest) Panem*. Głosiciele ewangelii, idąc do pogan nie znających zapowiedzi dotyczących Mesjasza, wzywają do uznania w wierze, że Jezus jest Panem (*Kyrios*),

38 Por. J. Flis, List do Filipian. Wstęp, przekład z oryginału, komentarz, (Nowy Komentarz Biblijny, NT XI), Częstochowa 2011, s. 255-256.

39 Por. T. M. Dąbek, Nawracajcie się. Metanoia w Nowym Testamencie, dz. cyt., s. 186.

zapewniając, że w ten sposób będą zbawieni. Tak właśnie czyni Paweł i Syłas w Filipi, gdy zwracają się do strażnika więzienia: *Uwierz (pisteúo) w Pana Jezusa, a zbawisz (sózo) siebie i swój dom* (Dz 16, 31).

Ten akt wiary i uznania Jezusa za Zbawiciela i Pana (Grecy) lub Króla, czy Władcy (Żydzi) jest performatywny, gdyż sprawia on zbawienie człowieka. Najwyraźniej zapewnienie takiej zmiany statusu wierzącego daje Apostoł Paweł w Liście do Rzymian, gdy pisze:

Jeżeli więc ustami swoimi wyznasz (homologéo), że JEZUS JEST PANEM (Kyrios), i w sercu swoim uwierzysz (pisteúo), że Bóg Go wskrzesił z martwych – osiągniesz zbawienie (sózo). Bo sercem przyjęta wiara (pisteúo) prowadzi do usprawiedliwienia (dikaiosyne), a wyznawanie jej ustami (homologéo) – do zbawienia (soteria) (Rz 10, 9).

Najbardziej proste wyznanie panowania Jezusa, które sprawia zbawienie, spotkałem w gronie Żydów mesjanicznych, którzy swoją wiarę wyrażali stwierdzeniem *Jeszua melek* (Jezus Królem), bez żadnego dookreślenia (nawet nie było „król Izraela”). Takie wyznanie wystarcza do osiągnięcia zbawienia, bo wyraża ono wiarę, że Jezus z Nazaretu jest zapowiadany przez proroków Mesjaszem, który miał przywrócić królestwo Dawidowe. Wystarczy, że wypowie się, iż Jezus jest Królem, w sensie: tym, zapowiadany potomkiem Dawida.

W tej zaś perspektywie dookreślenie tytułu króla przez dodanie nazwy terytorium, czy narodu, sprawia, że wyznanie typu „Jezus jest królem Polski, czy Rosjan” nie ma już charakteru soteriologicznego, a więc nie zbawia tego, który składa wyznanie tej treści. Staje się wręcz karykaturą wyznania, które jest u podstaw wiary chrześcijańskiej.

Wyznanie typu „Jezus jest Panem i Mesjaszem” lub „Jezus jest Panem i Zbawicielem” daje nadzieję na ostateczne zbawienie i na udział w pełni zbawienia, które objawi się przy powtórny przyjsciu Chrystusa, kiedy też okaże się On Panem, któremu nikt i nic nie może

się przeciwstawić. Zapowiada takie panowanie Paweł, gdy przywołuje świadectwo o zmartwychwstaniu Chrystusa, które łączy z Jego eschatologicznym tryumfem nad wszystkim, co sprzeciwia się Bogu. Apostoł pisze:

Jak w Adamie wszyscy umierają, tak też w Chrystusie wszyscy będą ożywieni, lecz każdy według własnej kolejności. Chrystus jako pierwszy, potem ci, co należą do Chrystusa, w czasie Jego przyjścia. Wreszcie nastąpi koniec, gdy przekaże królowanie (basileia) Bogu i Ojcu i gdy pokona wszelką Zwierzchność, Władzę i Moc. (...) A gdy już wszystko zostanie Mu poddane, wtedy i sam Syn zostanie poddany Temu, który Synowi poddał wszystko, aby Bóg był wszystkim we wszystkich (1Kor 15, 22-24. 28).

Z przywołanego tekstu wynika, że do ostatecznego pokonania śmierci i rozpoczęcia wiecznotrwałego panowania Boga wobec całego stworzenia prowadzą cztery etapy, przedstawione niekoniecznie chronologicznie: (1) zmartwychwstanie Chrystusa; (2) zmartwychwstanie przynależących do Chrystusa w dniu paruzji; (3) przekazanie panowania Bogu i Ojcu; (4) pokonanie *wszelkich Zwierzchności, Władz i Mocy*⁴⁰.

Biblijna idea panowania Boga, głoszenie tego panowania przez Chrystusa oraz wywyższenie Chrystusa przez zmartwychwstanie zmierzają do wzbudzenia nadziei na ostateczne objawienia królowania Boga i naszego w nim udziału. W tym zaś nieodzowne jest poznanie charakteru owego panowania Boga, ale także królestwa głoszonego przez Chrystusa oraz właściwego zaangażowania wierzącego w sprawy tego królestwa, które jest blisko ostatecznego objawienia swej potęgi. Przybliżenie tych spraw, jak je przedstawia Słowo

⁴⁰ Por. M. Rosik, Rysy eschatologiczne Królestwa Bożego w Pawłowej nauce o zmartwychwstaniu (1Kor 15, 1-58); [w:] Ewangelia o Królestwie, dz. cyt., s. 253.

Boże, jest celem niniejszego wystąpienia. Dla dopełnienia tegoż war-
to przywołać jeszcze ważny głos żywej Tradycji Kościoła.

Żywa Tradycja Kościoła i aktualne rozeznanie pasterskie

Z bogatej Tradycji Kościoła odnośnie do panowania Bożego przy-
wołamy najważniejsze wypowiedzi, w pierw z encykliki *Quas primas*
z 1925 roku, w której w ponownym uznaniu Jezusa Królem w życiu
indywidualnym i społecznym Pius XI widział środek zaradczy prze-
ciw laicyzacji, niszczącej życie duchowe chrześcijan. Ten to Papież
wprowadził uroczystość Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata i za-
chęcał do odmawiania w tym dniu aktu poświęcenia całego rodzaju
ludzkiego Najświętszemu Sercu Pana Jezusa. Zachęcając do uznania
Chrystusa Królem nie wspominał jednak o akcie intronizacji, któ-
rego miałby dokonywać jakikolwiek naród. Znamienne jest przy
tym, jak określił Pius XI, zakres tego królowania Chrystusa. Pisał
w encyklice: *Trzeba więc, aby Chrystus panował w umyśle człowieka,
którego obowiązkiem jest z zupełnym poddaniem się woli Bożej przy-
jąć objawione prawdy i wierzyć silnie i stale w naukę Chrystusa; niech
Chrystus króluje w woli, która powinna słuchać praw i przykazań Bo-
żych; niech panuje w sercu, które, wzgardziwszy pożądlivościami, ma
Boga nade wszystko miłować i do Niego jedynie należeć; niech króluje
w ciele i członkach jego, które jako narzędzia (...) do wewnętrznego
uświęcenia dusz.*

Warto dodać, że Kongregacja Nauki Wiary wydała dnia 21 listo-
pada 2002 roku (w uroczystość Chrystusa Króla), *Notę doktrynalną
o niektórych aspektach działalności i postępowania katolików w życiu
politycznym*, w której akceptuje laickość państwa, rozumianą jako
*autonomia sfery obywatelskiej i politycznej w stosunku do sfery reli-
gijnej i kościelnej – ale nie w odniesieniu do zasad moralnych.* Tak

rozumiana autonomia traktowana jest jako wartość przyswojona już i uznana przez Kościół, należąca do dziedzictwa wypracowanego przez cywilizację. Z nauczania zawartego w *Nocie* wynika, że katolicy nie powinni spodziewać się, że państwo ziemskie kiedykolwiek stanie się państwem Bożym zanim nastąpi paruzja. Dopiero powtórne przyjście Pana zainauguruje pełnię państwa Bożego jako *królestwa prawdy i życia, świętości i łaski, sprawiedliwości, miłości i pokoju*.

Z takim głosem nauczycielskim Kościoła spotyka się ruch wielu środowisk (zwłaszcza w Krakowie), powołujących się na objawienia Rozalii Celakówny. Łączy je wspólny cel: doprowadzenie do aktu intronizacji Chrystusa Króla. Te i inne dążenia wymagają troski duszpasterskiej i rozeznania. Z ramienia Episkopatu Polski z różnymi nurtami ruchów intronizacyjnych podjął dialog Biskup Opolski, Andrzej Czaja, stojący na czele Komisji ds. intronizacji. Jak stwierdził w jednym z wywiadów:

Stwierdziłszy też, że uznanie przez wspólnotę ojczyzną panowania Jezusa Chrystusa nad nią jest teologicznie dopuszczalne. W sytuacji detronizacji Jezusa w społeczeństwie chrześcijańskim, na wielu poziomach życia, bardzo potrzeba dziś Jego intronizacji. Trzeba jednak właściwej wykładni takiego aktu i zadbania o to, aby tego typu różne zewnętrzne akty intronizacyjne stanowiły wyraz wewnętrznego przekonania i oddania się Chrystusowi. Temu wszystkiemu powinna zaś towarzyszyć szczególna modlitwa, wołanie do Pana o nadzwyczajną Jego pomoc, jak to bywało wcześniej w trudnych chwilach naszego życia i dziejów narodu. Takie chwile są dziś także i naszym udziałem, a czymś naturalnym i bardzo pożądanym jest uciekanie się wierzących do Pana wieków. Trudno też wykluczyć jakiś szczególny akt zawierzenia narodu Chrystusowi Królowi. Ważne, by dokonać tego z wiarą, mądrze i w duchu jedności.

Ważne są także ustalenia dotyczące rozumienia oczekiwanego aktu intronizacji, które podziela część ruchów intronizacyjnych. Idzie o to, że w odniesieniu do Jezusa Chrystusa można mówić o intronizacji w znaczeniu innym, niż rozumie to wiele środowisk. Bp Andrzej Czaja mówi wprost:

Jezus otrzymał godność królewską od Ojca, Boga Wszchemogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, a człowiek nic tu dodać ani ująć nie jest w stanie. Chodzi o to, że Jezus jest Królem niezależnie od woli człowieka. Intronizacja Jezusa Króla nie jest więc ani koronacją, ani nadaniem Jezusowi godności królewskiej czy tytułu królewskiego. Intronizacja Jezusa Króla jest zasadniczym aktem naszej wiary – wybieramy Jezusa i przyjmujemy Jego prawo. Jest to zatem akt na podstawowym poziomie religijnym, wynikający z naszego powołania chrześcijańskiego, odkąd jesteśmy dziećmi Bożymi. Przez akt intronizacyjny przyjmujemy i uznajemy nad sobą królewską władzę Jezusa, wyznajemy ją wobec innych oraz chcemy ją potwierdzać całym życiem.

Tak rozumiany akt intronizacyjny został zaplanowany na 19 listopada 2016 roku, czyli w przededniu liturgicznej uroczystości Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata. Jego miejscem będzie Bazylika Miłosierdzia w Krakowie-Łagiewnikach, w samą zaś uroczystość będzie on powtórzony w diecezjach. Jak dopowiada bp Andrzej Czaja:

Udział władz państwowych w ogólnonarodowym akcie intronizacyjnym jest sprawą otwartą. Włączenie się w akt jest możliwe, ale o tym mogą zdecydować wyłącznie określone podmioty władzy. Obowiązuje nas uszanowanie autonomii świeckich struktur.

Pozostaje tylko mieć nadzieję, że taki akt będzie właściwie przyjęty i pogłębiony w dalszym życiu wierzących Polaków.

Bp Andrzej Czaja

Jubileuszowy Akt przyjęcia Chrystusa za Króla i Pana – nadzieja i zadania

Niewątpliwie o ruchach intronizacyjnych, a także o samym Akcie tu i tam już w mediach możemy czytać, słyszymy wiele różnych opinii na jego temat. Chcę zaraz na początku, tytułem jakby pewnej preambuły powiedzieć, żeby się go po prostu nie obawiać. Tym bardziej, że nie stanowi on niczego oryginalnego, nowego, o czym zresztą jeszcze powiem. Akt wpisuje się w całą tradycję szanowania, poszanowania prawdy o królowaniu Jezusa Chrystusa – Króla. Kościół od samego początku w Chrystusie rozeznał Króla. Sam Chrystus wyraźnie nazwał siebie Królem, przyznał się do tego, że jest Królem. Pokazał też, na czym jego królowanie polega. Kościół przez wieki tę prawdę pielęgnował. Dzisiaj jest szczególny czas, w którym jakby próbuje się Chrystusa zdetronizować i dlatego trzeba jakby bardziej znowu tę prawdę przypomnieć, a przede wszystkim na Króla i jego panowanie bardziej się otworzyć. Dlatego rozpocząłem od wezwania: nie obawiajcie się tego, otwórzcie się na Jubileuszowy Akt Przyjęcia Jezusa za Króla i Pana. Jest on niewątpliwie pewną szansą zdynamizowania

nowej ewangelizacji. pod warunkiem, że podejmiemy gruntowną, rzetelną formację na wielu poziomach – zaczynając od siebie.

Konferencja Episkopatu Polski wpisała Jubileuszowy Akt w zakończenie roku podwójnego jubileuszu: Nadzwyczajnego Jubileuszu Miłosierdzia i 1050-lecia Chrztu Polski. Myślę, że dobrze, iż tak się właśnie stało, ponieważ Jubileuszowy Akt jest niewątpliwie takim wyrazem zawierzenia Miłosierdziu Bożemu naszego Narodu i Kościoła w Polsce, a także równocześnie aktem odnowienia przymierza z Bogiem. Akt trzeba jednak nade wszystko wiązać z Chrystusowym wezwaniem: „A jak Mojżesz wywyższył węża na pustyni, tak potrzeba, by wywyższono Syna Człowieczego, aby każdy kto w Niego wierzy nie zginął ale miał życie wieczne” (J 3, 14-15). To Chrystusowe wezwanie jest wyraźnie odczytane już przez św. Pawła, który pisze do Koryntian: „Trzeba bowiem, ażeby Chrystus królował, aż położy wszystkich nieprzyjaciół pod swoje stopy” (1 Kor 15, 25). O to też wołał papież Pius XI bardzo mocno w encyklice *Quas primas* w 1925 r., w sytuacji, gdy fala laicyzmu rozlała się, zwłaszcza na Europę. „Trzeba więc, aby Chrystus panował [pisze Papież Pius XI] w umyśle człowieka, którego obowiązkiem jest z zupełnym poddaniem się woli Bożej przyjąć objawione prawdy i wierzyć silnie i stale w naukę Chrystusa; niech Chrystus króluje w woli, która powinna słuchać praw i przykazań Bożych; niech panuje w sercu, które, wzgardziwszy pożądanymi, ma Boga nade wszystko miłować i do Niego jedynie należeć; niech króluje w ciele i członkach jego, które jako narzędzia [...] mają przyczynić się do wewnętrznego uświęcenia dusz”. Tyle tytułem wstępu.

1. Sens Jubileuszowego Aktu

Podjęcie wezwania Jezusa: „potrzeba aby wywyższono Syna Człowieczego” jest dziś wyjątkowo mocno aktualne w sytuacji, gdy na różne sposoby i na wielu poziomach życia mamy do czynienia ze stanem uśpienia wiary, a nawet jej agonii. Można też mówić o swoistym procesie detronizacji Jezusa, zepchnięcia Boga na margines życia, a jeśli nie całkiem na margines, to na jakieś podrzędne czy podrzędniejsze miejsce. To jest w pewnej mierze owoc antropologii oświeceniowej. Bardzo gorzki owoc antropologii tej, w której Boga zepchnięto z piedestału, a dokonano intronizacji człowieka. Równocześnie jest to też owoc hedonizmu kultury materialistycznej. Jesteśmy przez ten świat tak uwodzeni, ulegamy mu, a wskutek tego na co dzień żyjemy tak, jakby Boga nie było. W takiej sytuacji człowiek nie żyje Bogiem, ani w jedności z Nim nie jest; zostawia Boga na boku, na marginesie życia, umiejętnie zagłusza Jego głos – nawet w swoim własnym sumieniu. Wówczas dokonuje się – jak mówił św. Jan Paweł II w adhortacji *Ecclesia in Europa*, nr 9: „cicha, milcząca apostazja”. Nie składam publicznej deklaracji, że jestem agnostykiem czy wręcz ateistą, ale po prostu przestaję liczyć się z Bogiem, zostawiam Go, zapominam o Nim, żyję tak, jakby umarł. Są jeszcze inne formy detronizacji Boga, można nawet powiedzieć trudniejsze do rozpoznania i zdiagnozowania.

Papież Franciszek w dialogu z polskimi biskupami w Katedrze na Wawelu zwrócił uwagę na problem rozwoju wewnątrz współczesnego Kościoła neognostycyzmu i neopelagianizmu. Dodałbym do tego jeszcze sprowadzanie wiary chrześcijańskiej do poziomu deizmu – Bóg jest, ja Go uznaję i do Niego zmierzam, ale na co dzień nie żyję Jego obecnością i bliskością, tym, że On jest pośród

nas. Deista uważa, że ze wszystkim w życiu musi radzić sobie sam i dlatego w skrajnym przypadku może dojść do tego, że sam kreuje chrześcijaństwo, sam staje się chrześcijaninem. Tak przynajmniej uważa, albo zupełnie nieświadomie schodzi na ten poziom: sam chce się zbawić. Jest to jeszcze inny rodzaj detronizacji i zarazem dechrystianizacji. A wszystko to, zdaniem Papieża Franciszka, niszczy naszą duchowość. W dzisiejszym chrześcijaństwie jesteśmy świadkami rozwoju subiektywnej duchowości bez Chrystusa. Bardzo często wysoko zawieszono są szyldy: „wszystko dla Jezusa”. Tyle tylko, że bez Jezusa, bez jedności z Nim, w oderwaniu od Niego. Tę duchowość bez Chrystusa Papież krótko charakteryzuje w słowach: „modłę się, odczuwam...”, à propos tego, co tutaj mówiła moja przedmówczyni: „...i nic więcej”. Więzy z Bogiem nie ma: bo ja czuję, ale zdaję się na swoje jakieś subiektywne tylko odczucie, a nie otwieram się na Prawdę Objawioną i przez Kościół do wierzenia podawaną. Stąd, pilna potrzeba wywyższenia Jezusa na nowo: prawdziwie i bardziej, poprzez obudzenie żywej wiary i życia z wiary, celem wyjścia z tego swoistego letargu, który prowadzi do zostawiania Boga na marginesie życia czy wręcz odchodzenia od Boga. Dlatego w dokonaniu Jubileuszowego Aktu Przyjęcia Jezusa za Króla i Pana trzeba widzieć nade wszystko, mówiąc obrazowo, mocne „uderzenie w dzwon”, który przy zamknięciu Bramy Miłosierdzia będzie zwróceniem się do Boga o szczególną łaskę miłosierdzia dla nas wszystkich i które powinno nas tak dogłębnie poruszyć, aby nie wrócić już do codzienności bez świadomego potwierdzenia wyboru Jezusa, jednoznacznego opowiedzenia się za Nim i podjęcia na nowo realizacji powołania do świętości. Nie chodzi o to, byśmy ten rok podwójnego jubileuszu tylko zapisali w kronikach, ale by rzeczywiście on zaowocował. I ten Akt, w tym znaczeniu, w tej perspektywie, jest dużą szansą. W „Komentarzu do

Jubileuszowego Aktu Przyjęcia Jezusa Chrystusa za Króla i Pana” czytamy, że akt ten „nie jest zwieńczeniem” – i to jest druga jakby teraz strona medalu – „lecz początkiem dzieła intronizacji Jezusa Chrystusa w Polsce i narodzie polskim”. Przed nami wielkie i ważne zadanie, mówiąc najogólniej: ewangelizacyjne.

2. Geneza Aktu

Nie ulega wątpliwości, że myśl o potrzebie Aktu Intronizacyjnego zaczęła się rozwijać w związku z wszczęciem w Archidiecezji Krakowskiej w 1996 r. procesu beatyfikacyjnego Sługi Bożej Rozalii Celak. Wówczas światło dzienne ujrzały jej zapiski. Można było poznać treść udzielonych jej objawień prywatnych, w których Pan Jezus domaga się m.in. aktu intronizacyjnego od narodu polskiego. Świadczy o tym choćby ten zapis: „Jest ratunek dla Polski: jeżeli Mnie uzna za swego Króla i Pana w zupełności przez intronizację, nie tylko w poszczególnych częściach kraju, ale w całym państwie z rządem na czele. To uznanie ma być potwierdzone porzuceniem grzechów i całkowitym zwrotem do Boga”.

Akt stanowi odpowiedź na dążenia tzw. „ruchów intronizacyjnych”, bardzo zróżnicowanych między sobą, ale w jednym zgodnych – w domaganiu się intronizacji Jezusa. Jedni chcą intronizacji Najświętszego Serca Pana Jezusa, drudzy – intronizacji Jego Osoby, przy czym, jedni powołują się bardziej na prywatne objawienia Rozalii Celak, drudzy na encyklikę Papieża Piusa XI *Quas primas*. Ostatecznie można powiedzieć, Akt jest zwieńczeniem ważnego dzieła rozeznania i skorygowania dążeń i oczekiwań wszystkich tych ruchów przez pasterzy Kościoła w Polsce, za pośrednictwem specjalnie powołanego do tego Zespołu ds. Ruchów Intronizacyjnych. Po czasie wstrzemięźliwego odnoszenia się do jakiegokolwiek postulatu

intronizacji Jezusa Chrystusa, w 2012 r. biskupi polscy w dwóch listach pasterskich określili ramy kościelnego nauczania o królowaniu Jezusa i kulcie Chrystusa Króla. W 2013 r. Konferencja Episkopatu Polski powołała Zespół ds. Ruchów Intronizacyjnych. W 2014 r. podjęto wymianę myśli w gronie ekspertów, a w 2015 r. zaproszono do dialogu przedstawicieli ruchów intronizacyjnych. W ten sposób zawiązał się nieformalny zespół mieszany do wymiany myśli i wspólnych ustaleń. Oprócz dziesięciu biskupów tworzą ów zespół przedstawiciele poszczególnych ruchów intronizacyjnych, mianowicie: Wspólnot dla Intronizacji Najświętszego Serca Pana Jezusa, Rycerstwa Jezusa Chrystusa Króla, Stowarzyszenia „Róża” i Fundacji Serca Jezusa, Ruchu Obrony Rzeczypospolitej „Samorządna Polska”, Stowarzyszenia „Ruch Intronizacji Jezusa Chrystusa Króla Polski”. Są także reprezentanci środowisk inteligencji katolickiej oraz reprezentantka wspólnot i grup Polonii amerykańskiej, kanadyjskiej i australijskiej.

Pierwsze posiedzenie „zespołu mieszanego” miało miejsce tu na Jasnej Górze, 4 maja 2015 r. Przedstawiciele poszczególnych ruchów zaprezentowali stanowisko i oczekiwania swoich środowisk intronizacyjnych. Niemal w każdym wystąpieniu pojawiał się apel o dokonanie aktu intronizacyjnego i ogłoszenie Chrystusa Królem Polski. Ponadto zgłoszono potrzebę krucjaty modlitwowej za Ojczyznę, opartej o jedną modlitwę wskazaną przez Konferencję Episkopatu Polski. Uzasadniano racje dla uznania przez Episkopat Polski potrzeby intronizacji Jezusa Chrystusa, mówiono o konieczności przygotowania parafii, diecezji i całego Kościoła w Polsce do intronizacji, a także o wielkich narodowych rekolekcjach, o konieczności rozróżnienia intronizacji Najświętszego Serca Pana Jezusa i intronizacji Osoby Jezusa Chrystusa, o korekcie listu pasterskiego na temat

królowania Jezusa Chrystusa z listopada 2012 r. Przede wszystkim tym gronom, ruchom intronizacyjnym nie podobał się brak zupełny tego społecznego wymiaru królowania Jezusa, co było właściwie metodycznym naszym ustaleniem przy tworzeniu listu, żeby nie wszystko i nie na raz. Najpierw zwrócić uwagę na tą osobistą więź Jezusa, właściwie nas z Jezusem, by był nam Królem w sercu, w rodzinie. Mówiono także o potrzebie integracji środowisk intronizacyjnych. Pojawiła się też prośba, aby biskupi wskazali formułę teologiczną narodowej intronizacji.

3. Zasadnicze zastrzeżenie

Podczas 369. Zebrania Plenarnego Konferencji Episkopatu Polski w Warszawie, 10 czerwca 2015 r. biskupi zdecydowanie wyrazili swoją dezaprobatę w stosunku do dążeń niektórych ruchów intronizacyjnych do głoszenia czy uznania Chrystusa Królem Polski. Zwrócono uwagę na polityczną konotację tytułu i omówiono racje teologiczne przeciwne jego wprowadzeniu.

Trzeba stwierdzić, że myśl o konieczności uznania Chrystusa Królem Polski, wyprowadza się najczęściej z prywatnych objawień Rozalii Celak. Znajdujemy w nich wezwanie do dokonania intronizacji, skierowane zarówno do władz kościelnych, jak i świeckich. Czytamy: „Jest ratunek dla Polski, jeśli Mnie uzna za swego Króla i Pana w zupełności przez Intronizację, nie tylko w poszczególnych częściach kraju, ale w całym państwie z rządem na czele”. W objawieniach tych jest jeszcze parę podobnych miejsc, ale nigdzie nie ma wprost wołania o to, by Chrystusa ogłosić Królem Polski, nadać Mu taki tytuł. I już z tej racji niezrozumiałe jest postulowanie tego typu intronizacji. To jest wyraźna nadinterpretacja tekstu Rozalii. Ponadto ogłoszenie Chrystusa Królem Polski oznaczałoby nadanie Mu zawężającego

tytułu, który ograniczałby rozumienie Jego władzy. Taki zabieg nie ma podstaw biblijnych, ani oparcia w nauczaniu Kościoła, a dla nas podstawą przygotowania teologicznej formuły intronizacji Jezusa Chrystusa Króla są oczywiście podstawy biblijne i nauczanie – *Magisterium Ecclesiae*, a nie prywatne objawienia Rozalii Celak. Zresztą ten pierwszy list został m.in. zredagowany w celu uporządkowania relacji: Objawienie publiczne, Boże a objawienia prywatne. Taki zabieg więc nie ma tutaj podstaw biblijnych, ani oparcia w nauczaniu Magisterium Kościoła. Pius XI w encyklice *Quas primas* wyraźnie naucza o powszechnym i wiecznym panowaniu Jezusa Chrystusa.

Bywa, że zwolennicy ogłoszenia czy uznania Chrystusa Królem Polski, odwołują się do nazywania Maryi Królową Polski. Mamy tu jednak do czynienia z zupełnie innymi poziomami. Wystarczy zauważyć, że Maryja nie jest boginią. Dostrzeżenie różnicy poziomów ujawnia się w świetle teologicznej interpretacji królewskiej godności Maryi, która została jej nadana przez Naród. Znaczącą myśl ku takiemu rozumieniu kwestii rozwija Pius XII w encyklice *Ad Caeli Reginam*. Papież stwierdza: „W pełnym właściwym i absolutnym znaczeniu jeden jest Król, Jezus Chrystus, Bóg-Człowiek: lecz i Maryja choć tylko w pewnej mierze i tylko analogicznie (...) uczestniczy również w królewskiej godności. Uczestniczyć zaś w królewskiej godności Jezusa znaczy służyć na Jego wzór. Albowiem Jezus nie przyszedł, aby mu służono, lecz aby służyć (Mt 20, 28). Maryja nie przypadkowo nazwała się Służebnicą (Łk 1, 38). Jest to jedyny tytuł, który Ona odnosi do siebie. Jako Królowa służy na wzór Chrystusa”. Ta służba Maryi obejmuje również naród polski, co podkreśla prefacja o Najświętszej Maryi Pannie, Królowej Polski. „Ona, przyjmując pod krzyżem testament Bożej miłości, wzięła za swoje dzieci wszystkich ludzi, którzy przez śmierć Chrystusa narodzili się do życia

wiecznego. Wyniesiona do niebieskiej chwały otacza macierzyńską miłością Naród, który Ją wybrał na swoją Królową, broni go w niebezpieczeństwach, udziela mu pociechy w utrapieniach i wspiera go w dążeniu do wiecznej ojczyzny, aż nadejdzie pełen blasku dzień Pański”. Tak więc liturgia interpretuje królewską godność Maryi teologicznie – królować znaczy służyć. Maryja jako Królowa Polski służy polskiemu narodowi. W wykładni politycznej jej królewskość czy królewska godność oznaczałaby rządzenie. Krótko mówiąc, królewska godność Maryi ma zupełnie inny charakter i nie można jej stawiać na równym poziomie z królowaniem Jezusa, które oznacza powszechne i wieczne panowanie i władzę nad całym światem.

Inna jeszcze racja: mówienie o Jezusie jako Królu Izraela czy Królu żydowskim. Skoro jest Królem żydowskim, Królem Izraela, dlaczego nie może być Królem Polski? Otóż mówienie o Jezusie jako Królu Izraela czy Królu żydowskim ma swe podstawy w Jego pochodzeniu z królewskiego rodu Dawida, w fakcie wpisania Go w genealogię tego rodu. Takiego związku z narodem polskim Pan Jezus nie ma. Natomiast Jego królewska godność i misja mają charakter powszechny i wieczny, i dlatego nie można uznać Chrystusa Królem Polski, bo to oznaczałoby umniejszenie Jego godności, ograniczenie Jego posłannictwa, Jego panowania i władzy.

Nade wszystko trzeba też pamiętać, że zbawczą wartość ma wyznanie Jezusa Panem. Apostoł Paweł w liście do Rzymian (10, 9-10) zapewnia: „Jeżeli ustami swoimi wyznasz, że Jezus jest Panem i w sercu swoim uwierzysz, że Bóg Go wskrzesił z martwych - osiągniesz zbawienie”. Dlatego, gdy z wiarą wyznaję, że Jezus jest Panem, Królem – osiągam zbawienie. Gdy ogłaszam czy uznaję Go Królem Polski, to jest to akt polityczny i umniejszenie godności Chrystusa. Natomiast uznanie Jezusa moim Królem zmienia moje życie i ma

wpływ na życie innych. Można też powiedzieć, że dla im większej rzeszy obywateli Polski Jezus będzie prawdziwie Królem i Panem, tym bardziej będzie królował w naszej Ojczyźnie – co daj Boże, można by powiedzieć.

4. Ukierunkowanie i pogłębienie treści Aktu

10 października 2015 r., z inicjatywy „zespołu mieszanego” odbyło się otwarte sympozjum sprawozdawczo-naukowe tu, na Jasnej Górze, w ramach którego przedstawiciele poszczególnych ruchów intronizacyjnych zaprezentowali rozumienie intronizacji w ich środowisku oraz ich wkład na rzecz dzieła intronizacji Jezusa Chrystusa. Zespół ds. Ruchów Intronizacyjnych miał okazję zaprezentować stanowisko Konferencji Episkopatu Polski: bp Roman Pindel przedstawił biblijne podstawy królowania Chrystusa, bp Jacek Jezierski - rozwój idei królowania Chrystusa w dziejach, a ja – nauczanie Magisterium Kościoła na temat królowania Chrystusa, które wyklucza możliwość nadania Chrystusowi tytułu „Król Polski”. Dyskusję zwieńczyło odczytanie prośby przedstawicieli ruchów intronizacyjnych do pasterzy Kościoła w Polsce, „aby w liście zapowiadającym program przyszłego roku (w sensie tego roku, który jeszcze miał nadejść) liturgicznego w Polsce, zechcieli zawrzeć zapowiedź polskiego, narodowego aktu uznania i przyjęcia królowania Jezusa Chrystusa oraz poddania się pod Jego władzę”. Ukazała się niedawno publikacja z materiałami z tegoż sympozjum, dzięki której każdy może zapoznać się z wystąpieniami.

Konferencja Episkopatu Polski zaaprobowała prośbę, podjęto prace najpierw nad konstrukcją aktu intronizacyjnego i wskazano treści, które winny się w nim znaleźć. Wyznaczone osoby przygotowały projekt tekstu, który po naniesieniu korekt i uzyskaniu aprobaty „zespołu

mieszanego” został przedstawiony Konferencji Episkopatu Polski. 16 kwietnia 2016 r. na 372. Zebraniu Plenarnym Konferencji Episkopatu Polski biskupi zatwierdzili tekst ingerując jedynie w brzmienie tytułu, a więc został przyjęty właściwie nie zmieniony tekst przygotowany przez „zespół mieszany” (Zespół ds. Ruchów Intronizacyjnych z przedstawicielami tychże ruchów), a jedyna ingerencja dotyczyła tytułu, a mianowicie uwzględniając kontekst dokonania aktu nadano określenie „Jubileuszowy” zamiast „Narodowy” Akt Przyjęcia Jezusa Chrystusa za Króla i Pana.

Nietrudno zauważyć, że sformułowanie wyraźnie odbiega od pojęć, którymi przedstawiciele ruchów intronizacyjnych operowali na początku. Przeszliśmy naprawdę dość długą, zmuśną, nieraz wielkimi emocjami owianą drogę. Zgłaszając wówczas postulaty dokonania aktu intronizacji w narodzie polskim czy w naszej Ojczyźnie, początkowo formułowano dość ostro swoje żądania, które niejednokrotnie były zupełnie nie do przyjęcia z uwagi na to, że w żaden sposób nie przystawały do nauczania *Magisterium Ecclesiae*. W ostatecznej wersji Aktu nie ma już mowy o ogłoszeniu Chrystusa Królem, czy wyniesieniu Jezusa na tron. Chrystusa nikt nie musi ogłaszać Królem ani wynosić na tron. Bóg Ojciec uczynił Go Królem. Pięknie o tym czytamy w *Hymnie o kenozie*: „Bóg wywyższył Go ponad wszystko i darował Mu imię, które jest ponad wszelkie imię, aby na imię Jezusa zgięło się każde kolano istot niebieskich, ziemskich, podziemnych”. Nie do nas należy ogłaszać Chrystusa Królem, ani Go uznawać – w tym znaczeniu, że teraz my Go wynosimy.

W ramach prowadzonej debaty dokonała się zasadnicza ewolucja w podejściu do samego rozumienia dzieła intronizacji Jezusa. Przyjęło się mówienie o uznaniu Chrystusa Królem, podobnie jak w środowiskach oazowych i charyzmatycznych mówi się o uznaniu

Chrystusa Panem i Zbawicielem. W takim dialogowaniu zawarty był jeden z ważniejszych momentów, który nas przekonał z kolei – Zespół ds. Ruchów Intronizacyjnych, że nie można tej sprawy tak zostawić. Odczytaliśmy także w tych dążeniach ruchów intronizacyjnych pewien oddolny głos Kościoła w Polsce, jako wyraz *sensus fidei* ludu Bożego, zbieżny z tym co wcześniej usłyszeliśmy w ruchach charyzmatycznych czy w oazowych, a także nawet, co propagował swego czasu śp. o. Góra na Lednicy, i co dalej właściwie tam jest. Był tam taki moment, bodajże w 2007 roku, kiedy ówczesny Prymas Józef Kowalczyk też odmawiał ten Akt Oddania się Jezusowi Królowi. To był – raz jeszcze powiem – ważny moment tego rozeznania; że to jest taki oddolny głos, wyraz zmysłu wiary ludu Bożego. Skoro tak, to jest coś z Bożego Ducha. Wyraźnie jednak trzeba było doprecyzować, jak rozumieć to wołanie o uznanie czy przyjęcie Chrystusa za Króla. Nie chodzi tylko o jakieś zbliżenie się do wskazanych środowisk, ani tym bardziej ujednolicenie dążeń kościelnych ruchów.

Dążenie do uznania Chrystusa Królem jest wyraźnie obecne w objawieniach prywatnych Rozalii Celak, to prawda, ale nade wszystko też ma solidne podstawy biblijne – od tych wyszedłem – i szerokie rozwinięcie w nauczaniu Kościoła, szczególnie (raz jeszcze podkreślam) w encyklice *Quas Primas* Piusa XI. To jego wołanie miało miejsce w dobie narastającej laicyzacji. Dzisiaj znowu mamy jakby drugą wielką falę laicyzacji. Na takiej podstawie jest też obecne w treści zatwierdzonego Aktu. Istota Aktu jest już zawarta w pierwszym akapicie tekstu: „Stajemy przed Tobą, by uznać Twoje panowanie, poddać się Twemu prawu, zawierzyć i poświęcić Tobie naszą Ojczyznę i cały naród”. I zaraz dalej czytamy: „Z pokorą chyląc swe czoła przed Tobą – Królem wszechświata uznajemy Tve panowanie nad Polską i nad całym naszym narodem, żyjącym w Ojczyźnie i w świecie”.

Jak już wspomniałem, Konferencja Episkopatu Polski zmieniła brzmienie tytułu Aktu, rezygnując z określenia „akt intronizacyjny”, jeszcze też było „narodowy”. Biskupom zależało na tym, by nie narazić wiernych na błędne rozumienie dzieła intronizacji. Określenie „akt intronizacyjny”, dobrze znane w środowiskach ruchów intronizacyjnych, nie zawsze jest jednoznacznie interpretowane w społeczeństwie, także przez wiernych. Co więcej, samo słowo „intronizacja” może być błędnie rozumiane – w znaczeniu: przyznanie Jezusowi władzy albo wyniesienia Jezusa na tron. Dlatego nie naruszając w żaden sposób wypracowanego wcześniej tekstu, w którym również nie było słowa „intronizacyjny” czy „intronizacja” nadano mu inny tytuł.

Nie bez powodu zamiast słowa „uznać”, zastosowano w tytule słowo „przyjąć”. Otóż, to drugie słowo bardziej zobowiązuje nas i wzywa do głęboko personalnego odniesienia się do Jezusa i zaangażowania się całym sercem w Jego panowanie, w urzeczywistnianie Jego królestwa. Pomaga nam lepiej uchwycić, że w dziele intronizacji Jezusa nie chodzi tylko o jakiś zewnętrzny akt uznania Chrystusa Królem i Panem, ale o postawę głęboko wewnętrzną, duchową, która ma swoje konsekwencje w życiu i promieniuje na wszystkie sfery życia, na innych i owocuje w społeczeństwie. By przyjąć Jezusa za Króla i Pana, trzeba Mu otworzyć drzwi serca, drzwi naszych domów, świątyń i miejsc pracy, a także z Nim żyć, dać Mu miejsce i pozwolić panować we wszelkich sferach życia, także w sferze społecznej, ekonomicznej i politycznej. Właśnie o to wołał św. Jan Paweł II w homilii inauguracyjnej jego pontyfikatu: „Nie lękajcie się. Otwórzcie na oścież drzwi Chrystusowi! Dla Jego zbawczej władzy otwórzcie granice państw, systemów ekonomicznych, systemów politycznych oraz kierunków cywilizacyjnych. Nie lękajcie się!”.

5. Szansa i zadania

Rzecz jasna nie możemy być naiwni, że sama proklamacja Jubileuszowego Aktu Przyjęcia Jezusa za Króla i Pana dokona cudownej, magicznej wręcz przemiany naszych serc i rodzin, że będzie od razu lepiej w naszej Ojczyźnie, że wszyscy odtąd będą uczciwi i prawi itd. Jeśli jednak tego Aktu dokonamy z wiarą i czystym sercem - stan łaski uświęcającej niezwykle ważny - to w naszych staraniach o żywą więź z Bogiem pojawi się nowa jakość, w której Pan Bóg z pewnością dostrzeże wyraz dobrej woli i zaangażowanej wiary - to nasze „chcemy”, „pragniemy naprawdę, byś był Królem, byś panował”. Dlatego można żywić nadzieję, że temu dziełu Bóg pobłogosławi, co jest zawsze źródłem naszego duchowego rozwoju i wzrostu. Bez Bożego błogosławieństwa, „bez Bożego tchnienia, cóż jest wśród stworzenia, jeno cierń i nędze”; albo na innym miejscu: „Bóg pobłogosławił, ziemia plon wydała”. Myślę, że Bożego błogosławieństwa możemy oczekiwać. Natomiast owoce będą zależne od jakości naszego przygotowania się i od tego, na ile konsekwentnie podejmiemy zawarte w Akcie przyrzeczenia i wynikające z niego zadania, bo Akt to początek, który ma pociągnąć za sobą dzieło.

Jak wspomniałem należy w Akcie widzieć nie coś zupełnie oryginalnego, ani też realizację prywatnych objawień Rozalii Celak, trzeba raczej odczytywać Akt w tej hermeneutyce ciągłości, o której tak wiele mówił Papież Benedykt XVI. Otóż Akt ten może jest szczególnym, ale zarazem tylko konkretnym aktem kultu Jezusa Chrystusa, Króla wszechświata. W tej szczególnej godzinie życia, w konkretnym rozeznaniu, gdy oddolnie było wołanie, by taki Akt proklamować, my będziemy ten Akt chcieli wypowiedzieć, i będzie on przede wszystkim wyrazem i formą kultu Jezusa Króla wszechświata. A więc będzie to

wyraz ciągle obecnej w tradycji Kościoła myśli na temat królowania Jezusa, poszanowania tej myśli, tej prawdy – a zarazem szczególnie akt kultu Jezusa Chrystusa, Króla. Nie jest to coś zupełnie nowego. Nie wyrasta z jakiejś próżni, ale z poszanowania pielęgnowanej przez wieki prawdy o królowaniu Jezusa. Równocześnie jest to wspólnotowy akt wyznania wiary, angażujący każdego osobiście, ponieważ ma potwierdzić nasz wybór Chrystusa i wyrazić naszą wolę i gotowość uznania Jego panowania, poddania się Jego prawu, zawierzenia i poświęcenia Mu siebie, naszych rodzin, Ojczyzny i całego narodu. Wypowiadany na zakończenie obchodów dwóch jubileuszy, ma być również aktem modlitewnym, którym Miłosierdziu Bożemu zawierzymy wszystko, co Polskę stanowi. Tutaj zrobię pewną małą uwagę na marginesie – i nie może być inaczej; to musi być akt modlitewny. Musimy wołać o łaskę, bo nie możemy też sami przez ten Akt zejść na poziom neopelagianizmu. To jest odpowiedź na wołanie Bożego Ducha, która wyraziła się w tym zmyśle wiary ludu Bożego, ale jeżeli ktoś tutaj działa – to Bóg na pierwszym miejscu. O tym nie możemy zapomnieć. My mamy przyjąć to, co Duch Boży obudził w ludzie Bożym, na tej ziemi. Dlatego to musi być akt modlitewny, wołanie o łaskę, a zarazem powinien to też być akt odnowienia przymierza z Bogiem, który nasz naród zawarł z Trójjedynym Bogiem 1050 lat temu. Jako taki, ów Jubileuszowy Akt Przyjęcia Jezusa za Króla i Pana może pomóc każdemu z nas i całemu narodowi polskiemu w dokonaniu dzieła odnowy przymierza z Bogiem, w ponowieniu świadomego wyboru Chrystusa oraz w podjęciu na nowo powołania do świętości. Trzeba koniecznie pamiętać, że Akt jedynie inicjuje dzieło i wzywa nas do podjęcia dzieła wywyższenia Jezusa we wszelkich wymiarach naszego życia. Każdy powinien zacząć od siebie, od rzetelnego rachunku sumienia i podjęcia takiego trudu nawrócenia,

którego skutkiem będzie całkowity zwrot ku Bogu, ku Chrystusowi. Wtedy ów szczególny rok podwójnego jubileuszu: Nadzwyczajnego Jubileuszu Miłosierdzia i 1050. Rocznicy Chrztu Polski nie będzie tylko odnotowany w annałach. Szansa wtórnej ewangelizacji narodu przynajmniej w części może zostać wykorzystana.

W Jubileuszowym Akcie trzeba nam zatem zobaczyć wielkie wezwanie, impuls mobilizujący do podjęcia solidnej pracy nad sobą celem budowania i ożywienia osobistej więzi z Jezusem, która jest u podstaw Jego królowania w naszym życiu. Stąd też, pierwszym nakazem chwili jest modlitwa do Ducha Świętego, bez pomocy którego nikt nie jest w stanie wyznać, iż Panem jest Jezus.

By Jubileuszowy Akt przyniósł dobre owoce trzeba wiele modlitwy. Teraz, w tym czasie przygotowania, do listu pasterskiego dołączona jest modlitwa. To jest mój apel, żeby modlić się tą modlitwą co dnia, by ją też odmawiać w naszych szkołach katolickich, byście też wykorzystali w naszych szkołach ten Akt właśnie ku jeszcze większemu otwarciu, ku pobudzeniu do tego, by wasi wychowankowie przyjęli Jezusa – i to z radością Go przyjęli. Tutaj padło pytanie, jak człowieka świeckiego, wiernego świeckiego przekonać do tego, że on jest wartościowy, jak by go pobudzić, otworzyć? Myślę, przede wszystkim pokazując mu jak bardzo jest Jezusowy, a w związku z tym jest dzieckiem Bożym, jest dziedzicem Królestwa Bożego. To pociąga. To, że pasterze mają inne funkcje, wierni świeccy inne, osoby konsekrowane inne, itd., i jeszcze w ramach tego zróżnicowane funkcje działania – to jest wtórne. Jeżeli akcent pada na to, tu jest to ukazanie szczęścia: jestem Jezusowy, czegoż chcesz więcej? Czegoż chcesz więcej? Tu akcent musi paść na to, pokazać tę wartość bycia chrześcijaninem. A za tym ta myśl, którą Benedykt XVI ciągle rozwija, ona jest

kompatybilna z tym wszystkim, o czym tu mówię: że być chrześcijaninem to przyjąć Jezusa, Jezusem żyć, Jezusem się dzielić.

Nie można też zaniedbać innych elementów duchowego przygotowania. Poczynając właśnie od troski o ten stan łaski uświęcającej, także o pojednanie z Bogiem i ludźmi. Tu mam na myśli też to pojednanie z ludźmi – kończy się rok podwójnego jubileuszu, i tak wiele między nami waśni i sporów, i nieprzejednania. Coraz głębsze rowy, coraz więcej kruszonych kopii, coraz więcej takich, wręcz bym powiedział tonów pełnych nienawiści. Negatywnych emocji jest tyle, że czas temu zadać jakieś cięcie, żeby to skończyć. Rok się kończy szczególnie: Jubileuszu Miłosierdzia, niech więc ten Akt nas do tego przywoła. Trzeba też podjąć wysiłek ożywienia osobistej więzi z Jezusem, by mógł działać i zaprowadzać swe Królestwo w poszczególnych wymiarach mojego życia.

Oczywiście proklamacja Aktu jedynie inicjuje dzieło wywyższenia Jezusa, a równocześnie zobowiązuje nas do jego realizacji. Dokonana w dużej wspólnotcie ma jednak szczególną rangę i siłę oddziaływania, co pokazała wielka manifestacja wiary podczas Światowych Dni Młodzieży. Dlatego też zanim odbędzie się to w poszczególnych parafiach w uroczystość Chrystusa Króla Wszechświata, najpierw będzie to narodowy akt właśnie w Sanktuarium Miłosierdzia Bożego w Krakowie-Łagiewnikach.

W przyszłości członkowie ruchów powinni poddać się solidnej formacji intelektualnej i duchowej, aby mógł się więcej jeszcze wyzwolić drzemiący w nich potencjał. Trzeba też zadbać o to, żeby każdy z ruchów zachował swoją tożsamość i odrębność, przy równoczesnej współpracy i wzajemnym dopełnianiu się. W tym upatruję ważkie zadanie dla zamianowanego przez Konferencję Episkopatu Polski delegata ds. rozwoju kultu Chrystusa Króla, a także dla kapelanów

poszczególnych ruchów i wspólnot. Inną duchowość mają bowiem wspólnoty zmierzające do Intronizacji Najświętszego Serca Pana Jezusa, a inną te wszystkie ruchy, które dążą do intronizacji Osoby Jezusa. Ujednolicenie, z jednej strony mogłoby wywołać opór nawet każdego z ruchów, a z drugiej strony zubożyłoby bogactwo, które może być rozwijane przez formację związaną z uznaniem i przyjęciem Chrystusa za Króla i Pana. Pamiętam też te rozmowy trudne, zaraz na początku: jak wy idziecie w tym kierunku, to ja już tu nie mam właściwie co robić, odchodzę. Trzeba było pokazać pewną ideę, rozwinąć ją: ale idźmy razem, przejdźmy razem przez Bramę Miłosierdzia, za którą wszyscy w jedności przyjmujemy Jezusa za Króla i Pana. A potem w poszczególnych wspólnotach można dalej rozwijać swoją duchowość. Nie byłbym więc za takim monolitem. Zresztą te całe debaty, te rozmowy wszystkie pokazały nam też jedno: nie udało się właściwie ustalić, przyjąć jednego wizerunku Chrystusa Króla - dla rozwoju kultu Chrystusa Króla w Polsce. Tak różne były propozycje, że zrezygnowano z tego. Być może, że nawet lepiej, bo potem dalej w poszczególnych wspólnotach i ruchach, niech każdy ma swój wizerunek i na bazie tego wizerunku też rozwija specyfikę swej duchowości – mam na myśli nie tylko ruchy intronizacyjne, ale i ruchy charyzmatyczne, czy wspólnoty Światło – Życie.

Zdrowy rozwój kultu Chrystusa Króla będzie miał miejsce tylko wtedy, gdy w naszych sercach i między nami będzie Boży Duch, czyli zgoda, jedność, miłość, poszukiwanie i poszanowanie prawdy, na bazie uległości orzeczeniom Urzędu Nauczycielskiego Kościoła. Przez całe wieki posłuszeństwo jest swoistym sprawdzianem Bożego Ducha w różnych kościelnych obszarach i środowiskach. Podporządkowanie się orzeczeniom Urzędu Nauczycielskiego Kościoła, także przełożonym, związane najczęściej z pewnym bólem

rezygnacji z własnej optyki, zawsze oczyszczało i porządkowało, prowadziło do zdrowego rozwoju wiary, pobożności życia Kościoła. Nie-raz też prowadziło do poznania głębi, której wcześniej nie można było zobaczyć.

W koniecznej formacji, którą trzeba podjąć – trzeba zważać na to, by nie popaść wtórnie w neopelagianizm i nie tworzyć samemu kultu Jezusa Chrystusa Króla. Trzeba zaczynać od ugiętych kolan. Ważne jest zgłębianie prawdy o Królu, o Chrystusie Królu, by nie modelować tego Króla na miarę naszych oczekiwań: ani politycznie ani utylitarnie, jak to już było w czasach Jezusa. Jedni chcieli Go obwołać Królem, bo ich nakarmił, a drudzy się spodziewali, że wyzwoli ich z jarzma Rzymu. Trzeba uwzględnić inność królowania Jezusa. Jego królewskość, moc Jego władzy, ujawniły się właściwie z krzyża, gdy rzekł do jednego z łotrów: jeszcze dziś ze mną będziesz w raj. To Król, który daje życie, to Król, który, odkąd został nad ziemię wywyższony, wszystkich do siebie pociąga. Jako taki jest sługą. Trzeba więc rozwijać kult na miarę Króla, któremu ten kult ma służyć. Zatem Jubileuszowy Akt Przyjęcia Jezusa za Króla i Pana stanowi niewątpliwie pewną szansę zdynamizowania nowej ewangelizacji w Kościele w Polsce i w naszym narodzie, ale domaga się bardzo rzetelnej formacji intelektualnej i duchowej.

Bp Andrzej Czaja

Homilia w czasie Mszy św. w dniu Jubileuszowego Aktu Przyjęcia Jezusa za Króla i Pana

Sanktuarium Bożego Miłosierdzia,
Kraków-Łagiewniki, 19.11.2016

Chryste Panie, nasz Królu i Boże, wielka rzesza ludzi zgromadziła się tu dziś, w Bazylice Bożego Miłosierdzia i wokół niej, w Imię Twoje. Wielka rzesza ludzi. Nie mniej nas niż wtedy, u początków Kościoła, w dniu Pięćdziesiątnicy, gdy wylałeś obficie swego Ducha. Ześlij teraz na nas swego Ducha!

Duchu Święty! Napełnij nas swoim światłem i miłością ku dobremu owocowaniu Bożego słowa w naszych umysłach i sercach.

[...]

Zapis zawarty w pierwszym czytaniu, w Drugiej Księdze Samuela, mówi o bardzo ważnym wydarzeniu w dziejach Narodu Wybranego, o uznaniu Dawida Królem przez wszystkie pokolenia izraelskie. Jednak już wcześniej Pan Bóg namaścił Dawida na króla, rękoma Samuela. Jest więc Dawid królem Izraela z Bożego postanowienia i przez Boga ustanowiony, a Naród reprezentowany w Hebronie przez starszyznę uznaje go swoim królem.

Podobny sens ma wydarzenie, w którym uczestniczymy. Zgromadzeni tu w Krakowie-Łagiewnikach, w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia, jesteście przedstawicielstwem Polskiego Narodu i Kościoła w Polsce, i przybyliśmy tu, by przyjąć Jezusa Chrystusa na nowo, z wielką radykalnością swego postanowienia, za Króla i Pana. Trzeba bowiem, ażeby królował w naszym życiu Ten, o którym św. Paweł mówi w Liście do Kolosan, że „jest obrazem Boga niewidzialnego – Pierworodnym wobec każdego stworzenia”, który „jest przed wszystkim i wszystko w Nim ma istnienie”, „w którym mamy odkupienie – odpuszczenie grzechów”, który „jest Głową Ciała – Kościoła” i „pierworodnym spośród umarłych”. „Zechciał bowiem Bóg, aby w Nim zamieszkała cała Pełnia i aby przez Niego znów pojednać wszystko z sobą: [...] i to, co na ziemi, i to, co w niebiosach, wprowadziwszy pokój przez krew Jego krzyża” (zob. Kol 1,14-20).

O Jezusie mówi też Matka-Kościół, słyszeliśmy te słowa w modlitwie dnia, że jest Królem z Bożego postanowienia. Bóg postanowił wszystko poddać umiłowanemu Synowi, Królowi Wszechświata i ten swój plan zrealizował. Jak Mojżesz wywyższył węża na pustyni dla ocalenia Narodu Wybranego, tak Bóg wywyższył swego Syna na krzyżu dla naszego zbawienia i po zmartwychwstaniu posadził Go „na prawicę swoją jako Władcę i Zbawiciela” (Dz 5,31). Wywyższył Go ponad wszystko i „darował Mu imię ponad wszelkie imię, aby na imię Jezusa zgięło się każde kolano istot niebieskich i ziemskich, i podziemnych. I aby wszelki język wyznał, że Jezus Chrystus jest Panem – ku chwale Boga Ojca” (Flp 2,9-11).

Dlatego, moi drodzy, nie jest naszym zadaniem ogłaszać Chrystusa Królem, lecz uznać Jego panowanie i poddać się Jego Prawu, Jego woli i zbawczej władzy, zawierzyć i poświęcić Mu naszą Ojczyznę i cały Naród, nas samych i nasze rodziny. Przybyliśmy więc, by

ugiąć kolano i wyznać z wiarą, że Jezus jest naszym Królem, Panem i Zbawicielem, a nawet więcej, chcemy Go przyjąć za Króla i Pana. By tego dokonać, trzeba podjąć jakże ciągle aktualne wezwanie św. Jana Pawła II z homilii inauguracyjnej jego pontyfikat: „Otwórzcie na oścież drzwi Chrystusowi! Otwórzcie dla Jego zbawczej władzy [...] Nie lękajcie się!”.

Umiłowani w Chrystusie Panu Siostry i Bracia! Nie trzeba się bać, bo – jak zapewnia papież-senior Benedykt XVI – Jezus nie przychodzi jak złodziej, nie zabiera, lecz daje, uzdrawia, przemienia, umacnia. Sam zapewnia nas: „Oto stoję u drzwi i pukam”. Ileż w tym delikatności i wielkiej troski zarazem! I mówi dalej: „Jeśli, ktoś usłyszy i drzwi otworzy, wtedy wejdę i będę z Nim ucztował, a on ze Mną” (por. Ap 3,20). Nie czeka na nasze dary, lecz obdarowuje łaską i prawdą. Jest naszym największym Dobrodziejem. Uświadamia nam to zapis kołędowy na odrzwiach naszych domów i mieszkań: C+M+B+ i dany rok, już niebawem: 2017. Otóż św. Augustyn tak tłumaczył sens zapisu: *Christus est Multorum Benefactor*. Chrystus jest Dobroczyncą wszystkich w tym mieszkaniu, w tym domu mieszkających. Tak właśnie jest! Jezus jest naszym Dobrodziejem, naszym Zbawcą!

Nie można więc postąpić, jak ludzie na Kalwarii. Mam na myśli zubożenie i szyderstwo, o których mówi św. Łukasz Ewangelista. A nie pomógł nawet napis: „To jest król żydowski” (Łk 23,38). Lud stał i patrzył – można powiedzieć: ślepy i nieporuszony miłością Pana. Członkowie Sanhedrynu i żołnierze szydzili z ukrzyżowanego Króla. A jeden ze złoczyńców wręcz urągał Mu: „Czyż Ty nie jesteś Mesjaszem? Wybaw więc siebie i nas” (Łk 23,39).

Zupełnie inaczej odniósł się do Jezusa drugi ze złoczyńców, ten, którego przyjęło się nazywać dobrym łotrem. Zganił towarzysza, a następnie wyznał swą wiarę w królewską godność Jezusa i Jego

królestwo nie z tego świata: „Jezu, wspomnij na mnie, gdy przyjdiesz do swego królestwa” (Łk 23,42). W odpowiedzi Jezus objawia swą Boską i królewską moc i chwałę: „Zaprawdę, powiadam ci: dziś będziesz ze Mną w raju” (Łk 23,43). Pokazuje, że dysponuje mocą obdarowywania nowym życiem, rajskim życiem, że ten, który w Niego wierzy może liczyć na udział w Jego królestwie. Oto Król, wywyższony na krzyżu, który panuje nad grzechem, śmiercią, piekłem i szatanem, i darzy życiem wiecznym w swoim Królestwie. Trzeba jednak w Jezusa wierzyć i wyznać wiarę w Niego, wyznawać ją stale, co dnia; uznać Go swoim Królem, czyli dać Mu posłuch i pierwsze miejsce w życiu, służyć Mu i żyć na Jego chwałę.

To znaczy, że trzeba jak Zacheusz przyjąć Pana rozradowany. Wówczas dzieje się zbawienie w nas i pośród nas. Zwierzchnik celników, bardzo bogaty, który wcześniej gromadził i myślał tylko o sobie, w obecności Pana wyznaje swą winę, zapowiada naprawienie krzywd i wspieranie ubogich. Dokonała się wielka przemiana, zrodziło się nowe życie, na miarę Chrystusowej Ewangelii. To Boże życie jest też naszym udziałem od dnia chrztu. Tak często żeśmy w tym roku do tego wracali, że naszym udziałem łaska nowego życia, łaska dziecięctwa Bożego. W tej łasce, jak w załączku jest niesamowity potencjał. Może być jednak zmarnowany. Sami bowiem nie jesteśmy w stanie życia Bożego w sobie rozwijać. Wystarczy jednak otworzyć drzwi, przyjmując Pana, dać Mu pierwsze miejsce we wszystkich sferach życia: osobistej, rodzinnej, zawodowej i społecznej, a On je uporządkuje i rozwinie; w to życie otrzymane w załączku na chrzcie wprowadzi Boży ład, napełni swym Duchem i pokojem, którego świat dać nie umie; pokojem Zmartwychwstałego.

Bardzo nam tego dziś tego potrzeba: Bożego pokoju w naszych sercach, zgody i miłości między nami, Bożego Ducha, Ducha prawdy

i jedności między nami, a także tak wielu różnych owoców Ducha, o których mówi św. Paweł w Liście do Galatów: dobroci, uprzejmości, łagodności, opanowania, wierności i cierpliwości. Potrzeba też wyrazistego poszanowania Bożego Prawa, aby stanowione prawo ludzkie nie było ponad nim i nie dochodziło do łamania sumienia człowieka, lekceważenia tego, co etycznie i moralnie dobre.

Światowe Dni Młodzieży ujawniły wielki potencjał wiary i Bożego ducha w naszym Kościele, a jednak w codzienności nie za bardzo umiemy tym potencjałem żyć, ten potencjał obudzić. Przeżyliśmy pośród siebie tyle piękna obecności, działania Jezusa, bliskości Jego Ducha, ale w codzienności trudno nam tak żyć, jak wtedy.

Zamykając rok podwójnego jubileuszu: Nadzwyczajnego Jubileuszu Miłosierdzia i 1050-lecia Chrztu Polski musimy niestety przyznać, że coraz bardziej brakuje w naszym Kościele i Narodzie otwartej tożsamości, która warunkuje i znamionuje rozwój autentycznej wiary i egzystencji chrześcijańskiej. Nie możemy ani rozmażywać, czy zaprzedać swej tożsamości, ani widzieć w człowieku inaczej myślącym, czy inaczej wierzącym od razu przeciwnika, czy wręcz wroga.

U podstaw zdrowej tożsamości chrześcijańskiej jest wiara żywa i świadoma, refleksyjna. Tam gdzie jej brak pojawiają się różne duchowe schorzenia w chrześcijańskiej egzystencji. Nieraz mamy do czynienia z infantylnością wiary, innym razem rozwija się fundamentalizm. Najczęściej Bóg spychany jest na margines naszego codziennego życia, ujawniają się różne formy niedowiarstwa i zaboron, a także dziwna duchowość, o której mówił nam, biskupom, na Wawelu papież Franciszek: subiektywna, bez Chrystusa, sprawdzająca się do zaspokajania podstawowych pragnień ludzkiej natury: zdrowia, dobrobytu i szczęścia, bez odniesienia do Boga. Trudno być

wtedy obrońcą i świadkiem wiary, człowiekiem sumienia, człowiekiem wrażliwym i prawym, ponieważ duch ludzki nie unosi się wówczas na skrzydłach wiary i rozumu.

Równocześnie trzeba przyznać, że nie bardzo przejęliśmy się myślą przewodnią Nadzwyczajnego Jubileuszu Miłosierdzia: Miłosierni jak Ojciec. Nie zawsze umiemy czerpać z Bożego miłosierdzia, które Pan Bóg obficie rozlewa na nas w swoim słowie i świętych sakramentach. Jak wielu spośród z nas nie przychodzi nawet w dzień Pański do Jego świątyni. Ale jeszcze trudniej przychodzi nam okazywanie miłosierdzia naszym bliźnim. Coraz więcej w naszym społeczeństwie zobojętnienia i zamknięcia na innych, wiele osądów pochopnych i krzywdzących, odniesień z pozycji arbitra i linczowania z podeptaniem prawa domniemanej niewinności. Zanim sprawa dostanie się do prokuratury, już nieraz w mediach ktoś jest osądzony. Coraz więcej nieprzejeđnanych i wręcz wrogich postaw i zachowań, gorzkich owoców wyrastających z negatywnych emocji, które nie mają albo nic albo niewiele wspólnego z Bożym Duchem: wzburzenie, niezgoda, rozłam, bywa, że i nienawiść.

Moi Drodzy, to trzeba zmienić! Tak dalej być nie może! Proklamacja Jubileuszowego Aktu Przyjęcia Jezusa Chrystusa za Króla i Pana naprawdę zobowiązuje. Nie dopuścimy do tego, by jedynym owocem podwójnego jubileuszu Miłosierdzia i Chrztu Polski był tylko jakiś zapis w kronikach i annałach. Nie możemy dalej dryfować w tym kierunku, który oznacza oddalanie się od Boga. Zmiany nie dokona jednak sama proklamacja Jubileuszowego Aktu. Trzeba podjąć dzieło przemiany i uporządkowania życia po Bożemu, na miarę Jezusa i Jego Ewangelii.

Przed nami bardzo dogodny ku temu czas: Adwent i Boże Narodzenie. Niech tegoroczne „*Marana tha* – Przyjdź Jezu Panie”, będzie

zaproszeniem naszego Króla i Pana w nasze życie osobiste i rodzinne. Ale nie bójmy się też zaprosić Jezusa w te miejsca, w których o jakości życia nie decydujemy sami. Zaprosimy Go i otworzymy Mu drzwi, a On już sam będzie działał. Dysponuje przecież zbawczą władzą, potęgą swej miłości miłosiernej i potrafi dokonywać rzeczy, których sami nie jesteśmy w stanie sprawić. Trzeba jednak jak mówił św. Jan Paweł II w *Novo Millennio Ineunte*, wszystko zaczynać od kontemplacji oblicza Jezusa, zwłaszcza ukrzyżowanego.

Święta Bożego Narodzenia niech będą szczególnym czasem ugoszczenia Jezusa w naszych sercach i domach. Cenne wskazanie ku temu zawarte jest w relacji św. Mateusza o pokłonie Mędrców ze Wschodu. Ewangelista zapisał: „Weszli do domu i zobaczyli Dziecię z Matką Jego, Maryją; upadli na twarz i oddali Mu pokłon”. Niezależnie od tego, czy to była szopa czy grota, bez względu na to, jak bardzo było biednie i wiało chłodem, Ewangelista podpowiada, że Józef z Maryją stworzyli Jezusowi dom. W ten sposób nam przekazuje, że nie jest ważny stan posiadania i pozycja społeczna, wystawność budynku i sprzętów. Przesłanie jest bardzo czytelne – dom jest tam, gdzie jest miejsce dla Boga i miłość wzajemna między nami, domownikami.

W nowym roku kościelnym, czyli od pierwszej Niedzieli Adwentu, towarzyszyć nam będą jako myśl przewodnia słowa: „Idźcie i głoscie”. Są wezwaniem do tego, aby podjąć konkretny trud, wysiłek apostołski, ewangelizacyjny. Papież Franciszek dał nam jasno do zrozumienia, że trzeba zostawić kanapę, ubrać wyczynowe buty i ruszyć w drogę, na peryferie i bezdroża ludzkiego życia. Nie brakuje wokół nas ludzi w potrzebie, i tej materialnej, i duchowej. Przez cały rok wielokrotnie przypominaliśmy sobie uczynki miłosierdzia względem duszy i ciała, podejmowaliśmy je, ale nie można tego dzieła kończyć

wraz z zakończeniem Jubileuszowego Roku. Trzeba jednak większej wyobraźni miłosierdzia i dostrzegania zwłaszcza tych, którzy Jezusa nie poznali, o Nim zapomnieli, nie potrafią się do Niego zbliżyć i zaczerpnąć z Jego miłości miłosiernej. Trzeba ich poprowadzić do Jezusa i pomóc im otworzyć się na Niego.

Cały 2017 rok powinien nas mobilizować jeszcze od innej strony. To przecież rok przygotowania do obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości. Wolność, ten wielki Boży dar, jest nam zadany, a kierunek pracy nad sobą dobrze wytyczają słowa Cypriana Kamila Norwida z utworu „Królestwo”: „Nie niewola ni wolność – są w stanie. Uszczęśliwić cię... nie! Tyś osobą: udziałem twym więcej!... panowanie. Nad wszystkim w świecie – i nad sobą”. Czy jednak jesteśmy w stanie zapanować nad wszystkim w naszym społeczeństwie, w naszym Kościele, w rodzinach? Czy zapanujemy nad sobą, bez przyjęcia Jezusa za Króla i Pana, bez poddania się Jego Prawu, Jego woli i zbawczej władzy?

Św. Jan Paweł II, widząc naszą bezradność, gdy nie potrafiliśmy przezwyciężyć komunizmu zniewalającego naszą Ojczyznę i nasz naród, nie wzywał na Placu Zwycięstwa w Warszawie do pójścia na barykady, lecz zwrócił się do Boga. Wielu z nas pamięta to przejmujące wołanie: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi!”. Jeden zawołał, z taką jednak mocą wiary i ufności do Boga, że Duch Święty zstąpił i wyzwolił nie tylko nas. Padł także mur wrogości u sąsiada. I dziś, też musimy wszyscy razem, w jedności, co dnia wołać do Boga i przywoływać Bożego Ducha, aby otworzył nas na Jezusa, by pomógł nam Go stale przyjmować i Nim żyć, poddając się Jego Prawu i władzy, byśmy naszemu Królowi i Panu potrafili z oddaniem i wiernie służyć, na Jego chwałę żyć i Nim się z innymi dzielić.

Kochani moi! Jasnogórska Pani, nasza Matka i Królowa, trzymając na lewym ramieniu Jezusa, spogląda na nas i wskazując prawą ręką na Niego, zdaje się mówić: „Weź mojego Syna w swoje życie, ma dla Ciebie słowo Prawdy i błogosławieństwo, i cały daje Ci siebie... Zróbcie wszystko cokolwiek wam powie”.

Weźmy też z sobą na drogę słowa papieża Franciszka wygłoszone w 2014 roku, w uroczystość Chrystusa Króla Wszechświata: „Zbawienie nie zaczyna się od wyznania królewskości Chrystusa, ale od naśladowania dzieł miłosierdzia, przez które On zrealizował królestwo. Kto spełnia dzieła miłosierdzia pokazuje, że przyjął królowanie Jezusa, bo w swoim sercu uczynił miejsce dla miłosierdzia Boga”.

Niech więc nie brakuje w naszym życiu uczynków miłosierdzia. Pamiętajmy, że pod koniec życia będziemy sądzeni z miłości, bliskości i czułości okazywanej bliźnim. A będzie nas sprawiedliwie sądził Jezus Chrystus, nasz Król i Pan. Jemu chwała na wieki. Amen.

Bp Grzegorz Rys

Co dalej po Światowych Dniach Młodzieży 2016

Słowa Ewangelii według św. Mateusza:

Jezus opowiedział swoim uczniom następującą przypowieść: «Pe-wien człowiek, mając się udać w podróż, przywołał swoje sługi i przekazał im swój majątek. Jednemu dał pięć talentów, drugiemu dwa, trzeciemu jeden, każdemu według jego zdolności, i odjechał. Zaraz ten, który otrzymał pięć talentów, poszedł, puścił je w obrót i zyskał drugie pięć. Tak samo i ten, który dwa otrzymał; on również zyskał drugie dwa. Ten zaś, który otrzymał jeden, poszedł i rozkopawszy ziemię, ukrył pieniądze swego pana. Po dłuższym czasie powrócił pan owych sług i zaczął się rozliczać z nimi. Wówczas przyszedł ten, który otrzymał pięć talentów. Przyniósł drugie pięć i rzekł: „Panie, przekazałeś mi pięć talentów, oto drugie pięć talentów zyskałem”. Rzekł mu pan: „Dobrze, sługo dobry i wierny. Byłeś wierny w niewielu rzeczach, nad wieloma cię postawię; wejdź do radości twego pana”. Przyszedł również i ten, który otrzymał dwa talenty, i powiedział: „Panie, przekazałeś mi dwa talenty, oto drugie dwa talenty zyskałem”. Rzekł mu pan: „Dobrze, sługo dobry i wierny. Byłeś wierny w niewielu rzeczach, nad wieloma cię postawię; wejdź do radości

twego pana”. Przyszedł i ten, który otrzymał jeden talent, i rzekł: „Panie, wiedziałem, żeś jest człowiek twardy: chcesz żąć tam, gdzie nie posiałeś, i zbierać tam, gdzieś nie rozsypałeś. Bojąc się więc, poszedłem i ukryłem twój talent w ziemi. Oto masz swoją własność”. Odrzekł mu Pan jego: „Sługa zły i gnuśny! Wiedziałeś, że chcę żąć tam, gdzie nie posiałem, i zbierać tam, gdzieś nie rozsypałem. Powinieneś więc być oddać moje pieniądze bankierom, a ja po powrocie byłbym z zyskiem odebrał swoją własność. Dlatego odbierzcie mu ten talent, a dajcie temu, który ma dziesięć talentów. Każdemu bowiem, kto ma, będzie dodane, tak że nadmiar mieć będzie. Temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma. A sługę nieużytecznego wyrzucicie na zewnątrz w ciemności: tam będzie płacz i zgrzytanie zębów”».

To jest 25. rozdział św. Mateusza od wersetu 14-31. Zapraszam też, żeby sobie spokojnie ten tekst (w wolnej chwili) przeczytać i przemodlić. Myślę, że wszyscy mamy poczucie wielkiego obdarowania przez Światowe Dni Młodzieży, i w związku z tym lektura przypowieści o talentach jest ze wszech miar odpowiednia. Talent to jest potężny dar. Rozmaici się spierają, czy to było 27 czy 34 kg srebra lub złota. Nawet, jeśli weźmiemy ten najmniejszy wariant, czyli 27 kg srebra, to i tak nikt z nas zapewne tyle nie ma. Dostaliśmy coś znacznie większego niż to, co można przeliczyć na pieniądź. I o tym mówią wszyscy, że jesteśmy obdarowani. I zaraz w następnym zdaniu z reguły pada pytanie: co z tego zostanie? Co z tego zostanie? Przypowieść o talentach mówi, co trzeba „czynić”, żeby „zostało”.

Pierwsze, co mówi ta przypowieść, to to, że zachowuje tylko ten, który pomnaża. To bardzo ważne stwierdzenie: zachowuje tylko ten, kto pomnaża.

Mam w pamięci jedno ze spotkań z młodzieżą na Oazie: ze trzy lata temu odwiedzałem nasze Oazy krakowskie, i pewien młody człowiek,

jakiś gimnazjalista, pod wpływem przeżycia, jakim były rekolekcje, pytał: co teraz? Bo on ma takie poczucie, że wróci do domu, pójdzie do szkoły, i to wszystko po prostu zniknie. I wtedy jakoś pierwszy raz do mnie to dotarło, że jest przypowieść o talentach, która mówi, że zachowujesz, jeśli pomnażasz. I to jest dość oczywiste, tak wtedy mówiłem temu młodemu człowiekowi, że jeśli za miesiąc będziesz przeglądał tylko zdjęcia albo czytał notatki z tych rekolekcji, to nic z nich nie zachowasz. Jeśli natomiast wrócisz do domu, włączysz się do jakiejś wspólnoty, będziesz chodził na kolejne spotkania, będziesz szukał jakiejś dalszej, konsekwentnej, systematycznej formacji i pojedziesz za rok na następne rekolekcje, to tak, zachowasz wszystko, to co tutaj dostałeś i pomnożysz.

Zachowuje ten, który pomnaża. Ten, który dostał jeden, przyszedł z tym jednym talentem i usłyszał, jak pan mówi: „weźcie mu ten talent, dajcie temu, który ma dziesięć”. „Ale on już ma dziesięć!”. No właśnie, ten kto ma, będzie mu dodane, a ten, kto nie ma, to jest w wersji Łukaszejowej w ósmym rozdziale: „zabiorą mu nawet to, co się mu wydaje, że ma”.

Więc temat jest bardzo ważny, bo się za chwilę może okazać, że nam się wydaje, że mamy ten talent. Było świetnie, było cudnie, było przepięknie, za chwilę może się okazać, że nam się wydaje, że mamy ten talent, jakim były Światowe Dni Młodzieży.

Drugie istotne stwierdzenie, które też wynika z tej przypowieści, to podkreślenie, że i ten, który dostał pięć talentów, i ten, który dostał dwa natychmiast - zaraz puścili w obrót te otrzymane pieniądze. Zaraz.

Myśmy mieli w ubiegły piątek spotkanie na Tauron Arenie Kraków, dość mocno nagłośnione, z zaproszeniem dla wszystkich, którzy byli na Światowych Dniach Młodzieży, którzy cokolwiek na nich

przeżyli. I było na tym spotkaniu, według różnych obliczeń, 4,5 tysiąca młodych. 3,8 tys. poszło do Komunii, więc pewnie rzeczywiście 4,5 tys., może więcej było wszystkich. To jest na pewno mniej niż było na Świątowych Dniach Młodzieży. Iluś już nie przyszło. Zaraz po Świątowych Dniach Młodzieży w diecezji zielonogórsko-gorzowskiej było piękne spotkanie dla młodych, w którym miałem możliwość uczestniczyć. Byli księża, którzy przywieźli ze sobą te same grupy, z którymi byli w Krakowie na Świątowych Dniach Młodzieży. Wszystkie były mniejsze o 20-30%. Widzicie, młodzież dalej nakręcona i rozgrzana, ale już nie wszyscy.

Ta przypowieść mówi w tym zakresie coś bardzo konkretnego: natychmiast. To znaczy: nie róbcie sobie jakichś wielkich planów, że za pół roku pomyślicie, co zrobić z tymi młodymi. Za pół roku nie musicie już nic z nimi robić. Trzeba robić teraz. Teraz, w tej chwili.

I trzecia rzecz, która jest bardziej może wyraźnie pokazana w przypowieści w wersji św. Łukasza. U Łukasza przypowieść o talentach jest przypowieścią o minach. Różnica też jest taka, że tam każdy dostał po jednej minie. Kiedy oni przychodzą zdać rachunek, to wypowiadają zdanie dość szczególne: „Panie, twoja mina przyniosła mi dziesięć min”. Drugi mówi: „Twoja mina przyniosła pięć min”. To znaczy, że oni nie mówią, jak bardzo się napracowali, tylko, że w tej minie okazał się taki potencjał, taka siła wzrostu, że z tej jednej zrobiło się dziesięć. Albo z tej jednej zrobiło się pięć. Uderzający jest ten trzeci, który przychodzi i mówi: „Panie, twoją minę trzymałem zawiniętą w chustce”. Nie zakopał jej w ziemi, tylko trzymał ją w chustce. „Oto masz swoją własność”. I ta chustka po grecku, wiecie jakie tam jest słowo? Sudarion, czyli tak naprawdę nie chodzi o chustkę do nosa, tylko o całun grobowy. Tak jak w chustę był zawinięty np. Łazarz. Więc on trzymał tę minę w całunie grobowym, to znaczy, że był

przekonany, że w tym, co dostał, nie ma życia. Dostał po prostu martwego trupa, kawałek metalu i tą martwą rzecz oddaje. Natomiast ci, którzy przynieśli pomnożoną minę, mieli doświadczenie, że ta mina przysparza kolejne. Czyli jest potencjał w tym, co otrzymali.

Co to oznacza? To oznacza, że potrzebujemy bardzo pilnie refleksji nad tym, co się stało w czasie Świątowych Dni Młodzieży. Co się stało w ciągu tego tygodnia w Krakowie, kiedy był papież, co się stało w czasie dwóch tygodni, kiedy mieliśmy całą młodzież ze świata w Polsce w diecezjach, co się stało po naszych parafiach tam, gdzie ludzie mieszkali, co się stało w Polsce przez ostatnie trzy lata, kiedy były przygotowywane Świątowe Dni Młodzieży? I tu jest bardzo potrzebne rozeznanie, co się stało?

Żeby to rozeznanie uczynić, trzeba by się nawzajem słuchać, dlatego, że każdy z nas tu obecnych, przeżył co innego na Świątowych Dniach Młodzieży. Nie wiem, my z biskupem Markiem na przykład byliśmy na spotkaniu z biskupami, was tam nie widzieliśmy, więc my mamy swoją własną porcję tego, co nam Papież powiedział. Ale każdy gdzieś ma jakieś swoje własne doświadczenie z tych dni. Jest dość istotne, by posłuchać siebie nawzajem. Zanim do tego przejdę, to chcę podkreślić: nie chodzi o to, że my po Świątowych Dniach Młodzieży mamy coś zrobić. Tylko mamy się zatroszczyć o wzrost tego, co zrobił Pan Bóg w ciągu tych dni. Rozeznanie dotyczy tego, co tu Pan Bóg zdziałał, co to jest za talent? Co to jest ta mina, która nam została dana, a nie: róbmy cokolwiek.

Nie idzie o to, aby cokolwiek zrobić, tylko rozeznać, co Pan Bóg czyni i pomóc temu wzrastać. Więc myślę, że na początek na tym to polega, że trzeba siebie nawzajem posłuchać. Mogę się podzielić tym, co się stało w diecezji krakowskiej, mam nadzieję, że wy możecie to zrobić każdy w swojej diecezji, czy każdy w swojej szkole. Myśmy

postawili młodemu z naszej diecezji dwa pytania: „Co ci powiedział Papież?” – to było pierwsze, i „Co chcesz z tym zrobić?”. Nie wiedziałem do końca, czy odpiszą czy nie odpiszą. Odpisało 1,5 tys. osób. To nie jest jakaś mała liczba. Dwóch ludzi to analizowało, żeby na ww. spotkaniu w Tauron Arenie powiedzieć, co wynika z tych ankiet, co tak naprawdę młodzi odpowiedzieli – mieli nad czym siedzieć. Dobrych kilkanaście godzin siedzieli, czytali i wyciągali wnioski.

Jeśli się chce posłuchać, mogą do nas dotrzeć rzeczy, których sami nie usłyszeliśmy. Na przykład, ci nasi młodzi, te półtora tysiąca, zostali zapytani, jakie zdanie, które usłyszeli od Papieża, najbardziej do nich przemówiło? Ciekawe, co pomyślicie? No wszystkim się wydaje, że tekst o kanapie i butach. Otóż nie! Najwięcej młodych zapamiętało zdanie: „łatwiej się buduje mosty niż burzy mury”. W ¾ ankiet to zdanie papieskie zostało wyróżnione, podkreślone, że „łatwiej się buduje mosty niż burzy mury”.

Więc ja muszę powiedzieć, że byłem bardzo ucieszony, słysząc to. Czy jest jakieś zdanie, którego bardziej potrzebujemy dzisiaj? Jeśli w tych młodych to właśnie zdanie będzie pracować, to, da Pan Bóg, za 20 lat będziemy żyli w trochę innym kraju, w innym Kościele. Daj Boże! My wszyscy wmawiamy młodemu kanapę i buty, a oni mówią: „budujemy mosty”. Ja muszę powiedzieć szczerze, że nie pamiętałem tego zdania. I to jest właśnie znak tego, co znaczy posłuchać siebie nawzajem. I teraz nie można, usłyszawszy coś takiego od nich, powiedzieć, zbagatelizować tego, co oni usłyszeli. Potrzebna jest teraz po naszej stronie refleksja, jak pomóc tym młodym ludziom wejść w takie doświadczenie, że będą mieli poczucie, że budują mosty? Na co to się teraz musi konkretnie przełożyć?

Więc jest nam potrzebne rozeznanie co do tego, cośmy otrzymali jako Kościół, jako Kościoły lokalne, jako Kościoły-diecezje itd., jako środowiska wiary.

Myślę, że otrzymaliśmy kilka rzeczy istotnych. Mam nadzieję, że też nam się uda w niedługim czasie opublikować bardzo dobre wystąpienie ks. Roberta Woźniaka, który właśnie w Tauron Arenie też mówił o tym, jak on rozumie przesłanie Papieża w Polsce i co Papież tak naprawdę powiedział, niesłuchany tekst. Zawarte w czterech punktach. Ja chcę wskazać tylko dwa.

Pierwsze, co niewątpliwie otrzymaliśmy wszyscy i to, co było widać gołym okiem, to jest doświadczenie wiary. Doświadczenie wiary! I to jest takie doświadczenie, którego nie boję się nazwać doświadczeniem kerygmatycznym, takim bardzo podstawowym, fundamentalnym; to było to, że młodzi zostali postawieni w obecności Jezusa Chrystusa, skoncentrowani na Nim, w spotkaniu z Nim, i to było widać na wielu miejscach w Światowych Dniach Młodzieży. Najbardziej to było widać w momentach szokującej ciszy. Gdy się kończyła Droga Krzyżowa w piątek, na Błoniach było 800 tys. młodych ludzi, a cisza była taka, jakby był jeden człowiek. Najciekawsze, że ta cisza była na obrzeżach Błoni, nie tylko przy ołtarzu. Ja znam ludzi, którzy stali gdzieś tam pod „Cracovią” na samym brzegu i była absolutna cisza, co więcej, znam takich ludzi, którzy przez całą Drogę Krzyżową przestali, czekając do wejścia przez bramki, bo mieli, na swoje nieszczęście, miejscówkę albo w „zerówce” albo w „jedynce”. I oczywiście, nie mogli się przedostać, weszli na 14. stację i te trzynaście stacji wcześniejszych stali w kolejce w absolutnej ciszy, bez żadnej przepychanki, skoncentrowani na tym, co się dzieje. Niesamowite, prawda?

Potem na Brzegach adoracja, Papież mówi: „Chwila ciszy”, tam było już nie 800 tys., ale 1 800 tys. Zróbcie to na stadionie, gdzie

będziecie mieć 20 tys. ludzi. Ogłoście minutę ciszy – po 20 sekundach już jej nie ma... Tylko, że tutaj było doświadczenie wiary, doświadczenie spotkania. Kościoły, które były strefami ciszy, pełne kościoły na adoracji. Ja miałem szczęście prowadzić coś, co nazwa-
liśmy Międzynarodowym Centrum Ewangelizacji, 1,5 tys. młodych ludzi, którzy wychodzili na ewangelizację na Kraków, wracali nieraz po 8-10 godzinach posługi na mieście. Wiecie, co robili najpierw? Szli do namiotu, gdzie była wystawiona Eucharystia. Nie na obiad, nie do łóżka, tylko na adorację.

Dlaczego o tym mówię? Dlatego, że w tym doświadczeniu wiary przychodziła też katecheza. Katecheza, która przychodziła w tym kontekście doświadczenia wiary, była fantastycznie przez młodych przyjmowana, absolutnie fantastycznie. Miałem trzy katechezy w czasie Światowych Dni Młodzieży. Pierwszą na stadionie Cracovii, więc grono słuchaczy stanowiło jakieś kilkanaście tysięcy młodych ludzi – żadnego kłopotu z czymkolwiek. Jedyne kłopot, to był, w jaki sposób mogą pytania zadawać? Pisali na kartkach, dostałem ogromną ilość. Ale kontekst katechezy to jest doświadczenie wiary. W doświadczeniu wiary katecheza jest czymś wyczekiwany, nasłuchiwanym. Okazuje się, że w młodych jest pasja!

To jest jedno, czyli to doświadczenie wiary, takie skupione na Jezusie Chrystusie. Nikt nie mówił im o tym, co to znaczy się modlić, tylko byli zaproszeni do modlitwy. To niby jest takie oczywiste, ale w istocie nie jest oczywiste. Znam księży, którzy potrafią swoim młodym na katechezie mówić w nieskończoność o adoracji i nigdy nie wyciągnąć Pana Jezusa z tabernakulum. To po co była ta mowa?

Drugie doświadczenie, które jest ewidentne, to doświadczenie Kościoła. Jeśli się rozmawia z młodymi, to oni podkreślają doświadczenie Kościoła powszechnego. To jest bardzo ważne dla nich, że

zobaczyli Kościół z całego świata, zobaczyli swoich rówieśników ze wszystkich możliwych krajów na świecie. Nie tylko, że zobaczyli, oni z nimi nawiązali kontakty, oni teraz do nich piszą, dostają maile z powrotem. To jest w tej chwili żyjąca wspólnota, pewnie, że jakoś wirtualna, ale powstała nie wirtualnie, ale w sposób rzeczywisty; co więcej, ja znam takie parafie, które właśnie się wybierają w odwiedzinę do tych, których gościli u siebie. Francuskie parafie, z których była młodzież u nas w diecezji, już pozapraszały swoich młodych i oni jadą tam w listopadzie z księdzem w odwiedzinę. Widać, że to jest moment, który chcą kontynuować, powszechność Kościoła bardzo do nich przemówiła. I przemówiła nie tylko do tych, którzy byli w Krakowie, czy byli na dużych spotkaniach po diecezjach, tylko przemówiła bardzo do tych, którzy organizowali noclegi. Porozmawiajcie z gospodarzami noclegów, co wam powiedzą? U nas na takich małych wioskach pod Krakowem nasi gospodarze codziennie by im pościel zmieniali. No to, gdy im próbowali zmienić pościel, to się okazało, że tam pod poduszką leży Pismo Święte, a pod następną różaniec. I ci byli zachwyceni gościnnością Polaków, a ci byli zachwyceni ich modlitwą. Rozmawiałem z proboszczem z Sieprawia, on ma stary kościół, w którym była chrzczona Aniela Salawa, ten kościół natychmiast był zrobiony strefą ciszy, strefą Sakramentu Pokuty. Kiedy wracali wieczorami z Krakowa, wcale nie prosili, żeby im nawet światło zapalić, bo oszczędzali energię. Siedzieli z tymi swoimi latareczkami, gdzieś tam w kościele i pod kościołem na nieustannej modlitwie. Wieloletni proboszcz i dziekan, jeszcze nigdy nie widział tylu młodych ludzi, którzy w takiej ciszy siedzieli bez przerwy przed Jezusem. I żeby to byli nasi, nie? No ale to byli jacyś przedziwni, nie wiadomo, skąd. A nasi się uczyli od nich.

Ta powszechność Kościoła jest czymś ważnym, tego nie wolno przegapić. Myślę, że w tę powszechność właśnie wpisuje się to, co oni wychycili z Franciszka, o budowaniu mostów, które jest wbrew pozorom łatwiejsze, niż burzenie murów. By się wydawało, że burzy się łatwo. Pamiętam to jeszcze z seminarium, że najchętniej to lubiliśmy burzyć. A to nie jest tylko kwestia, czy człowiek umie burzyć mur, tylko czy się na to zdecyduje.

W tym doświadczeniu Kościoła bardzo liczy się to, że mogli być wreszcie zaangażowani. Tu są rzeczy w ogóle fascynujące. Rozmawiałem z wielu wolontariuszami, którzy nie mogli być na żadnym z wydarzeń centralnych, nie słyszeli żadnego tekstu Franciszka, bo bez przerwy mieli jakieś funkcje powyznaczane. Myślicie, że żałują? Franciszka to oni sobie teraz przeczytają. No ale samo zaangażowanie jest kluczowe. Możesz coś zrobić, możesz posłużyć czemuś, co jest sensowne, co jest większe od ciebie, od twojego ego. Możesz się włączyć, zrobić coś istotnego. To jest dla nich doświadczenie, bardzo ważne, że zostali zaangażowani, z zaufaniem, które im okazano. Ciekawe, że gdy przeglądamy u nas w diecezji te grupy wolontariuszy, rozmaite, najczęściej w komitetach parafialnych pojawili się młodzi, którzy nie byli do tej pory wyłowieni. Dlaczego? Dlatego, że ci którzy wcześniej byli zaangażowani w oazy, w grupy takie czy inne mieli swoje własne pola aktywności w czasie Światowych Dni Młodzieży. A do tych komitetów wolontariuszy parafialnych najczęściej weszli młodzi, którzy nigdy nie byli zagospodarowani. I gdzieś masz taką małą wioskę, Stryszawa Dolna, trzydziestu młodych ludzi w wieku 18-30, fantastyczni i chętni. Trzydziestu się ich pokazało w jednej małej wiosce. Ostatnia rzecz, którą można zrobić albo pierwsza najgłupsza, jaką można zrobić, to powiedzieć im: „Światowe Dni skończyły się, macie wolne”. Jak można rozpuścić taką trzydziestkę? To są

ludzie, którzy chcą coś robić, oni czują się współodpowiedzialni za Kościół i mają poczucie, że było warto.

Oczywiście, cechą tego Kościoła, który doświadczaliśmy, było skoncentrowanie na tych młodych ludziach. Ta koncentracja nastąpiła w rozmaitych wymiarach. Myślę, że na przykład także nieraz w formach liturgii sprawowanej, w śpiewie, w znakach. Do mnie bardzo przemówiło, kiedy w czwartek było to pierwsze spotkanie na Błoniach, kiedy Ojciec Święty się witał ze wszystkimi i zaczął: „Nareszcie się witamy”. Ale nie wiem, czy pamiętacie, że asysta przy tej Liturgii Słowa, bardzo prostej, nie miała szat, nie miała strojów liturgicznych. Klerycy chodzili w sutannach czarnych, diakoni tak samo – nawet ten, który śpiewał Ewangelię w rycie wschodnim. Z czegoś trzeba zrezygnować, do czego jestem bardzo przywiązany i przekonany, ale może jest tak, że te znaki niekoniecznie dla tego tłumu młodych ludzi, są równie istotne. Mówią coś im czy nie mówią? Jest refleksja, przynajmniej po naszej stronie, co do nich przemawia, a co do nich nie przemówi. Jaki jest sens sięgać po znaki, które nic nie znaczą dla nich, jeśli się ich nie objaśni, nie wprowadzi.

Dwa momenty z Franciszka istotne dla mnie, jeśli chodzi o to nastawienie na młodych. Pierwszy to był taki moment absolutnego mojego wstydu, kiedy Papież z okna powiedział o Maćku Cieśli. Dlaczego to jest wstyd? Dlatego, że ja wiedziałem, że jest taki chłopak, który robił wszystko przy Świątowych Dniach Młodzieży, przy grafice itd., na przykład te wszystkie symbole porozwieszane przy każdej drodze wjazdowej do Krakowa (na każdej lampie były takie symbole albo Jan Paweł II, albo Faustyna, albo ŚDM). To wszystko było dziełem Maćka. Pewnie w Krakowie było wielu ludzi, którzy wiedzieli, że jest taki chłopak, tylko kto go znał po imieniu? Ja się dowiedziałem od Papieża, że to był Maciek Cieśla. I gdy się dowiedziałem od

Papieża, to mi się naprawdę głupio zrobiło. A teraz się okazuje, że takich Maćków było więcej. Przed Tauronem podszedł do mnie chłopak z Suchej Beskidzkiej i mówi: „my mieliśmy dokładnie taką samą historię. Młody lektor, wolontariusz, Grzegorz Jania, zmarł na raka tuż przed Światowymi Dniami Młodzieży”. Myślę, że ten chłopak przyszedł mi o tym powiedzieć tylko dlatego, że słyszał Papieża, jak mówił o Maćku z okna. Znaczący, oni już rozumieją, że Kościół to nie jest tłum, tylko teraz w tym Kościele każdy z nas jest z imieniem i nazwiskiem, z osobistym doświadczeniem.

I tu jest ta druga rzecz, to muszę powiedzieć, czuwanie na Błoniach, na Brzegach – ja znałem scenariusz tego czuwania wcześniej, kilku z nas w Krakowie musiało go znać wcześniej... Kiedy dostałem ten scenariusz, właściwie zatwierdzony już przez Stolicę Apostolską, więc już nie można było przy nim nic zrobić, to pamiętam moje zdumienie, że zrobiono dwugodzinne czuwanie bez ani jednego tekstu z Biblii. Nie wiem, dla mnie to było coś przedziwnego: czuwanie bez Słowa Bożego? Żarty? I potem dopiero mi się wszystko rozjaśniło, kiedy słuchałem Papieża, który mówił, odwołując się nie do tekstów Pisma, tylko do trzech świadectw. Usłyszeliśmy trzy świadectwa młodych ludzi i Papież z tego ich doświadczenia wiary wyciągnął przesłanie dla całego Kościoła. Nie z tekstu biblijnego, tylko z ich doświadczenia wiary. To jest dopiero koncentracja na osobie w Kościele, to jest koncentracja na osobie.

Ten Kościół, który zobaczyliśmy to Kościół, który Papież zazwyczaj opisuje trzema słowami, (w wielu jego tekstach te trzy słowa powracają). Pierwsze słowo to jest ‘wyjść’: wyjść do tych, których ciągle nie ma; drugie słowo to jest ‘włączyć’, i trzecie słowo to jest ‘ucieszyć się’. To są trzy jego słowa opisujące Kościół. Czasem to ‘wyjść’ jest zastępowane słowem ‘towarzyszyć’. Wychodzę do kogoś, wszystko

jedno gdzie on jest, także w relacji do Kościoła w tym momencie i decyduję się na to, żeby mu towarzyszyć, to znaczy mam poczucie, że on jest w jakiejś drodze. Każdy z nas jest w jakiejś drodze. Są momenty, że jesteśmy bliżej, są momenty, że jesteśmy dalej, nikt z nas nie powie o sobie, że jest u celu, że swoją wiarą, że swoim doświadczeniem wiary. Nie, każdy z nas jest w jakiejś drodze. Wychodzimy do kogoś, kto tak samo jak my jest w drodze, żeby mu towarzyszyć. To towarzyszenie przekłada się na włączenie. Jeśli kogoś włączam, mówię: „Zajmij się tym. Potrzebuję cię, zrób to”. A wtedy, kiedy on mówi: „Ok, zrobię”, to się pojawia to trzecie słowo ważne, że ja się z tego cieszę. Wcale nie takie proste, bo ja bym to przecież zrobił lepiej, nieprawdaż? I dopiero byłaby bieda, gdybym ja to zrobił.

Papież wiele razy mówi o Kościele – i do Kościoła - właśnie to: wyjść, towarzyszyć, włączyć, ucieszyć się! Rezonans jest różny: podebatujemy, podyskutujemy, bo może to jest trochę naiwne, to co Papież mówi? A tymczasem jest tak, że w czasie Światowych Dni Młodzieży każdy z nas mógł to zobaczyć, że taki model Kościoła działa, że to akurat jest skuteczne, że to działa.

Opowiadano mi o katechezach dla młodzieży z Australii, które akurat się odbywały we wspomnianym już naszym Centrum Ewangelizacji (w ICE mieliśmy namiot na 5 tys. ludzi). Dzień po dniu było widać, jaki model Kościoła działa, a jaki nie. W pierwszym dniu przyjechał do nich kardynał Dolan, skądinąd już „starszy pan”. Wszedł tak, że szedł przez nich, przebijał się przez tłum, tamtego szturchnął, tamtemu rękę podał, tamtemu klepnął piątkę, z tamtym zagadał. Zaczął mówić katechezę, skończył [bo to były ścisłe ramy czasowe, żeby on tam mówił pół godziny], potem pytania, potem do domu. I okazało się, że oni go nie puszcza. Nie chcieli go puścić z tej sceny. I został z nimi i wszystko tam poszło w rozsypkę, wszystkie godziny,

jakie tam były poustalone. Ani się kardynałowi nie śpieszyło, ani im się nie śpieszyło. Było. Następnego dnia, przyjechał jakiś inny biskup na katechezę. Wszedł do ICE od tyłu, siadł za sceną, powiedział organizatorom, że jak będzie jego czas, to żeby mu powiedzieli. I wszedł, powiedział swoje, i nikt go nie zatrzymywał. Czemu mieliby go zatrzymywać? Albo działa, albo nie działa.

Powiedziałbym na koniec jeszcze dwie rzeczy. Pierwsza jest taka: potrzebujemy rozeznania, co do tego, co się stało. Jeśli wiemy, że stało się doświadczenie wiary, skoncentrowane na Chrystusie, to nie uciekajmy od tego doświadczenia, tylko je pomnożmy w ofercie dla młodych ludzi. Pomnożmy to doświadczenie. Do modlitwy się prowadzi człowieka tylko wtedy, kiedy się go zaprasza do niej, do samego środka, także mojej własnej modlitwy, bez strachu. Trzeba pomnożyć to doświadczenie Kościoła, który się okazał atrakcyjny: przez towarzyszenie, bliskość, radość, włączenie – inaczej będzie po prostu jeden wielki stres: przeżyliśmy coś fantastycznego – trwało dwa tygodnie. Zatem rozeznanie co do tego, co się stało.

Drugie rozeznanie, jakie jest nam potrzebne, to jest rozeznanie co do sytuacji, w której jesteśmy jako Kościół, także w której jesteśmy jako Kościół z naszymi młodymi. Mieliśmy na Konferencji Episkopatu dość mocną i krytyczną debatę; kiedy zgłaszano młodzież na Światowe Dni Młodzieży, to najpierw były zgłaszane tzw. makrogrupy. Czyli ktoś, kto organizował z danego kraju przyjazd młodych, mówił, ile miejsc rezerwuje, ile tych młodych przyjedzie. I tu oczywiście szło o młodych, którzy będą brać udział w całych Światowych Dniach Młodzieży, wykupią choćby najmniejszy, najtańszy pakiet, ale będą zorganizowaną grupą. Potem, po upływie jakiegoś czasu, te makrogrupy rozpisywano już na konkretne grupy po 150 osób z liderem, który prowadził itd. Wtedy się okazywało, jak się miały

szacunki do realiów. I to jest bardzo pouczająca lektura. Przeczytałem to wszystko, zestawiłem sobie makrogrupy z każdego ze 110 krajów, bo tyle ich było, i zestawiłem te makrogrupy z ostateczną liczbą tych, którzy rzeczywiście przyjechali. To bardzo ciekawie wygląda, na przykład gdy chodzi o Europę. Wiecie, kogo przyjechało więcej, niż żeśmy się spodziewali? Na przykład Francuzów. I kiedy się pytałem francuskich biskupów, to mówili tak: po zamachach we Francji odpowiedź młodych była taka, że się ich zapisało więcej niż pierwotnie. Po zamachach! Reakcja na zamachy była taka, że ci młodzi przyjechali do Krakowa. I zobaczcie, mówimy o młodych, którzy akurat przyjechali z kraju, gdzie zamachy były faktem. A tymczasem z ilu krajów nie przyjechało wielu młodych, bo się bali zamachów? Chociaż ich w życiu na własne oczy nie widzieli! Za to ci zareagowali na zamachy większą mobilizacją. Więc Francuzów przyjechało więcej niż się spodziewano. Kogo jeszcze z Europy przyjechało więcej? Na przykład Czechów, a Słowaków przyjechało mniej. To intrygujące, bo wszyscy wiemy, że akurat dokąd istniała Czechosłowacja to się mówi tak: pobożni katolicy Słowacy i ateistyczni, pozbawieni wszystkiego Czesi. I teraz tych Czechów przyjeżdża więcej, a Słowaków przyjeżdża mniej. Więcej przyjechało na przykład z Austrii, z Holandii, z Irlandii, z Wielkiej Brytanii, Słowenii, Bośni i Hercegowiny. A skąd przyjechało mniej, niż się spodziewano? Z Hiszpanii, o 5 tys., z Włoch, o 14 tys., z Niemiec mniej o 4 tys., z Malty, z Węgier, z Ukrainy mniej, a najbardziej przestrelili Polacy, dlatego, że w makrogrupie spodziewanej było zapisanych 179 tys. młodych Polaków, a przyjechało w taki sposób, mówię, w zorganizowanej grupie z wykupieniem pakietu – 78 tys. Czyli polscy organizatorzy przesadzili o 100 tys. Ja wiem, jakie są rozmaite tłumaczenia, zaraz się podniosły też głosy na Konferencji Episkopatu, akurat nie ze strony biskupów,

tylko księży, którzy mówili: pakiet był drogi. Największy możliwy dramat byłby wtedy, gdyby młodzi nie przyjechali dlatego, że mają kłopot z pieniędzmi. I to nie jest dramat tych młodych, tylko dramat Kościoła, do którego należą. Trzeba postawić pytanie: na co my w Kościele wydajemy pieniądze? Przyczyn, dla których tych młodych przyjechało znacznie mniej niż się spodziewaliśmy, może być dużo i być może jedną z przyczyn jest i to, że my mamy inne wyobrażenie młodych, niż naprawdę oni są. Może właśnie to jest jednak taka bardzo mocna recenzja naszej zwyczajnej pracy z młodymi, tego, co jest duszpasterstwem młodych i naszym wyjściem do nich. To jest bardzo poważny sygnał.

I drugi, równie poważny sygnał dotyczy księży (z zachowaniem wszystkich proporcji zapewne również katechetów): księży z Polski, którzy przyjechali na Światowe Dni Młodzieży do Krakowa wcześniej zapisani, (a więc otrzymali identyfikator itd.) było 2 300. Na 30 tysięcy! To znaczy, że nie było nawet 10%.

Zakładamy, że coś jest oczywiste. A nie jest!

Mówiliśmy sobie bardzo jasno na Konferencji Episkopatu, że potrzebujemy naprawdę poważnej pracy z naszymi kapłanami. Jak inaczej? Ja myślę, że wy sobie róbcie swój rachunek sumienia, czy nie jest tak, że nauczyciele nie potrzebują poważnej pracy najpierw ze sobą, czyż nie? Ta liczba młodych ludzi to jest recenzja nieubłagalna. 78 tys. Polaków. Włochów i Francuzów, i Hiszpanów prawie tyle samo przyjechało. Więc z jednej strony to jest bardzo piękne doświadczenie, bo oni się mogli ze sobą spotykać, być razem itd., ale kiedy się chodziło po Rynku krakowskim w te cztery dni szalone, to tam najwięcej rabanu nie robili Polacy, choć próbowali też, ale po prostu Hiszpanie, Włosi, Francuzi – oni byli wszędzie. Francuzi byli wszędzie, bo oni tego nie mogą robić u siebie. We Francji nie wyjdiesz na ulicę i nie

zacziesz śpiewać religijnych piosenek, bo cię zamkną. Tak patrzyli: „jaki wy macie cudny kraj, ta Polska, to niebываłe! Możesz wyjść i publicznie wyznawać swoją wiarę, to jest we Francji niemożliwe”. To dlatego tutaj robili to potrójnie. Byli tak naelektryzowani, że mogą.

To jest bardzo ważne rozeznanie lokalne, to sobie każdy musi sam zrobić we własnym gronie. Nie po to, żeby drzeć szaty albo nie po to, żeby sobie psuć święto, bo dokonało się coś wielkiego i cudnego, ale wtedy dopiero zobaczymy, co to znaczy pomnożyć to, co się stało. Pomnożyć, to znaczy wyjść do środowisk, które się nie pokazały na Światowych Dniach Młodzieży. Oni nie przyszli, ich to nie dotknęło. Jeśli pracujemy z tymi, którzy byli, to nie po to, żeby tylko wspominali, tylko żeby w nich tak pracowało to doświadczenie wiary ze Światowych Dni Młodzieży, żeby musieli w końcu wyjść do swoich rówieśników, bo nie będą tego w stanie zatrzymać w sobie. Tylko będą musieli przekazać to, co przyjęli. I wtedy nie będzie się nam wydawało, że mamy.

